

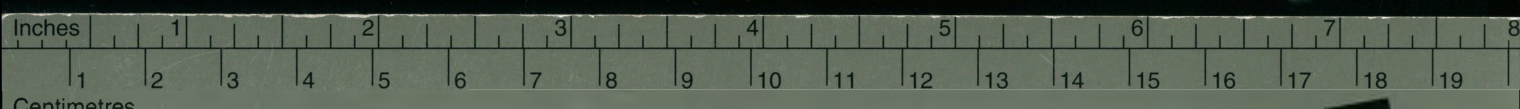


<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p style="text-align: center;">Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii</p> <p>Odwaga</p>		
<p>Ilość stron oryginału</p> <p style="text-align: center;">173</p>	<p>Ilość skanów</p> <p style="text-align: center;">173</p>	<p>Liczba plików publikacji</p> <p style="text-align: center;">349</p>
<p>Autor</p> <p style="text-align: center;">Nora Szczepańska</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny</p> <p style="text-align: center;">Wydawnictwi Poznańskie</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania</p> <p style="text-align: center;">Poznań</p>	<p>Rok wydania / Data powstania</p> <p style="text-align: center;">1977</p>	
<p>Sygnatura</p> <p style="text-align: center;">---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.)</p> <p>książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer)</p> <p style="text-align: center;">12,6 x 20,1 cm</p>	<p>Stan zachowania</p> <p style="text-align: center;">---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce)</p> <p>XVIII wiek, Ameryka Północna, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Kanada, Jan Szczepański, Nora Szczepańska,</p>		<p>Zbiór siedmiu opowiadań, których akcja dzieje się pośród Indian Ameryki północnej, głównie Dakotów. Każde z nich jest na inny temat i w każdym występują inni bohaterowie, ale wszystkie ukazują życie plemion indiańskich i ich tragiczną walkę o prawo do ziemi i wolności. Pięknym przykładem uporu, samozaparcia, ambicji jest kilkunastoletni bohater tytułowego opowiadania.</p>
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuźnia, letnicy itp.)</p> <p>historia, literatura młodzieżowa, literatura przygodowa, beletrystyka, Dakotowie, Dakoci, Siuksowie, Indianie Ameryki Północnej, Kraina Wielkich Jezior,</p>		
<p>Prawa autorskie</p> <p style="text-align: center;">---</p>		

Nora Szczepańska

ODWAGA

Wydawnictwo Poznańskie



Colour Chart #13



Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Grey Scale #13



Nora Szczepańska

Odwaga

Wł. Dobrza

Imieniom

Grzegorzowi P

ofiarom

Basia S

17 XI 1977/1

BIBLIOTEKA MŁODYCH

Ta książka przeznaczona jest
dla Ciebie, młody Czytelniku.
Mamy nadzieję, że sięgniesz
do kolejnych tomów tej serii –
rozpoznasz ją łatwo
po jednolitej szacie graficznej.
Wybierać będziemy do tej serii
książki szczególnie wartościowe
i popularne: zabawne i poważne;
takie, które się czyta
„jednym tchem” i takie, które czytamy
powoli, smakując ich urodę.
Słowem będą to książki bardzo
różne, lecz łączy je jedno:
zostały napisane w Ludowej Polsce.

Nora Szczepańska

Odwaga

Ilustrował Andrzej Strumiłło

Wydawnictwo Poznańskie Poznań

Okładka: Zbigniew Rychlicki
Układ typograficzny: Józef Worytkiewicz

Odwaga

I

Kobiety siedziały kręgiem wokół ogniska z głowami pochylonymi nad robotą. Był ciepły wieczór wczesnej jesieni, rozleniwiający i senny, toteż odkładały często skóry i rzemienie na bok, żeby się przeciągnąć albo zapalić fajki.

Nagle przemknęło coś ze skowytym. Czarny cień otarł się o starą Mech i znikł w ciemnościach. Siedziała przez chwilę nieruchomo, jakby rozważając to, co się stało, potem podniosła oczy i spojrzała na Akuan.

– To chyba... szczeniak Czetanaga – powiedziała Akuan niepewnie, a kobiety podchwyciły:

– Tak, tak. To szczeniak, to ten nieszczęsny szczeniak!

Mech siedziała dalej nieporuszona, blask ognia oświetlał jej ciemną starą twarz, z czołem ukrytym pod szeroką opaską, w którą wpięte były dwie duże stalowe igły, jak dwa magiczne promienie. Trzecia igła błyszczała w jej palcach. Wbijając ją ostro w rzemień powiedziała z nutą wyzwania:

– To duch tamtego psa. Wiem o tym dobrze. I Akuan wie także.

Młoda kobieta o skórze ciemniejszej od innych powiedziała cicho:

– To było dawno. Można zapomnieć, jeżeli było tak dawno.

Stara przerwała jej ostro:

– Nie zapomniałaś! Wiem o tym dobrze.

Akuan westchnęła głęboko. Tak. Mech ma rację. Tego nie zapomni nigdy. Ale po co grzebać w pamięci, po co mówić o tym, po co zwracać uwagę kobiet na Czetanaga, którego i tak cała wieś wytyka palcami.

– Mów, Akuan... – głos starej Mech był rozkazujący, ale było w nim także coś, co ją zastanowiło, czego nie mogła zrozumieć.

Odkąd Czetanag wrócił, przyzwyczała się znów słyszeć w głosach

ludzi ukrytą niechęć i pogardę. Ale w głosie starej było coś innego. Akuan podniosła oczy. Jej pytające spojrzenie nie otrzymało jednak odpowiedzi. Stara schyliła głowę nad robotą i powtórzyła raz jeszcze – ...Mów!

Wtedy Akuan powiedziała półgłosem:

– Toro... – i umilkła znowu, jak gdyby czekała na słowa zachęty, a może na rozkaz.

– ...to był spokojny pies pociągowy. Toro. Msepasse dostał go od swego brata. Dobry pies, który nie odchodził nigdy daleko od domu. Kudłaty... Szary... – przerwała i spojrzała wokół bezradnie, jakby chciała powiedzieć: „przecież wiecie o tym, przecież słyszałyście o tym, więc po co... po co...”

– Mów!

Kobiety siedziały cicho, nie spoglądały na nią; chciały ją ośmielić, może ukryć uśmiechy.

– ...Wytrzepywałam skóry niedźwiedzie, właśnie zabrałam się do wytrzepywania skór niedźwiedzi... bo bizona... bo wtedy właśnie dali nam znać, że stado bizonów...

– Zwijaliśmy obóz – pomogła jej Mech. – Trzeba było się spieszyć, jak zwykle kiedy ukażą się gdzieś w okolicy stada. Wiecie zresztą, jak to jest – zaśmiała się sucho.

– ...Więc właśnie zabrałam się do wytrzepywania... Zabrałam się do tych skór... i właśnie kiedy się zabrałam...

Ustyszała cichy, stłumiony śmiech, umilkła.

– No czego, czego – burknęła karcąco Mech i Akuan nie wiedziała, czy to odnosi się do niej, czy do tamtej młódki.

– To było w jesieni, było wtedy zimno, pamiętam, rano leżał szron na prerii. I to jest właśnie ważne, Akuan, ten szron, prawda? Z powodu rosy, która utrzymała się jeszcze długo w zagłębieniach, długo po wschodzie słońca. Sama mi o tym mówiłaś. Wtedy...

– Tak, Mech.

– Nasze tipi¹ stało tuż koło waszego i pamiętam dobrze, jak przywiązywałaś kolebkę do psa. I pamiętam dobrze, co ci wtedy powiedziałam.

– Tak, Mech – szepnęła Akuan.

– I gdybyś mnie była posłuchała... Tak, tak, ale kto słucha rad

¹ tipi – skórzany namiot wędrownych plemion Indian prerii

starej Mech? No dobrze. Przywiązała więc kolebkę z dzieckiem do grzbietu psa, a było zupełnie malutkie, trzy- czy czteromiesięczne...

– Miał dwa miesiące – poprawiła ją Akuan.

– ...do żerdzi na grzbiecie psa i pies chodził wokół tipi, chodził, i chyba dziecko usnęło, bo już go nie było słycać, a ona zabrała się do trzepania skór, do zwijania ścian, tak jak my wszystkie. Każda wie, co oznacza zmiana miejsca, i to w takim pośpiechu. Pies wałęsał się koło nas i słyszałam, jak Akuan go przepędziła, jak...

– Nie! – krzyknęła. – Nie przepędziłam, tak nie było!

– Więc co? – spytała Mech, chytrze mrużąc oczy.

– Po prostu, z powodu tych skór myślałam, że lepiej, jeżeli ono nie będzie wdychało kurzu, myślałam, że pies...

– Aaaa... – mruknęła stara Mech z dezaprobatą. – Pies był mniej winny od ciebie, to powie każdy.

Kobiety spoglądały teraz na Akuan wyczekująco. Czują te ich oczy wlepione w siebie i widziała ich nieruchome ręce, które zapomniały o robocie. Zamiast niej, znów mówiła Mech.

– Toro został odegnany i poszedł gdzieś dalej. Ja tego już nie widziałam, ale Akuan mówiła mi potem, że widziała go, jak stał wśród trawy, na małym pagórku, z łbem odwróconym od wsi w kierunku północy.

– Tak mi się przynajmniej zdawało, że widziałam go tam po raz ostatni. Tak, byłam pewna, że tam. A potem spostrzegłam, że go nie ma.

Stara Mech:

– ...A musiał tego dnia wiać lekki wiaterek od strony Missouri, taki lekki wiaterek, który niesie zapachy prerii do nozdrzy ludzi i zwierząt. Tak to musiało być, czy nie, córko?

Ale Akuan zdawała się teraz nie zwracać na nią uwagi, pochłonięta wspomnieniem, mocnym jak odwar odurzających ziół.

– Msepasse przybiegł, bo usłyszał, jak krzyczałam. Najpierw wołałam psa i biegłam od tipi do tipi, wszędzie było pełno ludzi, którzy się tak bardzo spieszyli, że nie widzieli nic z tego, co się działo dookoła, psy szczekały, biegłam tam, gdzie słyszałam ich głos, ale nigdzie nie było Toro, nigdzie.

– Msepasse wsiadł na konia i pognął w step, okrążał wiele razy obozowisko, mówił mi później o tym. Ale ja pomyślałam, że trzeba się najpierw zastanowić, co mogło się stać, że Toro oddalił się

samowolnie. To musiało być coś silnego, ważnego. Zwierzyna. Dużej zwierzyny nie mógł poczuć, przecież wieś była blisko. I wtedy pomyślałam o jamach króliczych w brzegu urwiska. Gdy pomyślałam o tym, uczułam lód we wnętrzu ciała i na chwilę straciłam oddech. Pobiegłam i stanęłam w tym miejscu, gdzie widziałam psa po raz ostatni. Stanęłam tak, jak on mógł stać, do wiatru, i wchłonęłam wiatr, i węszyłam jak zwierzę, które szuka i czeka.

Przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza, bo nie przywykła mówić tak długo, wygłaszać takie długie zdania jednym tchem. Kobiety pochyliły znów głowy nad swą robotą, ale ręce ich nie były szybkie i sprawne, a przecież niejedna z nich знаła już opowieść Akuan, niejedna słyszała ją kilka razy od niej samej, od starej Mech, od sąsiadek i krewnych.

– ...Wiał lekki wiatr. Uczułam w nim zapach ziemi, trawy, zgniłych liści, potu zwierzęcego. Czułam zapach zwierzęcia, może to był Toro, a może królik, nie wiem. Ale i tak już wiedziałam dosyć, by biec dalej i szukać, i patrzeć, czy nie znajdę jakiegokolwiek śladu. Dobrze pamiętała Mech, że mówiłam o szronie. Wprawdzie już zniknął, ale w zagłębieniach uttrzymała się rosa, i tam zobaczyłam... To nie mogło być nic innego, jak ślad żerdzi i psich łap, więc mogłam się teraz rozejrzeć w tym kierunku, a właściwie nie potrzebowałam się nawet rozglądać, bo to wszystko razem, zapach, trawa, miejsce, w którym widziałam psa, i jamy królicze, o których myślałam, ciągle myślałam...

Straciła znów oddech, przełknęła ślinę, mówiła dalej, a oczy jej, utkwione w ciemność ponad głowami kobiet i oświetlone z dołu ruchliwym blaskiem ognia, zdawały się pełne łez. Ale tak na pewno nie było, choć w istocie któżby się temu dziwił.

Wszystko wewnątrz mnie mówiło, że biegnę w dobrym kierunku. I nawet kiedy przez moment mignęło coś wśród traw, dość daleko, w stronie brzegu, nie zdziwiłam się i pędziłam dalej. Mignęło drugi raz i teraz już widziałam głowę królika i głowę psa i biegłam tak szybko, jak w życiu nie biegłam, mogę wam powiedzieć, że nie czułam ziemi, nie czułam, jak jej dotykam końcami mokasynów, a biegnąc krzyczałam na psa, widziałam już nawet kolebkę i wydawało mi się, że wiatr przynosi stamtąd krzyk dziecka, ale nie wiem, czy tak było naprawdę, nie, tego nie wiem.

– Ale to było bardzo dawno temu – odezwała się nagle któraś z młodszych – jak możesz pamiętać...

– Cicho, cicho – mówiły inne. – Nie przerywaj. Niech mówi.

– Dawno? – Akuan zacisnęła powieki. – To było wczoraj – powiedziała cicho. – Jest znowu jesień, to było wczoraj.

Dały się słyszeć lekkie kroki młodych stóp. Z ciemności wypadł chłopiec, stanął na chwilę, Akuan poznała niespokojną, chudą twarz Czetanaga. Rozglądał się, jakby czegoś szukał.

– Pobiegł do domu – powiedziała – widziałam go.

Chłopiec zawrócił na pięcie i znikł w mroku. Wsłuchiwała się w jego oddalające się kroki. Mech spojrzała i klasnęła w ręce, jakby ją chciała obudzić.

– Pies nie zatrzymał się. Może mnie nawet nie usłyszał. Teraz już nie kluczył za śladem królika, ale widocznie zobaczył go i gnał wprost za nim. Zobaczyłam królika – w powietrzu, w skoku. Skoczył i Toro. Przez chwilę widziałam wyraźnie psa i kolebkę, a potem... Tam był już brzeg, urwisko, znikli razem...

Kiedy dobiegłam i spojrzałam w dół, nie było nic widać, jakby pochłonęła ich rzeka. Nie pamiętam nawet, jak zsunęłam się po piasku i kamieniach. Naprawdę nie pamiętam, było tak, jakby mnie coś zniosło na dół, i oto stałam na tym wąziutkim skraju gruntu między prostopadłą ścianą a skłębioną wodą rzeki. Ujrzałam głowę psa, ujrzałam kolebkę. Trzymała się jeszcze, ale jedna żerdź sterczała w górę, a druga mogła się lada chwila oderwać. Nie pamiętam, żebym wchodziła do wody, ale pamiętam, jak już płynęłam za nimi. Zdawało mi się, że woda unosi ich z wielką szybkością, że nigdy ich nie dogonię. Chwilami szłam pod wodę, odbijałam się od dna. Biłam się z falami. Były żywe, złe, mocne. Odpychały mnie, wciągały. Ale już widziałam kolebkę, widziałam twarz dziecka, była sina. Po otwartych ustach poznałam, że krzyczy, ale nie słyszałam jego głosu, bo woda ryczała i kotłowała się dookoła. Potem zasłoniła dziecko i psa. Wyłynęli znowu. Znowu znikli. Ale teraz byłam już blisko, już raz udało mi się dotknąć grzbietu psa. On także widział mnie, tracił siły, starał się skrócić w moją stronę. Wreszcie chwyciłam go, a potem trzymałam już kolebkę, trzymałam ją mocno. Dziecko było koło mojej twarzy, słyszałam jego krzyk, woda nie zalała go, żyło! Ale teraz pies wczepił się we mnie, chwycił mój kaftan zębami. A i tak było mi coraz trudniej, bo nie zdążyłam przecież zrzucić ubrania, zrobiło się ciężkie i ciasne. I płątały się jeszcze rzemienie kolebki, które woda rozwinęła. Więc jedną ręką trzymałam kolebkę, drugą usiłowałam utrzymać się

na powierzchni i odepchnąć psa, ale już nie mogłam, już szłam na dno, już woda paliła mnie w gardle, traciłam oddech i wiedziałam, że to koniec.

Znów rozległ się tupot kroków, ale gdzieś dalej, poza zasięgiem światła ogniska. Akuan przerwała, kobiety odwróciły się, nadśluchiwały przez chwilę, ale wnet zaczęły wołać:

– Mów, Akuan, opowiadaj, no, Akuan, dalej!

Ale tam coś się działo. Spojrzała na starą Mech i porozumiały się lepiej oczami, niżby to mogły uczynić słowa. Stara nie ruszyła się, siedziała z uchem obróconym w ciemność, jak czujny pies, który nasłuchuje głosów nocy. Coś się tam kotłowało, kroki prowadziły niewidzialne postacie w to miejsce stłumionych odgłosów, musiało ich być coraz więcej. Usłyszały wreszcie okrzyk gniewu, chichoty, skomlenie psa, przechodzące w gniewne ujadanie.

– Mów, Akuan, to tylko chłopaki, mów dalej!

Tam był Czetanag, wiedziała o tym. To był głos jego psa. Od powrotu chłopca nie było dnia bez zaczepek, awantur, wstydu. Nie dalej jak wczoraj znalazła zatkniętą na żerdzi przy wejściu do tipi kukłę z kukurydzianych kaczanów i strzępów skóry z kawałkiem psiego łajna zawieszonym na szyi na kształt amuletu.

Było to wcześniej rano, chłopcy wiedzieli dobrze, że Czetanag wychodzi o świcie, żeby nanosić wody. Ale to Akuan pierwszą zbudził szelest suchych liści na wietrze. Wyjrzała przed dom, chwyciła kukłę i rzuciła w ogień, który tlił się jeszcze od wieczoru. Cóż z tego jednak, że tym razem udało się jej oszczędzić chłopcu przykrości. Zapewne niejedną raz tego dnia, jak i każdego innego od czasu powrotu, dostało mu się od młodych i starych. Prześciganano się w drwinach i złośliwościach.

Nagle ukazał się znowu. Wszedł powoli w krąg światła. Nie biegł i wiedziała, dlaczego.

Szedł tak wolno, że mogła mu się dobrze przyjrzeć. Wydało jej się, że widzi go, jak niegdyś, wyłaniającego się z wrogiego, bezlitosnego oddechu, a siność mroku miała w sobie coś z tamtej siności – głębi wody, śmiertelnego chłodu, beznadziejnej wrogości żywiołu.

Przez ten czas, gdy mijał ją, gdy mijały kobiety siedzące przy ognisku, ze zmrużonymi powiekami, jak gdyby nasłuchiwał, czy ci, którzy idą za nim, są już blisko, bardzo blisko, niebezpiecznie blisko, gdy tak szedł wolno, coraz wolniej – tak żeby nikt na świecie nie

pomyślał nawet przez moment, że on może się bać – Akuan zobaczyła znów na twarzy syna ten nowy, zaskakujący wyraz. Czy było to coś w zaciśnięciu opuchłych warg, czy w nozdrzach, z których cieniutkim strumieniem sączyła się krew, czy w kącikach oczu, a właściwie tego jednego oka, które oświecał blask ognia? Jak mogłaby to nazwać, gdyby w ogóle nazwać chciała? Upór? Siła? Okiełznany gniew czy pasja? Czy może wszystko to razem? A może nawet nie myślała o tym, tylko czuła, i to czuła wyraźnie, z nagłą i niewysłowioną ulgą, że jest w chłopcu coś nowego, na czym może się oprzeć, czemu może zaufać, jak wojownik w oczekiwaniu walki, który zaufać może broni ważniejszej niż wszystkie łuki, oszczepy i strzelby, niż wszystkie noże, maczugi i tomahawki. Broni, bez której cały ten oręż może być równie bezużyteczny, jak witka zeschniętej leszczyny.

Akuan wyprostowała się bezwiednie i spojrzała na starą Mech. I nagle z odmienioną twarzą podjęła dalszy ciąg tej starej historii, od której zaczęły się jej wszystkie kłębki. Była tu przy ognisku, a zarazem na tym wąziutkim skrawku brzegu, w który wczepiła się ostatkiem sił. Uniesiona gorączką trudnych do nazwania uczuć, zaczęła opowiadać na nowo.

Kobiety podniosły głowy i wlepiły w Akuan oczy błyszczące okrucieństwem ciekawości. Opowiadała w podnieceniu, jak wczółgała się wreszcie na brzeg ciągnąc za sobą kołyskę i wczepionego w nią psa. Leżała dysząc ciężko na brzegu i obejmując kurczowo kołyskę. Słyszała płacz dziecka. Więc żyło. Żyło. To jedno rozumiała w tej chwili. Przyłgnęła do kołyski, czuła ustami lodowate rączki, twarzyczkę zimną jak kamień. Usiłowała posunąć się jeszcze dalej, jak najdalej od wściekłych fal rzeki. Wstawiała, upadała, czołgała się, znowu unosząc swój ciężar. Wąski brzeg ledwie mógł pomieścić ich troje. Paraliżujący chłód i mokra skóra odzienia krępowały jej ruchy. I nagle zrozumiała, że jeszcze ma ogrom wysiłku przed sobą. Nie wystarczyło wyratować dziecko z topieli. Żeby utrzymać je przy życiu, należało je teraz natychmiast ogrzać. Wyciągnęła zza pasa nóż i dygocząc rozcięła rzemienie przytwierdzające dziecko do kołyski. Wydobyła zsiniałe ciało, żeby przytulić je do siebie. Ale wnet zrozumiała, że był to trud daremny. Jej ręce, całe jej ciało było równie lodowate, jak ciało dziecka.

Prędzej, prędzej... Musi dotrzeć do wsi, do ludzi. Ale strome zbocze oddzielało ją od równiny; wiedziała, że musi obejść je i tą

wąziutką wypustką brzegu dotrzeć do zakrętu rzeki, do ścieżki prowadzącej w górę. Ale jakże to było daleko. Czy to możliwe, żeby wydarłszy dziecko rzece musiała je teraz stracić? Nie! Musi być przecież jakaś rada, musi coś postanowić, coś uczynić.

I nagle zrozumiała. Zrozumiała w tym momencie, gdy ręka jej sięgała p^o nóż. Jakby była szybsza i mądrzejsza od jej własnych myśli.

Tym samym nożem, którym przed chwilą przecięła rzemienie kolebki, zabiła psa. Otworzyła jego ciało. Gdyby trzeba było, rozplątałyby swoje, żeby dać dziecku schronienie. Nie miała chwili wahania. Tu w ciepłych wnętrznościach był ratunek dla jej dziecka. Pogrzyżyła je w gorące trzewia, utuliła, jak w powijakach. Nie pomyślała nawet o tym, że pies płacił za to, co uczynił.

Okręciła nową kolebkę swego syna rzemieniem i przerzuciła sobie na plecy. Chwiejąc się, zgięta pod krwawym ciężarem, powlokła się ku obozowisku.

II

Przywiózł ją z daleka, znad Niobarary. Była córką wojowniczego plemienia Cheyennów i od początku, od pierwszego dnia, gdy weszła jako żona do jego namiotu, narzuciła mu swoją wolę. Przycichła później, o wiele później, ale z początku Msepasse oczarowany jej urokiem, jej pomysłowością i prawie męską siłą, nieprawdopodobną w tym wiotkim ciele, ustępował jej i podziwiał.

Ale biada krasce wśród wróbli. Cokolwiek uczyniła, było nie tylko przedmiotem podziwu i zazdrości, ale z czasem także docinków i szyderstw. Jakże mogła na przykład nosić włosy upięte w węzeł na karku zamiast splatać je w warkocze, jak mogła ścisnąć się szerokim pasem, uwydatniając nieprawdopodobną wąskość talii i stromość piersi, jak śmiała różnić się zamiast upodabniać, zachowywać wyzywająco zamiast ulegać, śpiewać swoje pieśni zamiast uczyć się tutejszych.

Nikt nie mówił jej tego wręcz, nikt nie tłumaczył: słuchaj, kobieto, uważaj, jak się zachowujesz, bądź mniej hałaśliwa, nie śmiej się, zanim nie zaśmieją się inni, ubierz się trochę inaczej – i tak dalej, i tak dalej. Ale bo też nie leżało w dobrych obyczajach zwracać obcym uwagę, a mimo iż poślubiła Dakotę, nie przestała być Cheyenką.

Robiła więc błąd za bręciem, nieuważna i niebaczna, bezwzględna i naiwna, głupia i żywiołowa.

Aż wreszcie urodził się Czetanag ku dumie i uciesze młodej pary, ale, jak gdyby moce Wakondy² chciały ją przez to nauczyć rozumu, stało się to nieszczęście z dzieckiem. Bo któż to widział, żeby takie maleńkie powierzać opiece psa. U Dakotów nie czyniono tego, a jeśli już, to ze starszymi. Nawet niektórzy utrzymywali, że wszystko, co Akuan robi, robi naumyślnie, może nawet na złość, na złość starej Mech na przykład, która ośmiela się dawać jej dobre rady.

Stało się więc. Chłopczyk omal nie zginął, a uratowany, długo, bardzo długo chorował, potem zaś chował się już wąty i zastraszone. I wtedy czar butnej młodości opuścił Akuan. Z roku na rok cichła i smutniała. Nie miała już powodu do dumy, że urodziła dziecko płci męskiej – przyszłego wojownika. Wszyscy wiedzieli, że to małe chuchro będzie przysparzać rodzicom wstydu i zmartwienia.

Ale im bardziej wydawał się jej nieszczęśliwy i słaby, tym bardziej go kochała i broniła, stawała między nim a ludźmi, żeby go chronić od drwin i śmieszności.

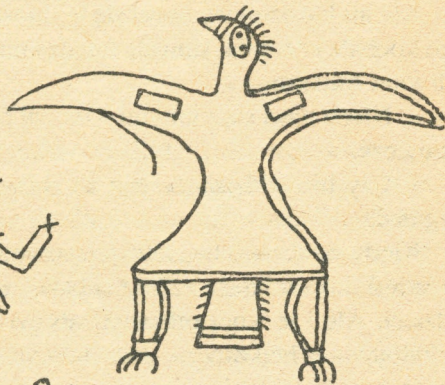
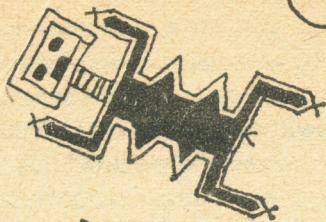
– Niech bawi się z innymi – mówił Msepasse – niech walczy, niech się uczy.

– Czy nie widzisz, że jest za słaby, czy nie rozumiesz, że może zginąć?

Kiedy miał pięć lat, ledwie zaczynał chodzić. Nie miał właściwie rówieśników, nikt się z nim nie bawił, chyba o wiele od niego młodsze dzieci. Ale i te wnet przewyższały go w zręczności i sile. Pięcioletni chłopcy – u Dakotów – przechodzili zwykle spod opieki matki do społeczności chłopięcej, gdzie pod kierunkiem dorosłych wojowników uczyli się strzelać z łuku, walczyć i obchodzić z lżejszą bronią. Uczyli się także pływać i grać w zbiorowe gry zręcznościowe, w piłkę albo w kręgle. Czetanag w tym okresie czepiał się jeszcze sukni matki, a przed wodą czuł nieprzeparty lęk i nie można go było namówić, żeby tak jak inni nurkował i wypływał na głębinę.

– Przejdzie mu to, zobaczycie – pocieszała rodziców siostra Msepasse, Kurupe, której synek Oopa, urodzony tego samego dnia co Czetanag, też nie należał do tych najbardziej przedsiębiorczych. On jeden zresztą – może dlatego, że łączyły go z Czetanagiem bliskie

² Wakonda – najwyższe bóstwo Indian prerii



rys.

Cretanaga



więzy krwi – zgadzał się czasem towarzyszyć mu w zabawach i nie wyśmiewał się z niego tak dotkliwie.

Czy jednak Kurupe myślała tak, jak mówiła? Może po prostu litowała się nad bratem, bratową i tym nieszczęsnym niedojdą.

Tak więc z daleka przyglądał się zabawom i ćwiczeniom rówieśników. Wprawdzie gdy miał osiem lat, potrafił niejedno zrobić, strzelał już niezłe z łuku i nastawiał paście na borsuki i lisy, ale był ciągle słabszy od innych, a przede wszystkim nieśmiały i tchórzliwy. Mse-passe spoglądał na niego i wzdychał, Akuan zaś zużywała całą energię na to, żeby mu dogodzić i obronić od złośliwości otoczenia. Gdyby miała więcej dzieci, może nie zachowywałaby się tak nierozsądnie; może zawiniła tu także jej sytuacja we wsi. Wprawdzie przestała już być ośrodkiem plotek i zainteresowania, ale ciągle jeszcze otaczała ją nieufność.

Stara Mech była jedną z nielicznych kobiet, które potrafiły żyć się z Akuan. Ale cóż ona mogła poradzić, jeśli nawet zabiegi szamana nie były w stanie wzmocnić chłopca.

Kręcił się więc koło rodzinnego tipi, pomagając w drobnych gospodarskich pracach albo, siedząc w kucki, rysował patykami na piasku przedziwne wizerunki zwierząt i ludzi, ptaków i roślin, póki banda chłopaków, przebiegając mu złośliwie przed nosem, nie strato-wała jego dzieła.

Może nawet nie zdawali sobie sprawy ze swojej złośliwości, może po prostu jego inność i słabość wyzwalały paradę butnej dziecinnej siły.

Pewnego dnia stał nad brzegiem rzeki i przyglądał się chłopcom dokazującym w wodzie. Widział Abuanę i Tepego, widział zręcznego jak dziki kot Andę, który był niedościgłym ideałem nie tylko dla niego, ale i dla wielu chłopców plemienia. A przecież i Andy nie lubiano, gdyż trzymał się z dala od innych, sam po śmierci rodziców i brata zamordowanego podstępnie przez białych. Ale Anda potrafił wszystko, dosłownie wszystko. Ach, jaki wspaniały był i zręczny.

Gdy tak stał i spoglądał z niechęcią i zazdrością zarazem na te igraszki w wodzie, uczył nagle potężne uderzenie w kark i nim się zorientował, co się z nim dzieje, znalazł się w rzece. Gdy wychynął na powierzchnię, zobaczył wykrzywioną śmiechem twarz Hungotingi, który przygotowywał się do nowego ataku. Hungotinga był starszy co

najmniej o dwa lata, cóż znaczył dla niego taki mały słabeusz, jak Czetanag.

Ale w tej chwili ujrzał, że napastnik otwierając szeroko gębę znika pod wodą wśród nowych salw śmiechów i wrzasków, gdy tymczasem tuż przy nim wynurza się dzika twarz Andy.

– No – mówi swoim schrypniętym, szorstkim głosem – uciekaj szczeniaku!

Czetanag, jak pies, którego często biją, czuje, że ta ręka go nie uderzy. Ale boi się, więc nie odwracając się i nie mówiąc nic wyłazi na brzeg. Ucieka do domu.

Mógł mieć dwanaście lat, gdy stała się ta głośna historia z Andą³. Wprawdzie Czetanag był na uboczu, ale i tak wiedział nie mniej od innych, przede wszystkim dlatego, że go Anda tak bardzo pociągała. Gdy zniknął Hodash, przyjaciel Toonumpy (Toonumpe to brat Andy), i wszyscy we wsi mówili, że to Toonumpe zabił Hodasha, Czetanag zwierzał się matce:

– Ja w to nie wierzę, to zupełnie niepodobne do Toonumpy. Ani on, ani Anda nie mogliby nic takiego uczynić!

Ale matka nie przejmowała się bardzo cudzymi sprawami, dość miała swoich zmartwień. Wzruszała więc ramionami, nie zwracając uwagi na to, co mówi Czetanag. On za to był bardzo przejęty.

Zdarzało się, że zaczajony podpatrywał chłopców z daleka, jak siedzą pod opuszczonym, czarnym od dymu namiotem Andy, pałą fajki i rozprawiają o czymś tajemniczo.

Potem Anda znikł. Mówiono, że uciekł do swego brata, który musi się ukrywać. Były to sprawy skomplikowane i smutne, coraz smutniejsze. Aż wreszcie odebrano Andzie ukochanego konia, pomalowano go na kolory wolności i puszczono w świat.

– Dobrze mu tak – mówił Hungotinga, który dostał już dwa razy od Andy straszliwe cięgi – dobrze mu tak. Niech wie, że nie może robić wszystkiego, co mu się podoba.

Żył wtedy jeszcze stary wódz Loone-kaszega, przyjaciel Andy. On to starał się bronić chłopca przed szamanem i członkami plemienia. Ale i tak niewiele wskórał, bo koń przecież został chłopcu odebrany.

– A jednak Anda zrobił to, co chciał! Tak! Tak! – krzyczał z zachwytem Czetanag, kiedy w jakiś czas potem ujrzał chłopca na

³ Dzieje Andy są treścią opowieści *Dziki Anda* tejże autorki.

wyzwolonym koniu. Szczególny podziw wzbudziło w nim to, że Anda sprzeciwił się wszystkim, potrafił zachować swoją wolę i nieugięty charakter.

– To tylko głupota – mówił Msepasse. – Ten chłopiec uparty jest jak stary łoś. Nie masz czego skakać z radości, bo to żaden przykład dla ciebie, tym bardziej że jesteś słabszy od innych.

– Czy to znaczy, że gdybym był silny...

Ale ojciec przerwał zniecierpliwiony:

– To znaczy tylko to, co powiedziałem. A teraz idź i zastąp matkę przy żarnach zamiast tu mędrkować.

Wtedy pierwszy raz w życiu Czetanag się zbuntował. Krzyknął:

– Nie, nie pójdę, to robota dla kobiet, a ja mam już trzynaście lat! Nie! Nie i nie! Nie będę tego robił!

Msepasse był tak zaskoczony, że pozostał z otwartymi ustami, a potem nagle roześmiał się i śmiał się tak długo, aż Akuan przybiegła zaciekawiona. I przez chwilę rodzice patrzyli na chłopca ze zdziwieniem i czymś, co można by nazwać nadzieją.

Gdy był malutki, Akuan śpiewała mu pieśni w języku swego plemienia, a kiedy nikogo nie było w pobliżu, także mówiła do niego w języku Cheyennów. Potem nawet i na to nie zwracała uwagi, czy ktoś słucha, czy nie. Czemuż by nie miała mówić do swojego dziecka po swojemu. Tak więc od małego uczył się Czetanag dwóch języków. Zresztą zdarzało się przecież nieraz, że Dakotowie brali za żony kobiety innych plemion, albo że osiedlali się u nich i żenili z ich kobietami ludzie innej mowy. Ale w tym wypadku język był barierą, która jeszcze bardziej oddzielała chłopca od otoczenia i pozostawiła w tej zagrodce obcości, którą stworzyła chcąc czy nie chcąc Akuan, a którą umacniało wszystko to, czym fizycznie i duchowo dzieciak różnił się od swoich rówieśników.

– Cheyen! Cheyen! – wołali za nim. – Czy wszyscy u was są tacy dzielni, jak ty?

Kiedy wszystko zawodziło, pozostawała preria. Uciekał daleko. Rzucał się na ziemię. Leżąc na brzuchu, ukryty w trawie, mógł godzinami wpatrywać się w ruch owadów po źdźbłach roślin, po nieznanych ścieżkach i wejściach do podziemnych korytarzy. Nadstawiał palce i jak czarodziej przenosił z miejsca na miejsce powoli pełznące gąsienice, przypatrywał się mrówkom biegającym niespokojnie po nagiej skórze jego ramienia albo z zapartym tchem śledził

ciężki, gniewny lot trzmieli, podobnych do maleńkich bizonów o kosmatych, pochylonych karkach, wdzierających się w tajemnicze głębie kielichów kwiatowych. Pozwalał pasikonikom wędrować po nieruchomej dłoni i obserwował gwałtowne, lecz precyzyjne ruchy cienkich jak żdźbła nóżek, wspaniałość nagle rozpostartych skrzydeł.

Kiedy wszyscy chłopcy byli gdzieś daleko, zajęci polowaniem albo zabawą, schodził nad rzekę. Z czasem przestał się jej bać. Gdy był sam, należała do niego, mógł do woli wpatrywać się w płytkie, słoneczne zalewy, w których wylęgały się kijanki i traszki, mógł brodzić po mieliznach, wejść głębiej i pływać. Ale tylko wtedy, gdy był zupełnie sam. Płynął powoli, dawał się nieść prądowi albo zanurzwszy twarz otwierał oczy – wtedy z zielonego żywiołu wyłaniał się przed nim inny świat. Widział lekkie pulsujące cienie ryb na gładkim piasku dna, wiotkie wodorosty przesyłające nieznane sygnały w ciemność zielonych tuneli. Kozuch pułapu wodnego wzdymał się nad nim i pękał pod uderzeniem srebrnych baniek powietrza, które wypuszczał powoli z ust; świat przekręcał się, przeinaczał, uciekał jak taśma wartkiego, przesuwanego się wampumu⁴, którego nie sposób było odcyfrować.

„Tonę... tonę...” – myślał wstrzymując oddech, z dreszczem rozkosznej trwogi pozwalając swemu ciału iść powoli na dno, by za chwilę porwać się i śmigać w górę.

Gdy wracał do domu, matka pytała:

– Co to? Kąpałeś się?

Ale na złość jej i sobie odpowiadał:

– Przecież wiesz, że boję się rzeki.

Te samotne kąpiele to były sprawy ostatniego lata, kiedy zbliżał się czternasty rok jego życia. Myślał z niepokojem o zbliżających się uroczystościach inicjacji⁵, o długotrwałym poście, o wyprawie na pustkowie, o snach proroczych, o zwierzęciu, które mu się wyśni.

Słyszał już nieraz, jak rodzice mówili między sobą, że jest za słaby i za mało rozwinięty, że powinien jeszcze poczekać. Ale przecież tego roku miał przez to przejść Oopa, Oopa, jego rówieśnik. Nie. I on, Czetanag, pójdzie także, musi iść.

– A jeśli przyśni ci się „trudne” zwierzę – pytał ojciec – co wtedy

⁴ wampum – pas, za pomocą którego przekazywano wiadomości, haftując na nim odpowiednie znaki

⁵ inicjacja – wprowadzenie, wtajemniczenie; tu: przyjęcie chłopca do grona dorosłych po przebyciu przez niego zwyczajem przepisanej „próby” odwagi, wytrzymałości, zaradności

zrobisz? Nie potrafisz upolować ani białego niedźwiedzia, ani pumy, ani...

– Przestań, Msepasse – przerywała matka. – Przecież może zobaczyć borsuka albo żółwia. Dlaczego zawsze myślisz o najgorszym?

– Niechże mu się przyśni wiewiórka – mówił Msepasse – niechże mu się przyśni jakiegokolwiek zwierzę, które potrafi upolować, i niech amulet zawisnie na jego szyi. Może wtedy coś się odmieni.

I oboje wzdychali patrząc z niepokojem na przygarbioną sylwetkę syna, na jego przerażająco chude ręce i nogi, na których ledwie rysowały się mięśnie.

III

Usłyszał stukanie. To Oopa bębnił w skórę namiotu tuż nad jego głową, tak jak się umówili. Pod popiołem tlił się wczorajszy żar, ledwo widoczną plamą szarzało niebo przez uchyloną zasłonę.

Ubrał się szybko, starając się nie budzić rodziców, choć był prawie pewny, że słyszy stłumiony szept matki. Ale obyczaj nakazywał, żeby chłopiec wyszedł tego dnia z domu sam, nie budząc nikogo, na czczo i w milczeniu. Sięgnął po torbę myśliwską, po łuk i kołczan.

Wyszedł. Odetchnął głęboko chłodnym powietrzem przedświt. Na niebie wisały jeszcze ciężkie gwiazdy jak krople rosy, z zarośli hikorowych odezwał się drozd i zdawało się chłopcu, że głos jego, który miał w sobie coś z fujarki, coś ze śpiewnego przelewania się wody, nazywa te gwiazdy, tę zaczajoną porę dnia, jego samego i że jest w tym jakieś głębsze znaczenie, jakiś tajemniczy wiatyk na drogę, która go czeka.

Oopa stał nie opodal trzymając konia za uzdę. Nawet jego znajoma sylwetka wydała się Czetanagowi inna, wszystko wokół było dziwne i obiecujące zarazem. Wstrząsnął nim lekki dreszcz, jak przed skokiem w nieznaną głębinę.

Obaj dziś kończyli czternaście lat i, zgodnie z obyczajem Dakotów, mieli jechać na odludzie, gdzie po trzech dniach postów i modłów w proroczym śnie objawi im się zwierzę, które każdy z nich powinien upolować, by następnie zawiesić sobie w talizmanowym woreczku na szyi część jego skóry albo ułamek kości.

Amulet taki chronił chłopca, przez całe życie towarzyszył mu



w jego poczynaniach, we wszystkich obrzędach, łowach i walkach aż po ostatni dzień – by wreszcie spłonąć albo być pochowanym w łonie matki ziemi razem z nim.

Nie wrogiem bowiem, ale przyjacielem i towarzyszem jest zwierzę przez cały ciąg życia Indianina. Jeśli je zabija, to tylko dlatego, że mięso jego i skóra są mu potrzebne do życia. Indianin zabija zwierzę, a potem śpiewa pieśń dziękczynną, błaga o przebaczenie, czci jego kości, jednoczy się z jego duchem, czasem zaś duch zwierzęcia staje się duchem opiekuńczym, pomaga w walce i łowach w porozumieniu z potężnymi siłami Wakondy, siłami napęlniającymi cały świat, wodę, powietrze, ziemię.

Zaprowadzili mustangi nad strumień, a potem ciągle milcząc wskoczyli na ich grzbiety i pomknęli na południe. Przed nimi na horyzoncie zaczynały wstawać z mgły porannej ledwie widoczne widma: sylwetki skał pustkowiec. Zdawały się wisieć nad ziemią, odcięte smugami oparów, gdy tymczasem ich szczyty różowiały powoli jak pączki mających się rozwinąć kwiatów. Zjechali ze wzgórza na piaszczystą równinę. Od wschodu powiał pierwszy podmuch poranka. Usłyszeli jęk przeciągły i wibrujący, który zbliżał się, rósł. Zatrzymali konie, żeby słyszeć lepiej, i stali przez chwilę w grozie tego jęku, który słał się falami piasku pod kopyta mustangów.

Jeszcze tego dnia, o zmroku, stanęli u stóp skał.

Oopa otworzył oczy, przeciągnął się i ziewnął. Zobaczył przed sobą chudą postać Czetanaga i, przypominając sobie nagle wszystko, skoczył na równe nogi. Zachwiał się jednak i musiał natychmiast usiąść. Jakże się to stało, że ten chuderlak, Czetanag, zniósł lepiej niż on trzy doby postu? Był tylko trochę bledszy niż zawsze i patrzył na towarzysza swoim spłoszonym wzrokiem nie mówiąc nic, jakby to był jeszcze okres milczenia.

– No co? – spytał Oopa i przypominając sobie swój sen wrzasnął:

– Borsuk! Borsuk! A co ty? – zwrócił się, przytomniejąc, do Czetanaga. I nie czekając na odpowiedź zaczął podskakiwać w miejscu i powtarzać swoje: – Borsuk! Borsuk! Borsuk!

Ale dlaczego Czetanag milczał, dlaczego stał ze zwieszoną głową, dlaczego nie było śladu radości na jego twarzy?

Oopa zamilkł wreszcie i spojrzał pytająco.

– No, gadaj – powiedział trochę zawstydzony.

Czetanag milczał dalej. Nagle odwrócił się i powiedział szybko:

– Wiedziałem, że tak będzie. Nie mogło być inaczej. Mnie zawsze...

– Ale co to było? – spytał Oopa. – Przecież coś widziałeś we śnie.

– Tak. Wiedziałem. Wiedziałem tak wyraźnie, jak ciebie widzę – głos Czetanaga drżał. – Wiedziałem pierwszej nocy i drugiej to samo.

– No więc? – parsknął niecierpliwie Oopa.

Czetanag spuścił głowę, jakby chciał ukryć twarz przed oczami przyjaciela.

– To było zwierzę... którego nie ma.

– Czy może się śnić zwierzę, którego nie ma? – Oopa spróbował się roześmiać, ale Czetanag siedział dalej poważny, smutny, a nawet zły. Oopa widział we śnie borsuka, nie będzie więc miał trudności z upolowaniem go. Zdarzało się, że zwierzęciem ze snu był niedźwiedź, wilk albo puma. To już przedstawiało większe trudności. Bywał, słyszeli o tym, że przyśnił się niedźwiedź polarny albo ogromny jaszczur, jak te, które zamieszkują wody południa. Ale w końcu nie były to stworzenia nieosiągalne; upolowanie ich było wprawdzie niełatwe, trwało nieraz długie miesiące, ale wreszcie chłopiec wracał zwycięsko i zwycięstwo to przynosiło mu tym większy zaszczyt i sławę. Ale co miał począć ktoś, komu przyśniło się zwierzę, którego nie ma?

– A może ono istnieje – pocieszał go Oopa. – Może ci się tylko wydaje. Powiedz przede wszystkim, jakie ono było, jak wyglądało.

Chłopiec wzruszył ramionami:

– Było czarne... czarne kudły jak grzywa bizona... ogon jak u bizona.

– No to bizon!

– Bizon! – niecierpliwie zachnął się chłopiec. – Bizon, który jest niewiele większy od kojota i chodzi na dwóch łapach!

– Nie... – zdziwił się Oopa. – Jak to na dwóch łapach? A pysk, a zęby?

– Nie wiem... chyba miało kły... jak drapieznik...

– To rzeczywiście bardzo dziwne zwierzę – pokręcił głową Oopa.

Czetanag roześmiał się gorzko.

– Ale to jeszcze nic... Czy wiesz, co robiło? Zachowywało się inaczej niż jakiekolwiek zwierzę. Bez sensu.

– Mów!

– Chodziło na dwóch łapach, o tym ci już mówiłem, i trzymało w zębach księżyc. Okrągły księżyc, księżyc w pełni.

– Pożerało go?

– Nie wiem... Nie wiem – odpowiedział Czetanag i zamknął oczy, jakby sobie chciał wyraźnie przypomnieć sen. – Po prostu trzymało go w zębach.

Umilkł. Oparł czoło na podniesionych kolanach; pocierał nim z niecierpliwością o wyświechtaną skórę leginów⁶. Dlaczego właśnie.

⁶ leginy – skórzane nogawki sięgające do bioder, przytwierdzone do paska

jemu musiało się to przydarzyć? Dlaczego on jeden wśród swoich rówieśników miał zawsze ze wszystkim nieoczekiwane kłopoty?

– Wiesz – pocieszał go Oopa – może ktoś zna takie zwierzę. – Ale w głosie jego była nuta zwątpienia. Nawet i on, który był najbliższym przyjacielem Czetanaga, musiał w końcu zwątpić w to, że może mu się coś udać, że może się poszczęścić. Znał przecież wszystkie biedy i niepowodzenia Czetanaga. Przed ich wyjazdem na pustkowie Czetanag zwierzał mu się:

„Zobaczysz, przyśni mi się jakieś ogromne, trudne zwierzę. Jakiś lew morski czy coś takiego, co żyje daleko i jest złe do upolowania. Zobaczysz, że tak będzie!”

Ale czy ktokolwiek mógł przypuścić, że przyśni mu się zwierzę, którego nie ma?

Nie, nie chciał, żeby przychodzili bez przerwy, dopytywali się: „No, opowiadaj, jak wyglądało, jakie miało łapy, jaki pysk? No, opowiadaj, mały głupcze, no, mów. Chcemy się pośmiać, bo lubimy się śmiać z takich, jak ty. My, silni, zdrowi chłopcy, my, silni myśliwi. I nie oglądaj się na Oopę ani na tatę i mamę, ani na nikogo, kto by cię chciał wziąć w obronę”.

Gdy się odwracał, żeby uciekać, czuł na nagich plecach uderzenia kamyków, słyszał wybuchy śmiechu. Słyszał je tak długo, póki nie zakopał się w posłanie z niedźwiedzich skór w głębi rodzinnego wigwamu, zatykając uszy na słowa matki, na jej westchnienia, starając się nie słyszeć tego, co mówi ojciec, który tak bardzo pragnął być dumny z jedyne go syna, a który musiał wstydić się i odwracać głowę, kiedy słyszał ludzi wymawiających jego imię.

– Niech idzie do szamana – powiedziała któregoś dnia matka – niech zapyta. Może on coś będzie wiedział o tym zwierzęciu?

– Tak myślisz? – westchnął Msepasse. – Przecież znasz Isztesundę nie od dzisiaj.

– Tsss... Ale duchy mogą o tym wiedzieć. Niech chłopiec idzie. Czy nie widzisz, jak się dręczy. Oopa upolował już swego borsuka i popatrz – już paradyje z nowym amuletem. Może Czetanag wreszcie...

– Czetanag... – westchnął znów ojciec i zamyślił się tak, że wcale nie zauważył, jak jego fajka zgasła.

Na drugi więc dzień stanął Czetanag przed namiotem czarodzieja. Zastłona podniosła się i wyszedł Hungotinga. Wszyscy wiedzieli, że

kręci się teraz koło Isztesundy, że jest u niego czymś w rodzaju slugi, pomaga mu nosić wodę, drzewo na ogień i zapewne stara się podpatrzeć czary, może po prostu myśli o tym, żeby stać się jego uczniem. Czetanag nie lubił go i trochę się go bał. Hungotinga starszy był od Czetanaga i oczywiście nie zniżał się do tego, żeby się z nim zadawać. Gdy wyszedł przed tipi czarodzieja, spojrzął z góry na chłopca.

– Czego? – nie było w tym ani cienia zachęty. Zmarszczył się groźnie i powiedział jeszcze: – Uciekaj, żebym ci skóry nie przetrzepał! No!

Ale chłopiec się nie ruszył. Stał z lekka przymrużywszy oczy, jak ktoś, kto czeka na uderzenie. Spoglądał na Hungotingę przez rzęsy. Przecież wiedział, że musi się dostać do czarodzieja.

Hungotinga tymczasem odczepił tykwy wiszące na gałęzi drzewa i poszedł z nimi w kierunku rzeki. Chłopiec poczuł się pewniejszy siebie, przysunął się do samych drzwi i zajrzał do środka. Czarodziej siedział w kucki przed ogniem i jadł placki, maczając je w miseczkę z tłuszczem. Wyglądał przy tym zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy przemawiał do zgromadzonych albo odprawiał czary. Czetanag omal nie zachichotał. Isztesunda pewnie nie byłby zadowolony, że widziano go zwyczajnie, przy jedzeniu – pomyślał. Cofnął się więc o dwa kroki i zapytał jak umiał najuprzejmiej:

– Czy mogę tu poczekać, ojcze? Czy zechcesz wyjść i porozmawiać ze mną?

Przez chwilę nikt się nie odzywał wewnątrz, tak jakby czarownik zastanawiał się, co ma odpowiedzieć, albo po prostu kończył posiłek. Chłopiec usiadł na kamieniu. Wiedział, że nic nie załatwia się u szamana szybko, że musi odczekać, aż szaman zechce wyjść, a przecież nie powinien wychodzić prędko do kilkunastoletniego chłopca, kiedy nawet dorosłym wojownikom kazał czekać, ażeby go szanowano, ażeby każdy czuł, że Isztesunda czas jest droższy od czasu innych.

Tymczasem Hungotinga wrócił dźwigając tykwy, w których przelewała się woda. Był zły. Wiedział, że jeżeli ktoś taki, jak Czetanag, przychodzi do czarodzieja, nie oznacza to wielkich darów.

Powiesił tykwy na złamanej gałęzi dębu, oparł się niedbale o pień krzyżując ręce na piersiach i rzucił Czetanagowi jedno z tych pogardliwych spojrzeń, gorszych niż obelga.

– Jak tam amulet? – spytał. A po chwili dodał: – Tacy jak ty powinni nosić coś innego na szyi. Chcesz, żebym ci powiedział? Chcesz?

Czetanag patrzył na niego ponuro, nie otwierając ust. Wąska, koścista, nieregularna twarz Hungotingi napawała go odrazą i strachem.

– No, co? Chcesz, żebym ci powiedział?

Gdybyż się go Czetanag nie bał! Ale stał tu przed nim starając się na próżno ukryć drżenie, gdy tymczasem nieubłagany Hungotinga przybliżał się, wyciągając powoli brudny palec zakończony długim jak szpon paznokciem.

– Zawieś sobie psie gównno, słyszysz, psie gównno...

Zataczając się od śmiechu, niezbyt głośnego, takiego, który był tylko dla niego i dla Czetanaga, oparł się znów o drzewo, zezując w stronę namiotu, baczny na swoje obowiązki, a zarazem gotowy w każdej chwili przyskoczyć do chłopca z nową obelgą. Czetanag milczał zaciskając zęby. Miał ochotę rzucić się na Hungotingę, ale wiedział, że nie starczy mu ani odwagi, ani siły. A zarazem chciał uciekać. Nie, tego nie powinien robić, tego nie wolno mu robić...

– Hi, hi... Nie musisz po nie daleko chodzić, możesz je pozbiierać, gdzie...

Zasłona w drzwiach tipi podniosła się i stanął w nich szaman. Miał na sobie zwykły kaftan. Czetanag zauważył, że broda jego błyszczą od źle wytartego tłuszczu.

– Kto chce ze mną mówić? – spytał głosem namaszczonym, a jednak trochę niecierpliwym. Czetanag postąpił krok naprzód i schylił się z szacunkiem.

– Aaa... czy to Msepasse przysła cię, synu?

Czetanag potrząsnął głową⁷ potakująco. Hungotinga zaś wtrącił szybko:

– Przyniosłem wody, ojcze. Czy mogę już wracać do domu?

Isztesunda namyślał się przez chwilę:

– Jeszcze drewno. Jeszcze dwa duże naręcza drewna. Jeszcze zdejmiesz ziola z żerdzi i jeszcze nastrugasz mi wykałaczek. Rzekłem.

– Ach... ach... – stęknął Hungotinga udając, że pada ze zmęczenia. Kiedy zaś szaman odwrócił się i wszedł do namiotu gestem zaprasza-

⁷ Indianie potrząsają głową na znak potwierdzenia z lewa na prawo

jąc Czetanaga do środka, Hungotinga zdążył jeszcze przyskoczyć i kopnąć chłopca w pośladek.

W namiocie panował półmrok. Był to namiot większy od innych, a właściwie były to dwa namioty połączone razem w ten sposób, że skóry, tworzące stykające się ściany, były uniesione, niezbyt wprawdzie wysoko, tylko tyle, żeby człowiek schyliwszy się mógł przejść z jednego pomieszczenia do drugiego. Pierwszy rozjaśniony był blaskiem słabego ogniska, w drugim panowała zupełna ciemność. A jednak tam właśnie Czetanag miał ochotę patrzeć, tamta część przyciągała jego spojrzenie. Zdawało mu się nawet, że coś porusza się tam, jakby pełzało ogromne zwierzę o rozlewających się konturach. Przystanął i podniósł spłoszony wzrok na szamana.

– Taaak... – powiedział Isztesunda. – Moce Wakondy są wszędzie, synu, wszędzie. Ale nie wszyscy mogą je widzieć, a jeżeli mogą, to musi się to stać za pośrednictwem kogoś, kto zna „słowa”. Czy ojciec twój zna „słowa”?

Czetanag zrobił przeczący znak ręką.

– A jego bracia albo bracia twojej matki? Kto oprócz mnie zna „słowa” wywołujące i „słowa” cofające? Kto zna zaklęcia snów i zaklęcia chorób, kto zna zioła, które przynoszą ulgę w cierpieniu, zioła wywołujące zbawienną gorączkę, zioła dające siłę wojownikom i niechybne oko myśliwym...

Szaman mówił, a jednocześnie dorzucał gałęzi i ziół do ognia. Płomienie zaczynały strzelać żywiej, jak drobne mikamwesy⁸ skaczące z gałęzi na gałąź, mikamwesy o głowach spiczastych jak grotty maleńkich oszczepów. Gdy chłopiec patrzył na nie i wchłaniał gorzki zapach dymu, jak ptak przesunęła się nad jego głową ciemna ręka i raz jeszcze, i znowu.

– Kto zna ścieżki Nakpe Han mieszkającego w powiewie zachodniego wiatru, kto zna ślady nóg May May Gesi, upiorów skalnych, kto zna ich głosy, głosy nawołujące, głosy nazywające i głosy rozkazujące, kto ma moc zamykania i kto ma moc otwierania... Tchianat Nichu, Tchianat Nichu...

Garstki suszonych ziół wzniecały raz po raz kłęby dymu i było od nich coraz to ciemniej i coraz to straszniej.

– Mów... mów... – usłyszał głos szamana, dochodzący zda się

⁸ mikamwesy – krasnoludki, koboldy

z zupełnie innego miejsca niż to, w którym się Isztesunda znajdował.

– Mów... mów...

Potem był to jego własny głos, ale przytłumiony i obcy. Opowiadał o zwierzęciu ze snu, mówił mozolnie, bo gardło jego uciskała niewidzialna ręka, a język przyklejał się za każdym słowem do podniebienia, tak jak to bywa u dzieci, gdy nabiorą do ust dla zabawy żywicy albo rozgotowanego kleju kostnego.

Odpowiadał na pytania Isztesundy, a powieki jego były coraz to cięższe i cięższe, jak gdyby maczugi maleńkich uldityów⁹ uderzały w nie, chcąc wywołać osłupienie i senność.

Potem z czeluści pełnej kłębow dymu powoli zaczął wyłaniać się na powierzchnię. Nie siedział już, ale leżał na wznak i kiedy z wysiłkiem uniósł głowę, zobaczył w świetle ognia szamana, który pił z drewnianej czarki przechylając ją powoli, powoli, tak że przez czas jakiś chłopiec widział tylko okrągłe dno i żylaste ścięgna starczej szyi. Isztesunda skończył pić, odsapnął, otarł usta czubkami szerniałych palców i spojrzał na chłopca. Zachichotał.

– Uwolniły cię, synu – powiedział przymykając oczy.

Czetanag potrząsnął głową nie rozumiejąc.

– Uwolniły cię – powtórzył szaman. – Moce Wakondy uwolniły cię.

Czetanag oprzytomniał.

– Ale to był przecież prawdziwy sen, ojcze!

– Zdarza się, że sen jest niedobry – mówił Isztesunda. – Zresztą moce, zapytane przeze mnie o zwierzę, które opisałeś, powiedziały, że takiego zwierzęcia nie znają, jeśli zaś nie znają, to znaczy, że takiego zwierzęcia nie ma.

– Czy... czy będę musiał jeszcze raz iść na pustkowie?

Isztesunda pomyślał chwilę:

– Już nie w tym roku. Dopiero przyszłego lata masz odbyć wtajemniczenie. „One” tak chcą. Ja to wiem.

– Powiedziały ci? – odważył się zapytać chłopiec.

– Ssss... – szepnął szaman. – Ssss...

– Ja tylko...

– Ssss... Nie wolno mówić!

Ale Czetanag wyobraził sobie nagle Oopę z amuletem na piersiach,

⁹ uldity – koboldy snu

wyobraził sobie innych chłopców i to, co od nich usłyszy, i to, co usłyszą rodzice od sąsiadów i krewnych, i te wszystkie śmiechy, drwiny i upokorzenia, których dozna, gdy dowiedzą się, że szaman uznał go za niegodnego wtajemniczenia, że jego sen okazał się fałszywy.

Przymknął oczy, żeby się skupić i odpowiedzieć coś szamanowi, gdy nagle, w przypomnieniu krótkim jak błyskawica, doznał olśnienia:

– Isztesundo, Isztesundo – zawołał – przecież ja już kiedyś, dawniej, widziałem to zwierzę!

Ale szaman zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Ssss – szeptał. – Uwalniam cię, uwalniam cię... Idź teraz do domu i powiedz, że jesteś uwolniony. Powiedz to ojcu, niech przyjdzie do mnie i niech razem ze mną złoży ofiarę mocom Wakondy.

Czetanag zerwał się. Spoglądał na Isztesundę rozszerzonymi ze zdumienia oczami, jakby sam nie wierzył w to, co słyszy.

– Przecież ci mówię, że już widziałem je kiedyś... Przecież to prawda...

Szaman wstał i podniósł zasłonę.

– Idź już, idź.

– Mówię prawdę, Isztesundo! Przecież mówię ci...

Został wypchnięty przed namiot. Na dworze była już noc. Usłyszał czyjeś kroki, spośród zarośli wyłonił się cień.

– Czy to ty, synu? – był to głos Msepasse.

Czetanag podbiegł do ojca. Chciał mu czym prędzej powiedzieć o wszystkim, ale nim otworzył usta, Msepasse rzekł:

– Przyszedłem po ciebie. Chodź prędzej do domu.

– Czy coś się stało? – spytał Czetanag.

– Przyjechał ojciec twojej matki.

Czetanag zatrzymał się, jak gdyby chciał uciekać. Dziadek, Cheyenna znad Niobarary, wojownik, o którym tyle słyszał. Czy przyjechał przypadkiem? Wiedział, że jest jego jedynym wnukiem, że dziadek bardzo jest przywiązany do swojej córki. Czyżby... – pamiętał o czternastych urodzinach wnuka?

Dziadek był raczej milczący, ale oczy jego umiały mówić i to, co wyczytał w nich Czetanag, od razu, od pierwszego wieczoru, kiedy siedzieli u ogniska w kręgu rodzinnym, było dla chłopca czymś zgoła nowym i niespodziewanym.

To prawda, że Ahpaki nie potrafił ukryć zaskoczenia, może nawet rozczarowania na widok wnuka, długo wpatrywał się w niego, a potem przeniósł pytające spojrzenie na córkę.

Akuan spuściła głowę, dziadek zaś przesunął rękami po ramionach Czetanaga, potrząsnął nim lekko i westchnął.

Potem już zdawał się nie zwracać na niego uwagi przez cały czas powitalnego przyjęcia, które składało się z wielu doskonałych potraw, jako że niedawno ojciec upolował dwie antylopy, a kukurydza zaczęła już dojrzewać.

Czetanag oblizywał jeszcze palce po syropie klonowym, którym polane były placki, gdy Msepasse podał dziadkowi uroczystą fajkę, cannon-bompa, jak ją tu nazywali, i dziadek zapalił nie spiesząc się tę cannon-bompę patykiem wyciągniętym z ogniska, zaciągnął się głęboko mlecznym dymem, gęstym i aromatycznym, który otoczył jego pogodną i sytą twarz.

Czetanag patrzył na strój dziadka; pewne szczegóły wydawały mu się zupełnie nie znane i wspaniałe, jak na przykład bluza bez rękawów, mocno przylegająca do ciała, zrobiona nie ze skóry, lecz z dziwnego, delikatnego materiału o soczystej barwie owoców głogu. Teraz do jedzenia zdjął skórzany kaftan i pozostał w tej bluzie, która odsłaniała jego potężne, muskularne ramiona i szeroką szyję. Bluza zapięta była na mnóstwo maleńkich guzików z żółtego metalu, z niewielkiej zaś kieszonki na piersiach zwisał srebrny łańcuch. Wszystko to wydawało się chłopcu niezwykle i wspaniałe. Ale czuł, że gdyby nawet dziadek ubrany był w najlichsze, wytarte skóry, gdyby nie miał na głowie przepaski z orlimi piórami ani tego pasa nabijanego metalem, ani tych noży myśliwskich i naszyjników, to i tak budziłby poszanowanie i podziw postawą i wyrazem twarzy.

– Jak to jest, wnuku – usłyszał nagle głos Ahpakiego – z tym zwierzęciem? Myślę o tym zwierzu ciu ze snu. Co?

Akuan, która właśnie przyniosła miseczkę z wodą do mycia palców po jedzeniu, zaczęła jęczeć:

– Ach, ojcze, to prawdziwe nieszczęście...

Czetanag już otworzył usta, żeby odpowiedzieć dziadkowi, gdy matka znów zaczęła zawodzić:

– Toż to prawdziwe utrapienie, toż to wstyd i zgryzota, toż to...

– Ach, córko – przerwał jej stary – czy nie słyszysz, że zwracam się do chłopca? Czy nie potrafi on mówić albo, co gorsza, czy mówić mu nie wolno?

– Isztesunda – powiedział nieśmiało Czetanag przysuwając się do dziadka – to znaczy nasz szaman, powiedział mi, że to był nieważny sen, że nie wolno mi szukać zwierzęcia, którego nie ma. I on jeszcze mówił, że...

– A ty?

– Ja? – zdziwił się chłopiec.

– No a ty, co myślisz o tym zwierzęciu, opowiedz wszystko.

Tymczasem Msepasse wyciągnął zza skór niedźwiedzi, leżących w głębi tipi, łopatkę bizona, gładką, wyczyszczonej do cna, na której było coś wryte, podał ją staremu mówiąc:

– To rysunek, który Czetanag wyźłobił pierwszego dnia po powrocie z pustkowia.

– Tak. Widać wyraźnie – powiedział dziadek odsuwając łopatkę od oczu na całą długość ramienia. – Bardzo pięknie to zrobiłeś, mój wnuku. Widać wyraźnie... Widać zupełnie wyraźnie...

Czetanag pochylił się ku niemu.

– Czy ty, dziadku, znasz takie zwierzę?

Ahpaki odwrócił się i spojrzał na wnuka. Patrzył na niego długo, a potem zamknął oczy i pogрузzył się w myślach. Nikt nie śmiał mu przerywać. Gdyby nie ruch jego palców na cybuchu fajki, mogłoby się wydać, że śpi. I nagle, nie otwierając oczu, powiedział cicho do siebie:

– Dziesięć zim i jeszcze jedna zima... Dziesięć zim...

Potem wstał i wyszedł przed namiot. Czetanag za nim. Stali patrząc na gwiazdy, a choć stary nic do niego nie mówił ani nie dotykał go, ani nawet nie poruszył się w jego stronę, przecież chłopiec wiedział, że myśli o nim.

Niedługo potem Akuan urządziła ojcu posłanie w najzaczisniejszym kącie namiotu. Dziadek położył się, a po chwili jego chrapanie napełniło całe domostwo. I było w tym chrapaniu coś potężnego, opiekuńczego i zwycięskiego. Tak przynajmniej zdawało się chłopcu, który długo nie mógł zasnąć tej nocy.



Następnego ranka Ahpaki powiedział: – Chłopiec pojedzie ze mną.

Nie pytał, nie radził się, po prostu zakomunikował swoją gotową decyzję. Ojciec otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zamknął je znowu. Siedzieli właśnie przy śniadaniu i Akuan nalewała im do misek gęstej polewki z wątroby i kukurydzy, która wszystkim bardzo smakowała, ale Czetanagowi zdało się nagle, że jedzenie jest mdłe jak grzana woda. Coś ścisnęło go za gardło, z trudem wybełkotał:

– To zwierzę... Dziadku, więc to zwierzę...

Ale twarz starego pozostała nieprzenikniona, gdy powtórzył:

– Chłopiec pojedzie ze mną. Taka jest moja wola.

Zaczęły się więc gorączkowe przygotowania do podróży. Akuan spakowała do torby myśliwskiej nowe mokasyny, zapasy i leki. Czetanag wybrał z ojcowskiego kołczana kilka nowych strzał, wyostrzył nóż, naciągnął na łuk świeżą cięciwę i pognął, by podzielić się z Oopą wiadomością o podróży. Gdy wrócił, dziadek palił fajkę w towarzystwie ojca. Nie musiał się wysilać, żeby zrozumieć, że mówią o nim. Tegoż popołudnia Ahpaki udał się do szamana. Nie było świadków tej rozmowy. Czetanag słyszał jednak, jak dziadek pociesza rodziców, co znaczyło zapewne, że Isztesunda się obraził, a może nawet rozgniewał. Ale czy mogło to mieć w tej chwili dla

chłopca jakiegokolwiek znaczenie? Miał jechać nad Niobararę, jechać razem z dziadkiem, którego polubił i z którego był dumny, a przy tym czuł, że podróż ta związana jest ze zwierzęciem ze snu. To było najważniejsze i napełniało jego serce nadzieją... Choć nikt tego wyraźnie nie mówił, wszyscy przypuszczali, że chodzi w tej wyprawie o zwierzę ze snu. Spoglądali pytająco na Ahpakiego, ale on nie kwapił się z wyjaśnieniami.

– Zostanie u nas do chłódów jesieni (co znaczyło, że nie jest to łatwa sprawa), ja się teraz nim zajmę (to ma się rozumieć wskazywało na to, że wcale nie był zachwycony dotychczasowym wychowaniem wnuka) i myślę, że nikomu z nas wstydu nie przyniesie.

Czetanag jednak nie słuchał. Serce jego przepełniła radość, pierwsza wielka radość w jego życiu. Zdawało mu się, że napełnia całe jego ciało, że dodaje mu siły. Nie wiedząc, co ma robić, zaczął obracać się w kółko i podskakiwać jak ptak, uderzając się dłońmi po udach.

I wtedy usłyszał śmiech. Dochodził z mroku, spoza zasięgu blasku ognisk. Śmiech, jaki znał dobrze. Podpatrywali go. Szydźili z niego. Wiedział przecież: cokolwiek uczyni, będzie zawsze niedobre i śmieszne już przez to samo, że pochodzi od niego. Znieruchomiał dygocząc na całym ciele i wtedy uczuł na sobie ciężki, przenikliwy wzrok dziadka.

Stary Cheyenna odwrócił spojrzenie. Oto był jego wnuk. Jedyny męski potomek rodu! Nie dziwił się, że na jego widok psotni chłopcy chichoczą. Jego widok wnuka przyprawiał o ból, budził gorycz i litość. Chuderlawe, płochliwe stworzenie, które w obliczu niepowodzenia czy szyderstwa wybucha płaczem jak dziewczyna.

Raz jeszcze spojrział na te długie, słabo umięśnione nogi, na niespokojne ręce, na głowę wtuloną między wątle ramiona. A jednak coś w jego oczach czy w zaciśnięciu ust zastanowiło starego. Był to jakby grymas maski, którą miało się ochotę zdjąć, żeby zajrzeć głębiej, do tego, co prawdziwe.

V

Dlaczego dziadek kazał zabrać Oopę? Przecież nie dlatego, że Ahpaki odgadywał myśli wnuka. Czetanag czuł w tej decyzji coś ważniejszego, coś, czego pojąć nie mógł.

Jechali na południe. Zmiennym szlakiem – wśród skał i równin. Stary trochę naprzód, chłopcy za nim. Czasem na szerokiej płaskiej prerii równali się i Czetanag czekał na słowa dziadka albo sam zaczynał mówić, łowiąc za każdym razem uważne spojrzenie przyjaciela.

Opa oczywiście cieszył się podróżą. Nigdy jeszcze nie był dalej niż łowiska zimowe jego plemienia, nigdy nie widział domostw białych, ich fortów i faktorii, a wiedział, że Cheyennowie handlują z białymi, słyszał, jak Ahpaki w rozmowie ze starszymi opowiadał o forcie, zwącym się Laramy.

– Za skóry, które wy oddajecie czasami myśliwym białych za marną garść soli albo prochu, tam dostajemy rzeczy wspaniałe. Wy ich tu nawet nigdy nie widzieliście. Ale powiadam, lepiej ich nie oglądać i mieć spokój, lepiej nie znać bladych twarzy razem z ich przemysłowością i bogactwami, lepiej być w ukryciu i posługiwać się jak nasi ojcowie oszczepem i łukiem.

– Taak – podtrzymywał go Msepasse – lepiej być tu, u nas, lepiej nie oglądać tych wspaniałości.

Wszyscy starzy tak mówili, ale chłopcy czuli niezmierną radość na myśl o tym, że może uda im się zobaczyć te rzeczy piękne i straszne.

– Czy zawieziesz nas do faktorii, dziadku? – pytał Czetanag. – Czy to dobrze, że zabrałem skóry szopów, które matka wyprawiała? Czy będziemy mogli zobaczyć to wszystko, o czym opowiadałeś?

Dziadek uśmiechał się i wruszał ramionami. Czy to możliwe, że chłopiec myśli tylko o tym, a nie o swoim zwierzęciu? Ale nie, nie, Czetanag gwałtownie zaprzeczał, zresztą za każdym razem, kiedy spostrzegwał na piersiach Oopy nowy jeszcze woreczek amuletu, serce jego ścisnęło się boleśnie. Po chwili jednak wzdychał głęboko i z nadzieją spoglądał na dziadka.

Mieli przed sobą kilka, może kilkanaście dni drogi. Wszystko zależało od okoliczności. Mogą przecież spotkać ich gwałtowne burze albo deszcze silne, że nie sposób będzie posuwać się szybko, mogą trafić na ślad dobrej zwierzyny i zapolować, żeby odnowić zapasy i zdobyć dobre skóry. Mogą natknąć się na Arikarów lub wojowników szczepu Crow, z którymi Dakotowie i Cheyennowie od wieków żyli w nieprzyjaźni, wtedy trzeba będzie nałożyć drogi, aby uniknąć spotkania.

Pogoda jednak wydawała się ustalona, nigdzie też, jak okiem

sięgnąć, nie widać było dymu, zwiastującego czyjekolwiek ogniska. Wiatry wczesnego lata wynosiły w błękit wielkie banie pogodnych obłoków, snuły się puchy przekwitających traw, wśród których grały świerszcze i cykady. Czasami chłopiec czuł na sobie spojrzenie Ahpakiego i wówczas prostował się i podnosił głowę do góry, jak gdyby chciał go zapewnić, że się na nim nie zawiedzie.

Wieczorem, gdy po wieczerzy zabierali się do odpoczynku, Czeta-nag, swoim zwyczajem, rysował na piasku lub końcem noża rył na ogryzionych do czysta kościach wizerunki zwierząt i ludzi. Było to jego ulubione zajęcie, poza tym spostrzegł, że Ahpaki się tym interesuje. Szczególnie od czasu, gdy Oopa powiedział:

– Zawsze się z tego śmiejemy. Wszyscy chłopcy. Wszyscy chłopcy i dziewczyny też.

– A dlaczego? – spytał stary. – Dlaczego się śmiejecie?

Oopa spojrział zdziwiony. Dlaczego? No, wiadomo! Przecież co-kołwiek robił Czeta-nag, wszystko było śmieszne, przez to samo, że to robił Czeta-nag. Już tak było. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Taak – powiedział Dziadek – to jest dziwna sprawa.

Innym razem, podczas polowania na indyki, stary zauważył, że Czeta-nag świetnie radzi sobie ze strzelaniem. Co prawda była to mała zwierzyna, do której wystarczył jego niewielki, lekki łuk, dający się łatwo napiąć, jednak chłopiec bezsprzecznie miał dobre oko. Jakże to się działo, że te jego zalety były i przez rówieśników, i przez dorosłych zupełnie nie zauważane?

– Oopa – powiedział Ahpaki – strzela równie dobrze, jak Cze-tanag.

Oopa spojrział zdumiony. Równie dobrze? Nie, chyba dziadek chciał się śmiać?

– Równie dobrze – podtrzymał stary.

„Zapewne – pomyślał chłopiec – mówi tak, bo to jego wnuk. Tak, na pewno to jest właśnie ta przyczyna. Przecież nikt nigdy dotychczas nie chwalił Czeta-naga. On, Oopa, czasem bronił go, ale właśnie dlatego, że był jego bliskim krewniakiem. Więc i tu zapewne jest ta sama przyczyna”.

Pewnego dnia, a było to już niedaleko łowisk Cheyennów, jechali grzbietem pagórka, gdy ujrzeni wał pyłu i poruszające się konne postacie. Zjechali niżej, w pasmo zarośli, i stąd przypatrywali się

temu nieoczekiwanemu zjawisku. Przez kłęby kurzu widać było ogromne, poruszające się jak rudy wąż stado zwierząt, przypominających z oddalenia czerwone jelenie wapiti. Na przodzie konie ciągnęły dwa dziwaczne wigwamy, które jakby płynęły, a nie wlokły się po ziemi. Wokół uwijali się mężczyźni na koniach, pędząc stado, zaganiając je, tak jak zagania się mustangi.

– To zwierzęta, które biali przywieźli z sobą – powiedział dziadek – podobne są do wielkich tłustych jeleni. Dają mleko. Mięso ich jest dobre.

– Widziałeś z bliska te zwierzęta?

– Jadłem ich mięso – opowiadał dziadek, ale Czetanag nie wiedział, czy w jego głosie była duma, czy też smutek. – Jadłem ich mięso, kiedy byłem na naradzie w wielkiej wsi białych. Powiadali: będziemy żyli z wami w zgodzie, będziemy wymieniać towary. To było dawno i wielokrotnie zapominali o zgodzie, którą przyrzekli. Zabrali nam najlepsze ziemie, wiele plemion żyje teraz z dala od swoich łowisk, w krainie Złego Piasku, i przymiera głodem. A oni idą ciągle dalej i dalej. I ci zapewne wędrują na zachód, żeby tam się osiedlić, założyć wsie otoczone palisadami, których bronią wielkie kije ogniste, tak wielkie, jak grube pnie drzew, ściętych na wysokości człowieka. Wyrzucają z nich za pomocą czarów ciężki ogień, który niesie śmierć wielu wojownikom naraz.

– Oni są źli – powiedział Oopa.

– Ich wiedzie Wielka Chęć. Ogromna Chęć. Są jak niektóre ryby, co to nie mogą się nasycić i są wiecznie głodne.

– Oni są źli – powtórzył Oopa spoglądając na kolumnę pochodu. Stąd, gdzie stali, widzieli wyraźnie poruszające się mrowie i chwijające się dachy krytych wozów.

„Jacy oni są? – myślał Czetanag. – Jacy są ci źli, ci dziwni biali? Dlaczego zwyciężają, dlaczego siły Wakondy nie stają po stronie Czerwonych Plemion?”

– Dziadku, dlaczego...

Ale w tej chwili spojrzenie chłopca natrafiło tam, na szlaku, za taborami i bydłem, na dziwny kształt.

– Patrzcie! Co to jest? Co tam leży?

Chmura pyłu odsłaniała powoli ciemną plamę.

– Padło jedno ze zwierząt.

Ujrzeni jeźdźca, który zawrócił, zatrzymał się na chwilę przy zwierzęciu i oddalił się w tumanach kurzu.

– Dziadku – zawołał Czetanag – czy nie moglibyśmy tam jechać? Chciałbym zobaczyć z bliska... Dziadku, jedźmy tam!

– Nigdy jeszcze nie widzieliśmy takiego zwierzęcia – podtrzymał go Oopa.

Odczekali, aż stado znikło za wzniesieniem, za którym niebo różowiło się już zachodem. Zjechali ku dolinie. Dno jej, na szlaku pochodu zdeptane setkami racie, wyglądało jak płówa powierzchnia wody pokrytej drobnymi falami. Zbliżyli się do padłego zwierzęcia. Była to wychudzona krowa czerwonej maści, o długich gładkich rogach. Leżała na boku, otoczona chmurą much. Nad nią wysoko unosiły się już ptaki ścierwojady, wypatrując uczyty.

– Dziwne zwierzę – powiedział Oopa. – Podoba mi się jego kolor.

– Czy nie należałoby zabrać jego skóry, dziadku? – spytał Czetanag. – Przecież można by ją wyprawić i miałbyś bardzo ładny płaszcz.

– Dziwię się, że biali nie uczynili tego – powiedział Ahpaki. – Widocznie mają skór pod dostatkiem. Tak, macie rację. Zabierzemy je z sobą.

I stało się, że została zdjeta skóra z padłej krowy, pozostawionej przez białych, i zabrana do wsi Cheyennów nad Niobararą. Nikt jednak nie przypuszczał, że niosła w sobie śmierć i zagładę.

Wracali powoli. Zza gór wysunęły się nagle ciemne zwały chmur, wiatr przywiał je nad ich głowy. Lunał deszcz. Konie w takiej ulewie szły niechętnie. A i ludzie woleli schron pod skałami, w zaroślach, które chroniły choć częściowo. Czekali więc. Przespali dwa dni prawie, dając odpocząć mustangom. Pod nawisem skalnym było sucho, w dole płynął strumień. Nad jego brzegiem, jak to zwykle, zieleńiła się trawa.

– Jak długo może tak padać? – powiadali chłopcy, patrząc przez strumienie leżącej się z nieba wody.

Potem chmury przerzedziły się. Wyruszyli.

– Już niedaleko – mówi Ahpaki. – Jeszcze trzy dni. Jeżeli nic się nie zmieni.

Wąwozy stawały się teraz głębsze, jechali gęsiego, stary na przedzie. Od czasu do czasu słyhać było głęboki bulgocący śpiew wody pod kamieniami pokrytymi śliskim mchem, na których konie ostrożnie stawały kopyta.

– Już niedaleko... – powtarzał Ahpaki.

A potem, było to w południe, usłyszeli: du du du... du du du... Śpieszny jak łomot serca odgłos galopu. Podnieśli głowy, gdy szedł on z góry, z wysokich brzegów. Grzmot kopyt ucichł. Ale wnet dał się słyszeć znowu. Ahpaki pokręcił głową. Zatrzymał się i słuchał.

– Tą drogą jeżdżą nasi do fortu – powiedział. Potem dodał: – Ale to nie nasi. Kopyta koni dźwięczą zbyt twardo.

Tym razem nie rozpalali ogniska wieczorem, zadowolili się pemikanem¹⁰, którego zapas chował dziadek na dnie torby, i wodą z pęcherzy.

– Czemu nie pijemy świeżej wody? – spytał Oopa, wskazując strumień na dnie jaru.

– Kamienie po drodze czyniłyby wielki hałas – odparł dziadek.

Chłopcy spojrzeli na niego wyczekująco. Czetanag uczył lekki dreszcz podniecenia. Pytali, a przecież wiedzieli, że otarli się o białych, że coś się dzieje, że muszą być ostrożni. Ahpaki wydawał się niezadowolony. Nasłuchiwał. Potem powiedział:

– Czetanag wyjdzie na brzeg. Rozejrzy się. Będzie ostrożny.

Chłopiec skoczył naprzód. Po stromym urwisku, czepiając się korzeni, uważając, by nie stracić kamieni, wspiął się na górę. Rozejrzał się naokoło, a potem wyszedł szukając śladów. Ziemia była tu sucha i twarda, ale przecież nawet na głazach ostre kopyta koni białych pozostawiały ślady, jak od uderzenia tomahawkiem.

Było pusto. W tej rozległej słonecznej panoramie chłopcu zdawało się, że jest zupełnie sam. A przecież przed chwilą przemknęli tędy jeźdźcy. Sądząc po śladach mogło ich być czterech, może pięciu. Czetanag za mało miał wprawy, aby odczytać dokładnie, ale przecież nie to było ważne, nie szykowali się do utarczki z wrogiem. Po prostu dziadek chciał wiedzieć.

Tego samego dnia wieczorem spotkali dwu Cheyennów wracających z faktorii. Jeden z nich miał twarz czerwoną i błędne oczy.

– Woda ognista – powiedział jego towarzysz, którego dziadek nazywał Punkhas. – Chory na wodę ognistą. Ledwie wlaż na konia.

– Czy nie spotkaliście białych myśliwych? – spytał Ahpaki.

Tak. Spotkali ich kilku. Myśliwi powiedzieli im, że ktoś z ich

¹⁰ pemikan – suszone mięso, starte na proszek

plemienia ukradł białym osiedleńcom krowę. Ale przecież nie mogła to być prawda.

– Ukradł krowę?... – zdziwił się dziadek.

Potem roześmiał się i pokazał Punkhasowi skórę z padłego zwierzęcia.

– Oty ukradziona krowa!

Opowiedział też całą historię i śmiali się z niej, a nawet pijany Cheyenna, choć zapewne niczego nie rozumiał, śmiał się także. W miarę jednak jak zbliżali się do Niobarary, wesołość ich gości. Dziadek stawał się coraz bardziej milczący. Tak, ta cała historia z padłą krową mogła być niedobra. Wiedział, że biali szukają sposobności do zaczepki. Choć zdawało się, że padła krowa ich nie interesuje, że obejrżeli ją i pozostawili swemu losowi. Więc albo widzieli jego i chłopców, kiedy zdejmowali skórę, albo wrócili po nią i spostrzegli, że ktoś ich uprzedził.

Następnego dnia przybyli do wsi. Krowa poszła w niepamięć.

VI

Wszystko było tak nowe, jak wewnątrz świeżo wyłuskanego kasztana. I on sam wydawał się sobie zupełnie niepodobny do tego chłopca, który kilkanaście dni temu opuścił rodzinną wieś. Leżał na miękkich skórach w głębi namiotu dziadka, a w oczach miał oślepiający blask, który wlewał się do wnętrza przez podniesioną zastonę. Musiał być wczesny ranek, ale o tej porze lata słońce było już bliskie i gorące. Słyszał głosy ptaków, ujadanie psów, zadudniła ziemia pod kopytami mustangów, rozległy się okrzyki poganiaczy, słabnące w miarę jak cichł grzmot galopu. Przypomniał sobie, że Oopa miał jechać tego ranka razem z innymi. Tak chciał dziadek, a Czetanag odetchnął z ulgą, że jemu pozwolono zostać. Czułby się może tym upokorzony, gdyby Ahpaki nie powiedział, a był przy tym stary Mgesewa, jeden z wodzów plemienia, że chłopiec nie może teraz opuścić wsi, bo będzie potrzebny.

– I musi się spieszyć z tą robotą. Przecież nie może tu długo pozostać.

– Aha... Pewnie – zgodził się Mgesewa.

– Oopa może spokojnie jechać z młodzieżą. Oopa niech sobie jedzie. Przecież nie jest nam potrzebny, co?

– Właśnie... – pokiwał znów głową stary wódz, spoglądając na Czetanaga spod ciężkich powiek, które wyglądały jak ulepione z szarej gliny.

Działo się to poprzedniego wieczoru, to znaczy tego samego dnia, w którym przyjechali do wsi. Oopa został wysłany z synami i wnukami Mgesewy nad rzekę, Czetanaga zaś dziadek zatrzymał przy sobie.

– Pójdiesz tam później, teraz chcę, żebyś był tu, kiedy starzy przyjdą mnie powitać.

Tymczasem, jak tylko chłopiec nasycił się plackami, które podały kobiety Ahpakiego, dziadek kazał przynieść kilka łopatek bizonich, wybrał największą i kazał mu znów wyrysować zwierzę ze snu. Tak jak za pierwszym razem wpatrywał się w nie długo, a potem, gdy przyszli wojownicy, pokazał im dzieło wnuka. Wszyscy byli zgodni z tym, że chłopiec niezwykle zręcznie rysuje, co do zwierzęcia zaś kręcili głowami, niektórzy uśmiechali się, pokazując jego dziwaczny ogon.

– To się nie zgadza – powiedział jeden z nich. – Myślę, ten ogon.

– Tak... – mruknął dziadek. – To prawda, ogon jest inny.

Spojrzeli na Czetanaga wyczekującego, ale dziadek powiedział z naciskiem:

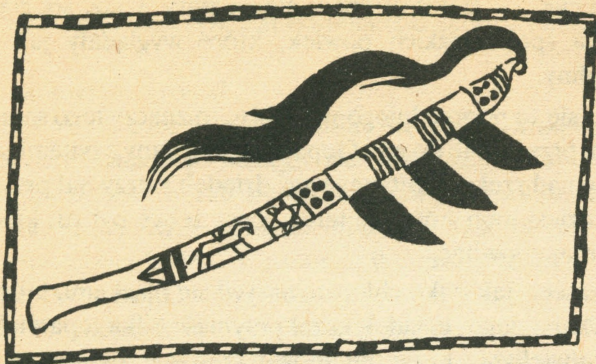
– A jednak taki ogon miało zwierzę ze snu.

Wtedy wszyscy umilkli, bo to był istotny argument. Czyż sny nie były esencją życia, jego tajemniczą prawdą, rzeczywistością bardziej żywą niekiedy niż to, co ich otaczało na jawie? Przenosili kolejno wzrok z rysunku na chłopca. Zdziwieni może, ale przecież nie w ten sposób, szyderczy i ponizający, z jakim spotykał się Czetanag dotychczas. „Tu mnie jeszcze nie znają”... – pomyślał z ulgą i goryczą.

Dziadek klepnął Czetanaga po ramieniu. Oczy ich spotkały się, twarze lekko pochyliły ku sobie, i oto obaj roześmieli się cicho w tajemnym porozumieniu.

Tego dnia przyszło jeszcze kilka kobiet, a potem kilku starszych myśliwych, żeby prosić Czetanaga o wizerunki zwierząt na rozmaitych przedmiotach. Przynosili drewniane kołczany, noże z kości, skórzane tarcze i tomahawki.

Gdy siedział pod namiotem Ahpakiego i pracował pilnie, słyszał,



jak dziadek rozmawia z gośćmi. Zadziwiające – te wszystkie pochwały odnosiły się do niego. Ludzie podziwiali jego zręczność, a dziadek wyrażał się o nim, jak o dorosłym mężczyźnie.

Kończył właśnie ryc wizerunek żółwia na rękojeści myśliwskiego noża, gdy tuż przed sobą na trawie spostrzegł dwie małe bose stopy. Podniósł wzrok. Przed nim stała dziewczynka ubrana w długi, obcisły kaftan z białej skóry. Twarz pochyliła ku niemu i z zainteresowaniem przypatrywała się jego pracy.

Nigdy nie widział czegoś równie ładnego. Miał wrażenie, że jej rysy są wyraźniejsze, a zarazem drobniejsze od rysów innych dziewcząt, że skóra jej przylega w jakiś wyjątkowy sposób do szerokich i gładkich policzków, że nozdrza i wypukłe usta są zrobione z niezwykle delikatnej materii.

Uśmiechając się wyciągnęła do niego rękę, w której trzymała maleńkie pudełeczko zrobione z kory brzoźowej. Szczupłym, niezupełnie czystym palcem stuknęła w pokrywkę. Spojrzał pytająco. Roześmiała się odsłaniając nierówne białe zęby, podobne do zębów młodego lisa.

Potem kucnęła koło chłopca i tym samym brudnym paluszkiem narysowała na piasku nieforemną figurę. Potrząsnął głową nie rozumiejąc.

– Powiedz... – wskazał oczami na puzderko.

– O! Znasz naszą mowę. A ja myślałam, że tak jak tamten chłopiec...

– Tamten chłopiec jest Dakota.

– A ty?

– Moja matka jest z waszego plemienia.

Wziął do ręki pudeleczek, widywał nieraz podobne, służyły do przechowywania maści gojących albo barwników, którymi malowano twarze. Podniósł głowę. Czy mu się wydawało, czy w oczach dziewczyny malował się podziw?

– Mówili – szepnęła – że u nas nikt tego tak pięknie nie robi.

Umilkła i spoglądali na siebie zmieszani.

– Co mam narysować? – spytał Czetanag.

– To... – wskazała na piasek.

Teraz z kolei Czetanag się roześmiał. Wcale nie mógł odgadnąć, co jej nieudolny rysunek przedstawiał. Jeleń? Pająk? Kwiat?

– To przecież szop!

– A tak... Szop! I mam go zrobić tu na pokrywcę?

Przytaknęła skwapliwie.

– Dobrze, ale dopiero jutro.

– A co teraz robisz? – przechyliła się nad nim tak, że jeden z jej długich warkoczy dotknął ręki chłopca. Chwytał go, pociągnął lekko. Uczuł delikatny zapach piżma, taki sam, jaki w dni świąteczne wydzielają włosy Akuan. Śmiejąc się wyrwała warkocz, obróciła się kilka razy jak w tańcu i uciekła.

Teraz, gdy leżał zapatrzony w świetlisty prostokąt wejścia i słuchał gwaru porannego, miał przez chwilę wrażenie, że widzi ją znowu. Ale czy była to ona? Mignęła mu tylko w oślepiającym blasku mniej wyraźna niż gdyby była postacią ze snu.

Zerwał się i pobiegł nad rzekę, która płynęła w płytkim parowie, leniwa i szeroka. Rzucił się do wody. Nigdy jeszcze nie czuł się równie rześki, mocny. Potem położył się na piasku, ale był w nim jakiś niepokój, który kazał mu wstać i biec przed siebie. Tego dnia zaniedbał pracę i wracając do domu dziadek spostrzegł ze wstydem, że czekają na niego. Ale dziadek roześmiał się tylko i uderzając go po plecach powiedział: „Idź, idź, zjedz najpierw wieczkę”. Czetanag chciał coś powiedzieć, ale jakże mógł znaleźć słowa, które by go miały

wytłumaczyć. Przecież wszyscy widzieli, że zamiast pracować leżał w słońcu i pławił się w rzece.

I zdało się chłopcu, że Niobarara ma jakieś zupełnie osobliwe własności, że ciało jego stało się silniejsze, a skóra straciła swą błądź. Spojrzał na swoje chude długie nogi i ramiona szczupłe jak ramiona dziecka. A przecież czuł się inny, jak gdyby jakaś tajemnicza ręka wyjęła mu z piersi jego dawne serce i na jego miejsce włożyła nowe, które biło śmieiej, inaczej. Po wieczery w świetle ogniska zabrał się jeszcze do pracy.

– Idź już spać... – powiedział dziadek, układając się na swoim legowisku pod ścianą.

– Zaraz... – szepnął chłopiec. – Mam taką pilną rzecz...

– A co to jest? – zapytał Ahpaki ziewając.

Czetanag nie odpowiedział od razu. Podniósł głowę i zacisnął powieki, starając się wyobrazić sobie dokładnie małe zwierzątko, które przez cały dzień zaprzętało jego myśli.

– To jest szop – mruknał, ale Ahpaki już spał. Po chwili jego władcze chrapanie napełniło namiot.

Nie, nie można było wciąż siedzieć nad wizerunkami zwierząt. Dziadek sprzeciwił się temu rychło. Cieszył się wprawdzie z podziwu, jaki budziły tu umiejętności wnuka, ale przecież nie tylko po to zabrał go z sobą. Zresztą już na drugi dzień Czetanag zapytał:

– A co będzie z moim zwierzęciem, dziadku?

– Właśnie, właśnie, moje myśli są także tym zajęte – powiedział Ahpaki.

Kilka dni jednak minęło, zanim wrócił do tego tematu.

– Jedziemy – powiedział pewnego ranka – zostaw tę całą robotę.

Wyprawa ta pozornie nie miała nic wspólnego ze sprawą zwierzęcia. Po prostu jadąc w górę rzeki zatrzymali się w dolince poroślej suchą, niską trawą. Słońce paliło. Z zarośli dochodził leniwy szczebiot szpaków. Trawy rozbrzmiewały natarczywym cykaniem koników polnych. Zeskoczyli z mustangów, dziadek zdjął z ramienia łuk. Był on niezbyt długi, sporządzony z drzewa i kości. Czetanag już przedtem zwrócił uwagę na jego niezwykły kształt.

– Spróbuj – powiedział stary – strzelasz przecież dość dobrze.

Czetanag pokręcił głową z powątpiewaniem. To prawda, strzelanie z łuku szło mu niezle, ale strzelać celnie to jeszcze nie wszystko.

– Nie mam dość siły – mruknął – ojciec nigdy nie pozwalał mi na polowanie. Na bizona, myślę.

– Taak... Możliwe, że mięśnie twoje nie są jeszcze dość silne, ale dlaczego nie mają się stać silne? Oczywiście, żeby wpakować strzałę głęboko w ciało byka, trzeba nie tylko oka i zręczności, to jest prawda. Ale przecież masz dopiero czternaście lat.

– Ale inni chłopcy u nas... j tu na pewno też... .

– Inni... inni... – głos dziadka stał się gniewny.

Spojrzał znów na chłopca. Tak, to prawda, był wątył i drobny, ale przecież zdawało się staremu, że od chwili, kiedy zobaczył go po raz pierwszy tego lata, chłopiec zmienił się trochę. Nie można było powiedzieć, żeby zmężniał czy wyrósł, ale było coś nowego w jego zachowaniu się, w jego spojrzeniu, w jego sposobie trzymania głowy. Tam, u siebie, skazany był na nieszczęsną legendę, która z nim razem wyrosła i przylgnęła do jego zastraszonej twarzy. Żeby ją zmienić, żeby zmienić siebie, trzeba niezwyklej siły, hartu i sprzyjających warunków, a cóż mogło temu sprzyjać tam, w jego rodzinnej wsi, gdzie wszyscy czekali tylko na to, żeby się z niego pośmiać.

A przecież wystarczyło, że chłopiec znalazł się w nowym środowisku, wśród ludzi, którzy nie wiedzieli o nim nic, by wszystko zmieniło się zupełnie. Stary mądry Ahpaki kazał mu rysować wiedział, co robi. Umiejętność rysowania wyróżniała chłopca, przydawała mu w oczach wszystkich wartości, której dotychczas nie posiadał. Gdyby w jego własnej wsi powiedziano, że Czetanag dobrze rysuje, że potrafi po mistrzowsku w drewnie czy kości ryć wizerunki zwierząt i roślin, spotkałby się z niedowierzaniem, a nawet kpina. Czetanag? Ten głupiec rzeczywiście umie rysować, ale co z tego? Trudno przecież brać go na serio; to pośmiewisko całego plemienia.

Podczas podróży Ahpaki zauważył, iż chłopiec mimo że taki chudy i drobny trzyma się doskonale, jest, o dziwo, bardziej niż Oopa odporny na post, na trudy i zmęczenie. Czujne oko starego dostrzegło, jak z dnia na dzień odprężał się, prostował, nabierał życia.

Nie tylko więc umiejętność rysowania mogła być sprzymierzeńcem Ahpakiego. Może w sprzyjających warunkach udałoby się z Czetanaga wydobyć coś więcej. Nie należało tylko pozwolić mieszkańcom wsi domyślać się zbyt wiele. „Nie na oczach ludzi, nie na ich bezlitosnych

oczach” – mówił sobie stary doświadczony Ahpaki.

Łuk w rękach Czetanaga.

Teraz dopiero chłopiec spostrzegł, że cięciwa nie była naciągnięta. Wisiała uczepiona luźno z jednej tylko strony. Podniósł oczy na dziadka.

– No, spróbuj...

Łuk był twardy jak żelazo. Czetanag odwrócił go, podciągnął cięciwę w górę, oparł łuk podkurczając palce nóg o czubek mokasyna, spróbował go przygiąć. Ani drgnął. Raz jeszcze spróbował, naciskając całym ciężarem. Ale, ho, ho, daleko jeszcze do tego, żeby zaczepić ściętno cięciwy, a przecież dziadek jakoś musiał sobie dawać z tym radę. Czetanag zagryzł wargi upokorzony. I patrzcie! Ahpaki bierze łuk, najpierw lekko gładzi go dłonią – jest w tym ruchu coś, co zdaje się nawiązywać między tym kawałkiem drzewa a nim jakąś więź, tak jakby mówił „no, bądź dobry, bądź posłuszny” – potem, nie opierając łuku ani o mokasyn, ani o kamień, ani o pień drzewa, chwyta go oburącz jak byka za rogi, opiera wypukłością o zębra i powoli, powoli przygina. Czetanag widzi żyły występujące coraz wyraźniej na potężnych łapach dziadka, widzi kropelki potu na jego czole, spuszczone powieki podnoszą się, oczy starego chwytają spojrzenie chłopca, naprowadzają je na cięciwę, która zwisa kołysząc się lekko w takt drżenia łuku i drżenia napiętych mięśni. Chłopiec łapie ją, przymiera... Jeszcze chwila, jeszcze moment napięcia. Naciąga pętlę na wibrujący koniec łuku. Dziadek przytrzymuje przez ułamek sekundy... Rozluźnia uchwyt rąk. Wyprostowuje się. Wypuszcza gwałtownie powietrze z płuc. Potem uśmiecha się szeroko i dotyka lekko wielkim zrogowaciałym paznokciem napiętej struny, która wydaje melodyjny, uległy dźwięk. Patrzą teraz na siebie. Dziadek i wnuk. Ale wnuk nie uśmiecha się. Potrząsa głową i spuszcza oczy. Odwraca się nagle i odchodzi o parę kroków.

„To nic – myśli stary. – Tak powinno być. Nie o to chodzi, żeby mnie podziwiał”.

– Synu – mówi. – Synu...

Potem podchodzi do chłopca i nagle uderza go po ramieniu, uderza tak mocno, że Czetanag odwraca ku niemu pociemniałą od gniewu twarz. Oczy jego błyszczą od powstrzymywanych łez, wargi drżą. Ahpaki dotyka ramienia chłopca, tym razem łagodniej, po prostu przytrzymuje go w miejscu. Mówi:

– Zmożesz to, synu, uczynisz to, synu. Przysięgam, że to uczynisz.

Chłopiec milczy. Potrząsa głową. Zagryza wargi. Drży jeszcze od nagromadzonego żalu i upokorzenia. Ręce ma zaciśnięte w pięści. Nagle rozgląda się. Na trawie leży jego własny, mały łuk, jego kołczan i strzały, które zabrał jeszcze z domu. Chwyta łuk. Łamie go, niszczy, łamie wszystkie strzały po kolei, wdeptuje w ziemię drewniany kołczan. Niespodziewana wściekłość miota jego wątłym ciałem, nadaje twarzy wyraz dzikości i zaciętości. Jeszcze i jeszcze mści się nad martwymi przedmiotami, drząc z wysiłku. Potem odwraca się do starego i patrzy mu w oczy wyzywająco. Czeka na słowa potępienia, na gniew, na cios.

Ale Ahpaki nie odzywa się. Twarz ma spokojną. Odchodzi i siada na głazie, sterczącym spod szorstkiej trawy. Konie na spętanych nogach przybliżają się i patrzą wyczekująco.

– Ach tak – mówi Ahpaki – one chcą pić. Jest gorąco i po prostu chcą pić.

Potem wstaje, rozpętuje swojego mustanga i wskakuje na jego grzbiet.

– Tam na dole jest strumień – powiada. – My też możemy się napić.

Twarz Ahpakiego jest nieruchoma. Trudno jest z niej cokolwiek odczytać. Jadą dalej noga w nogę, nie mówią nic. Potem poją konie, sami nabierają do bukłaków wody, posilają się.

Są teraz koło wąskiego jak wstążka wodospadu, który spływa wolno, wichrzony przez wiatr. Gdzież on to już widział. Przecież pamięta tę wodę, pamięta te skały.

– Dziadku...

Stary odwraca się.

– Kiedy ja to widziałem, dziadku, powiedz?

– Tak – mruczy stary. – To prawda!

– Dziadku?

Ale Ahpaki widocznie nie ma ochoty do rozmowy. „Może gniewa się” – myśli chłopiec. Patrzy na jego profil, na kościsty nos, zakrzywiony jak dziób drapieżnego ptaka, na ciężkie, opuszczone powieki, na wysuniętą dolną wargę. Dziadek jest zamyślony. Wędruje po sobie tylko wiadomych przestrzeniach.

Czetanag nie wytrzymuje i pyta znowu:

– A jak będzie z moim zwierzęciem?...

Gruby, sękaty palec, ten sam, który z ciężkiwy wydobyl niedawno śpiew uległości, dotyka ust chłopca. nakłada na nie pieczęć milczenia. Potem Ahpaki wyciąga z torby myśliwskiej niedużą fajkę podróżną, woreczek z tytoniem, kawałek suchej hubki i przedmiot, który chłopiec widzi po raz pierwszy w życiu. Jest to niewielki, błyszczący na krawędziach kawałek metalu. Ale to nie wszystko, jest jeszcze kamień – krzemień, który wydziela z siebie leciutką woń, podobną do zapachu prochu. Czetaanag porusza nozdrzami, węszy jak pies.

– Co to jest, dziadku?

Twarz Ahpakiego jest dalej nieruchoma, ale w oczach błyszczy ożywienie. Niechże wnuk przypatrzy się tym czarodziejskim przedmiotom. Wprawdzie pochodzą one od białych, ale przecież tu, nad Niobararą, czerwone plemiona przywykły już do nich. Stary uderza mocno, krótko krzemieniem o metal. Uderza kilkakrotnie, aż iskry zatrzymują się na suchej powierzchni hubki, zostają na niej, zaczynają żyć, pożerać suchy grunt. Najpierw jest to ledwo widoczny wiechetelek dymu, potem płomyk, prawie niedostrzegalny w jasnym świetle dnia.

Kiedy palą już fajkę, bo palą ją wspólnie, kiedy więc tak siedzą i palą, mając przed sobą głębinę zarośli i wodospad igrający z lekkim powiewem, ucisza się niepokój w sercu chłopca, a milczenie starego łączy się znowu z tym nieuchwytnym, a jednak istotnym wspomnieniem.

„Co to było, kiedy to było?...”

Nie wypowiada głośno tych słów, myśli je tylko. Widocznie myśli jego są bardzo wyraźne, a może snują się w dymie fajki, który smugami otacza ich głowy, bo dziadek mówi nagle:

– Dziesięć zim. Dziesięć zim i jedna zima. – A potem jakby do siebie. – Zajmie nam to sporo czasu, a w każdym razie tobie.

– A zwierzę? Moje zwierzę?

– Teraz słuchaj, od tego wiele zależy. Widzisz tam, z drugiej strony potoku, kamienie?

– Tak.

– Pokażę ci, co musisz uczynić.

Z drugiej strony potoku było niewielkie osypisko, powstałe z osuwającego się, podmywanego wodą gruntu. Leżały tu, jak białe kości na ciemnym mchu, kupy kamieni i głazów. Gdy podeszli, spod nóg ich

ruszyło całe mrowie maleńkich czarnych jaszczurek. Stanęli w środku ospiska.

– To jest właśnie to miejsce. Tak myślę, że to właśnie będzie najlepsze miejsce. Ciężka praca. Potrwa dłużej niż myślimy, ale to jest dobre. To jest konieczne. Wnuku mój, z tych kamieni ułożysz stos, wielki stos. Uczynisz tak, żeby był dwakroć wyższy ode mnie. Na szczycie zatkniesz znak mojego rodu, a więc i rodu twojej matki.

– Żółwia. Wiem.

– Znak ten uczynisz tak piękny, jak tylko zdołasz. Myślę, że duch żółwia z wdzięczności za to zechce ci w niejednym pomóc. Potrzebujesz jego pomocy, póki jeszcze nie masz swego amuletu. Tak myślę. Rzekłem.

Czetanag spojrzął na te wszystkie głązy i kamienie – czy podoba? Jak długo może to potrwać? Czy sam, bez niczyjej pomocy, będzie mógł to uczynić? Ogarnęło go zniechęcenie, znużenie. Sprawa zwierzęcia ze snu ciągle jeszcze była odległa. Westchnął, spuścił głowę. Tymczasem dziadek zdjął kaftan i rzucił go na trawę:

– Pierwsze kamienie ułożymy razem. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałeś, jak się buduje taki stos, nie wiem nawet, czy u was jest ten obyczaj. Potem zostaniesz sam, a jutro przyniosę ci coś do jedzenia. No, dalej, zabierajmy się do roboty.

Do samego zachodu chłopiec układał stos według wskazówek Ahpakiego. Była to praca ciężka. Kamienie były nierównej wielkości, trzeba je było dopasowywać, zmieniać, często obsuwały się albo leżały nierówno, tak że nabiedził się niemało, nim ułożył dwie pierwsze warstwy.

Usiadł, wycierając zgrzaną twarz. Potem zeszedł do potoku i zanurzył ręce po łokcie. Przyczłapał za nim jego spętany mustang, rżąc cicho i trącając go w ramię, jakby się pytał, czy nie ma zamiaru wracać do wsi.

Czetanag pogłaskał go po miękkich nozdrzach.

– Tu jest teraz nasz dom, Mały – powiedział i westchnął. – Tobie jest dobrze, masz wszędzie pełno trawy, a ja nawet nie mam łuku, z którego mógłbym coś upolować.

Na noc zawinął się w szorstki czaprak, który zdjął z grzbietu końskiego, i położył się na porosłej mchem ziemi. Nad ranem obudził

się, poczuł chłód. Widział na tle gwiazd, tuż nad sobą, smutny łeb koński. Las zaczynał się budzić głosami pierwszych ptaków, wodospad szeptał urywanym, prawie ludzkim głosem, pod głazami przelewała się bulgocząc woda. Zasnął. Obudziło go słońce leżące na policzku, jak czyjaś ciepła dłoń.

VII

Ile dni to trwało? Osiem, dziesięć, może więcej? Przestał już wreszcie liczyć. Co rano, prawie o świcie, tak jak gdyby nie chciał mu pozwolić spać za długo, zjawiał się Ahpaki. Przynosił z sobą jedzenie, placki z kukurydzy, pieczone mięso, prażoną fasolę. Nigdy jeszcze Czetanag nie bywał tak głodny, ale bo też większą część dnia pracował ciężko. Ułożenie stosu, czegoś w rodzaju piramidy, której podstawa tworzyła nieregularny prostokąt o bokach liczących sześć do ośmiu kroków, nie było rzeczą łatwą. Wprawdzie nie musiał się spieszyć, nikt go nie poganiał, ale spędzenie tu samotnie wielu dni nie uśmiechało mu się wcale.

W upalne godziny południa schodził do wody. Tak jak kiedyś nad rozlewiskami Missouri, kładł się na wilgotnym piasku, by obserwować ryby, powolny ruch ślimaków, całe to życie pulsujące w zielonych bajorkach. Ale teraz, choć tak zmęczony, nie umiał pozostać dłużej w jednym miejscu, chyba że zmorzył go sen. Toń wody, gęstwiny szuwarów, trawy – nie potrafiły już tak przykuwać jego uwagi. Jakiś niepokój mieszkał w nim, mącił jego myśli i wyobraźnię. Niepokój ten przybierał kształty dziwnego zwierzęcia ze snu, niekiedy zaś zamiast niego pojawiała się twarz dziewczyny. Znał już jej imię. Weweese. Była zresztą, jak prawie wszyscy we wsi, daleką krewną jego dziadka. Mógłby ją nazywać kuzynką, a nawet siostrą: Kojarzyła mu się z wizerunkiem szopa, który wyrył na drewnianym pudełeczku. Małe ruchliwe zwierzątko o ostrych zębach.

Gdy upał się zmniejszał, wracał do pracy. Teraz szło mu to coraz łatwiej, ciało jego przywykło do ciągłego wysiłku, mięśnie wzmocniły się, nabrał wprawy w układaniu kamieni, które nie obsuwały się tak, jak w pierwszych dniach. Dziadek był zadowolony.

– To jest dobre. Tak właśnie powinien wyglądać taki stos i myślę, że duch zółwia chętnie tu zamieszka. Sądzę, że za kilka dni skończysz.



W dwa dni później Czetanag rzeczywiście ułożył ostatni rząd kamieni. Ułożenie tych wyższych partii było mozolne i niezwykle trudne, gdyż wnosząc kamienie musiał się wspinać coraz wyżej i wyżej.

Następnego ranka obudził go tętent koni – dwóch jeźdźców zbliżało się od strony wsi. Dziadek i Oopa. Czetanag ucieszył się na widok przyjaciela. Oopa opowiedział o łowach, o tym, że zastrzelił barana skalnego, o stadach bizonów, na które polowali po drodze, o tym, że nauczył się już trochę języka Cheyennów. Od czasu do czasu Czetanag czuł na sobie spojrzenie chłopca, trochę zdziwione, jakby

był czymś zaskoczony. Czy i dziadek spoglądał na niego inaczej niż zwykle? Nie, Ahpaki po prostu uśmiechał się. No, ale widywał go przecież codziennie.

– Czy to naprawdę zrobiłeś sam? – zdumiał się Oopa, patrząc na potężny stos głazów. – Mów prawdę. Mów prawdę, to niemożliwe, żebyś ty... taki... taki...

Spojrzenie Oopy znów przesunęło się po jego twarzy, po barkach, po ramionach. Oopa potrząsnął głową. Co się stało z Czetanagiem? Czy ktoś go zaczarował? Obaj byli wprawdzie w wieku, w którym rośnie się i zmienia gwałtownie, ale Czetanag dotychczas był zawsze taki inny.

Ale ostatecznie cóż znaczył ten stos kamieni, rysunki na rękojeściach noży, na trzonkach tomahawków, na burtach łodzi, co znaczyły słowa czcigodnych starców z plemienia Cheyennów?... Czy ważyły one tyle, ile ważyć mógł ciężar złej legendy, plotek i uprzedzeń?

Ahpaki spojrział na Oopę. Ten chłopiec, a nie kto inny miał być tym, który zanieśie świadectwo prawdy, opowie, co tu widział, sprawi, że... Ale czy nie przedwczesne były te rozważania? Czy stary Ahpaki nie przeliczył się czasem w tej próbie wydzwignięcia swojego jedyne-go wnuka, jedyne-go męskiego potomka swojej krwi, kości swoich kości?

Duch zółwia musiał być istotnie ukontentowany piramidą wzniesioną na jego cześć. Tkwił zapewne w tym kawałku drewna, na którym chłopiec wyrył jego wizerunek. Mieszkał w nim na szczycie stosu.

Mieszkańcy wsi przychodzili, żeby na niego popatrzeć i stawiali Czetanaga za przykład swoim synom: „Widzicie – mówili – jaki jest pracowity i jak potrafi czcić siły Wakondy! Czemuż żaden z was nie wzniesie podobnego stosu? Dawniej mężczyźni czerwonych plemion dbali więcej o cześć oddawaną duchom, młodzi byli posłuszniejsi, a obyczaje były przestrzegane pilnie i uczciwie”.

„Dobrze, dobrze – odpowiadali na to młodzi – ale przecież za waszych czasów i za czasów waszych ojców i ojców waszych ojców zwierzyny było w bród, gdyż biali najeźdźcy nie przepędzali jej. Polowania nie przysparzały tyle trudów i nie zajmowały tyle czasu. Mogliście, o ojcowie nasi, oddawać się przestrzeganiu świętych obyczajów, nie obawiając się, że przez ten czas matki, żony i siostry

plakać będą z głodu albo udadzą się po pomoc do sąsiednich plemion”.

Takie mniej więcej odbywały się rozmowy i gdyby nie to, że Czetanag trzymał się na uboczu, kto wie, czy nie wpadłby w konflikt, tym razem zupełnie innego rodzaju – z chłopcami Cheyennów. Ale tymczasem małe dramaty jego osobistego życia, jego pragnienia i troski miały na czas jakiś ustąpić miejsca wydarzeniom zupełnie innym, miały zostać wplątane w sprawy tragiczne i krwawe.

Pewnego wieczoru, który zdawał się być najspokojniejszym z letnich wieczorów, jaki nad Niobararą ktokolwiek kiedykolwiek oglądał, kiedy powietrze przesycone było nieuchwytną czerwienią zachodu, przechodzącą powoli w łagodny ton ciemnego błękitu i soczystych czerni, siedział Czetanag na brzegu rzeki i przyglądał się Weweese, płuczącej swe małe zabłocone mokasyny.

Nagle usłyszeli tętent, który przybliżał się gwałtownie. Po chwili dwóch jeźdźców pokrytych kurzem i błotem przemknęło obok nich. Weweese zaskoczona wypuściła jeden z mokasynów, który jak małe czółenko popłynął, porwany przez prąd. Tymczasem jeźdźcy zniknęli już w zaroślach okalających wieś i od tej strony podniosły się okrzyki, wrzawa zwiastująca nieoczekiwane wydarzenie.

– Chodź! Chodź prędzej! – krzyknęła Weweese, zrywając się na równe nogi.

Przed namiotem Mgesewy gromadziło się coraz więcej ludzi. Dwaj chłopcy oprowadzali pokryte pianą mustangi, a zwiadowcy z przechylnymi w tył głowami pili łapczywie wodę z tykw.

Zewsząd zbiegały się kobiety i dzieci, kroczyli wojownicy, starając się opanować pośpiech. Czetanag precisnął się w stronę tipi dziadka, które stało obok namiotu wodza. Ale tipi było puste, unosiła się w nim tylko woń przypalonych placków i dym gryźł w oczy.

Obejrzał się. Dziewczyna przepadła gdzieś wśród ciągnących tłumnie kobiet. Został sam. Obszedł pobliskie domostwa, puste, podobnie jak namiot dziadka, i zbliżył się do placu. Ponad głowami zebranych widział dym ogniska, strzelające coraz wyżej płomienie, puszyste pióropusze schodzących się wojowników. Tłum rozstępował się raz po raz, by pozwolić im przejść. Wówczas mógł przez chwilę zobaczyć pulsujące czerwienią ognia twarze, oczy zwrócone w jedną stronę –



ku tym, których widział pochylonych na grzbietach końskich, gdy siedział nad rzeką.

Nie wątpił, że przywieźli ważne wieści, może wieści wojenne. Przecież słyszał nieraz, i od Ahpakiego także, o tym, że plemiona Cheyennów nie były w zgodzie z plemionami Komanczów, a nawet Pawnisów. Przede wszystkim jednak mówiono o białych wojownikach, mieszkańcach warownych wsi. Napadali oni na wsie Indian, niszczyli je, zabijali nie tylko mężczyzn, ale kobiety i dzieci. Utarczki w tych okolicach nie były rzadkością. Czyżby i tym razem zwiadowcy przynieśli zapowiedź walki?

Nie mógł stąd usłyszeć, co mówili posłowie. Przez chwilę tylko dobiegały ich przytłumione głosy i nagle zaległa cisza. Moment ciszy, jak gdyby wszyscy zamarli w oczekiwaniu, zdumieniu czy grozie. Potem usłyszał krzyk. Rozdzierający krzyk kobiety. Odpowiedziały mu czy też podchwyciły go inne. Zerwał się płacz, lament. Wołały:

- Biada! Tam była moja matka! Biada, tam były siostry moje!
- Tam ojciec mój i ojciec mego ojca! Pomścijcie ich! Pomścijcie!
- Biada, Cheyennowie!

– Pomścicie braci waszych! O synowie Cheyennów!

– Pomścicie! Pomścicie! Pomścicie!

Ktoś wybiegł z kręgu zebranych, przebiegł koło Czetanaga.

– Wszystkich pomordowali! Wszystkich... – krzyknął.

A stamtąd, od ogniska, podniósł się znów lament i cienki napięty jak struna głos wybił się nad inne:

– Biały szakal pożarł ciała braci naszych, biały szakal wypalił wieś całą aż po trzewia ziemi! Biały szakal wyciął ca...

Nagle rozległ się głos bębna. Przez chwilę połączył się z głosami zawodzących, potem nakrył je, wypłynął ponad nie groźny i przejmujący jak zwiastun nadciągającej burzy, aż umilkły głosy kobiet i pozostał sam, pełny, złowróźbny głos pustego pnia umarłego dębu.

Długo jeszcze w noc obradowano wokół ogniska Rady. Czetanag za przykładem innych chłopców wspiał się na gałęzie rozłożystego platanu, żeby widzieć wszystko dokładnie. Ale drzewo rosło dość daleko, tak że musieli dobrze nastawiać uszu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Padła krowa... Padła krowa... – wołali chłopcy do siebie. – Słyszycie, mówią coś o padłej krowie!

Cóż ona mogła mieć z tym wspólnego?

Czerwona skóra, wyprawiona przez kobiety dziadka, wisiała na jednej zę ścian jego domostwa. Oglądał ją co dzień. Teraz też przypomniał sobie Punkhasa i pijanego Cheyennę, których spotkali tuż przed przybyciem do wsi. Przypomniał sobie to, co mówili.

Kiedy późną nocą dziadek wrócił z narady, zastał Czetanaga siedzącego w kucki na posłaniu. Chłopiec nie mógł zasnąć. Co teraz będzie, co postanowi Ahpaki w związku z nim, z Czetanagiem? Co będzie z jego zwierzęciem? Co będzie z Oopą?

Przy tak ważnych, tak wstrząsających wydarzeniach jego małe sprawy były sprawami, o których nie godziło się nawet wspominać.

– Wybili ich wszystkich – powiedział Ahpaki. – Wszystkich, kobiety i dzieci także.

– Czy to ma coś wspólnego... czy krowa... – nieśmiało spytał chłopiec.

– Krowa! – w głosie Ahpakiego była gorycz. – Przyjechali się o nią upomnieć. Tak jakby jej nie zostawili na pastwę ścierwojadów i szakali. Wtedy! Przyszli się upomnieć, żądali zapłaty, grozili.

– Ale przecież...

– Po prostu przyjechali do pierwszej z brzegu wsi. Czyż im chodzi o prawdę i sprawiedliwość? Chodzi im o to tylko, żeby nas zniszczyć. Zapamiętaj to sobie, synu. Im chodzi tylko o to. Na nic zdadzą się słowa i prawda. Na nic dym świętej fajki wypalanej pospołu, na nic obietnice, spisane na białej skórze ich znakami, na nic braterstwo krwi i przysięgi, na nic przestrogi. Jesteśmy kamieniami, które leżą na ich drodze, jesteśmy drzewami, które rosną tam, gdzie postanowili stawiać swoje wigwamy. I powiadam ci, synu, że zniszczą nas i zdepczą. Przejdą po nas, tak jak przeszli po plemionach ze wschodu, jeżeli nie staniemy wszyscy razem przeciw nim.

– Czy jesteście już na ścieżce wojennej? – spytał chłopiec.

Ale Ahpaki zdawał się nie słyszeć jego pytania. Siadł ciężko przed dogasającym ogniem, który Czetanag podsycał czekając na jego powrót.

– Rozniosą nas i zdepczą... zniszczą nas i zdepczą – szeptał do siebie, nie zwracając uwagi na wnuka.

I dopiero po chwili, jak gdyby pytanie Czetanaga przyszło z daleka, odpowiedział:

– Nie. Nie jesteśmy jeszcze na ścieżce wojennej. I obyśmy jeszcze nieprędko na nią wstąpili. Tak bowiem chce rozważa. Ale czy bracia nasi będą rozważni? Czy posłuchają mądrych rad?

Spojrzał na chłopca. Patrzył na niego długo w zamyśleniu. Spojrzanie dziadka nie zbijało Czetanaga z tropu, czuł w nim życzliwość, nie ciekawość, czuł w nim troskę, nie współczucie, czuł nadzieję zamiast potępienia.

Teraz jednak było w nim jeszcze coś więcej, czego chłopiec nie mógł pojąć. Oczekiwanie? Ale czegoż mógł od niego oczekiwać, co było aż tak ważne, że w takiej chwili?...Nie, może nie było to oczekiwanie, może tylko myślał: Wnuku mój, czy spełnisz nadzieje, które każdy wojownik pokłada w synach swoich, ty, jedyny potomek naszego rodu, krew mojej krwi, kość mojej kości. Dotychczas marzyłem, żebyś stał się podobny do innych, dorósł do nich, nie różnił się od nich, tak jak różniłeś się dotychczas. Czyżby się to już stało? Czyż nie czuję w tobie czegoś więcej? Czy spełnisz nadzieje, synu? Czy zdążysz je spełnić?

Ocknął się nagle stary, wyprostował.

– Czas! – powiedział mocnym głosem, jakby się zwracał nie do jednego Czetanaga, ale do całego zgromadzenia. – Czas!

Czetanag poderwał się z postania. Ale teraz dziadek uśmiechnął się.

– Nie! Nie tak.

Potem dodał:

– Przygotuj wszystko do drogi. Jutro wyruszamy.

– Ścieżka wojenna...

– Nie. Nie ścieżka wojenna. Musisz się stać wojownikiem, zanim na nią wstąpisz.

VIII

Jechali w stronę wzgórz, które od zachodu zamykały dolinę.

– Tam – powiedział Ahpaki, zatrzymując nagle konia.

Chłopcy spojrzeli na niego pytająco.

– Tam... – powtórzył stary i wyciągnął ku jarzącemu się złotem zachodowi potężną kościstą rękę.

Pognali znów mustangi. Słońce już zaszło, gdy stanęli na szczycie wzgórza. W dole jak krwista żyła płynęła Platte, na tle pożogi stygnącego zachodu piętrzyły się zadziwiające kształty wielkich budowli białych – Fort Laramie. Czetanag nigdy niczego podobnego nie widział, a w znikającym świetle dnia tym groźniejsze wydały mu się nieznanne sylwetki wież strażniczych i palisad.

– Dalej musisz jechać sam. Dalej nawet Oopa nie powinien ci towarzyszyć. Niech czeka na ciebie tu.

– Ono... ono jest tam? – spytał Czetanag, wskazując na sylwetkę fortu.

– Tego nie wiem. Wejdiesz do wsi białych...

– Ale czy mnie tam wpuszczą? Czy mam wejść we dnie?

– Wejdiesz we dnie, tak jak wchodzi inni nasz bracia, którzy zanoszą tam skóry zwierząt, żeby otrzymać za to proch albo ostrza do tomahawków. Zwyczajnie wejdiesz i spytasz o Metysa, który nazywa się Szunki Luta. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Ale czy on?... Dziadku, dziadku!...

Ale Ahpaki już skrzyknął konia i pognął go, zostawiając chłopców samych.

Ogromne niebo nad ciemniejącą mrokiem ziemią ziało pustką. Stali spoglądając za odjeżdżającym. Potem odwrócili się znów ku

mógł być? Czy przemożny, okrutny biały, czy inny jakiś wojownik?

Nieśmiało zbliżył się do jednego z Cheyennów. Nie. Nic nie wskórał. Myśliwy wrzucił ramionami i podniósł bezradnie brwi. Szedł jednak razem z nimi. Tak było mu różniej.

Domyślał się, że znajdzie tu kogoś, pewnie owego nieznanego Szunki Lutę, od którego dowie się, gdzie szukać zwierzęcia o bizonim ogonie i paszczy wilka. Może są jakieś okolice, nieznane i dalekie, gdzie takie stworzenia żyją. Ale co będzie, jeżeli się okaże, że żyją tylko tam, daleko, za Wielką Wodą, skąd przybywają blade twarze?

Coś mu jednak mówiło, jakiś ledwie uchwytny cień wspomnienia, że kiedyś widział... Nie. Przecież to było niemożliwe... a może kiedyś, dawniej, widział je we śnie...

Gwar naokoło wzrastał się. Coraz więcej ludzi pojawiało się między domostwami i na placu. I chłopiec także razem z Cheyennami wszedł właśnie na ten plac. Z jednego z budynków, który był wyższy od innych i zakończony spiczastą wieżą, rozległ się dziwny dźwięk, przejmujący i pełny. Przypominał trochę głos bębna, drażonego w pniu, głos wody pod skutą lodem powierzchnią rzeki, ale był o wiele donioślejszy i zdawał się wypełniać pustkę między niebem a ziemią.

Chwycił za ramię tego samego myśliwego, do którego przed chwilą się zwracał.

– Co to?... – szepnął. – Ten głos... Ten wielki głos?

Cheyenna nie zatrzymując się powiedział:

– Głos ich szamana.

– Potężny szaman – wtrącił idący obok myśliwy. – Widziałem go.

Nagle przyszło chłopcu przez myśl, że może to właśnie on... szaman...

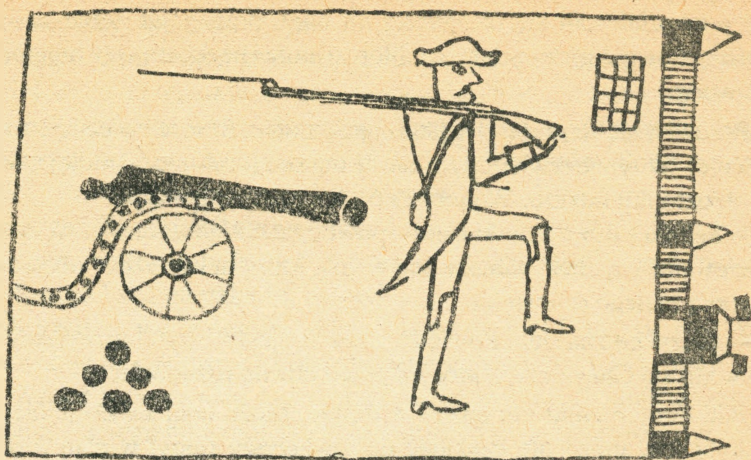
– Czy nie nazywa się Szunki Luta?

Ale oto ktoś za nim roześmiał się.

– Nie, nie, to nie Szunki Luta! Ach, zapewne rozgniewałby się bardzo ten potężny szaman słysząc, że go ktoś bierze za takiego... – mówił Cheyenna z wesołą, sinawą twarzą. – ale Szunki Luta nie jest taki zły, on nawet lepszy od potężnego szamana. Szunki Luta jest chciwy, to prawda... ale przynajmniej można się z nim dogadać. I można dostać to i owo. Właśnie to i owo.

– Czy masz na myśli tego chudego kojota, który sprzedaje wodę ognistą? – spytał pierwszy myśliwy.

– Tak. Właśnie. Jego mam na myśli.



– Ja go nazywam Chudym Kojotem.

– Niektórzy tak go nazywają.

– Cuchnie jak ścierwo skunksa!

Czetanag roześmiał się razem z innymi. Ale śmiali się przyciszonymi głosami, rozglądając się dookoła, choć przecież widać było, że nie pierwszy raz tu przychodzą.

– Czy pokażesz mi, gdzie on jest? – spytał nieśmiało Czetanag, zwracając się do tego z sinawą twarzą i wesołym spojrzeniem.

– To nie dla takich jak ty – odparł, marszcząc zabawnie twarz. – Masz jeszcze czas!

– On myśli o wodzie ognistej. Czy chodzi ci o wodę ognistą?

Chłopiec potrząsnął głową. Przecież trudno mu teraz tłumaczyć i opowiadać o swoich zmartwieniach.

– O cokolwiek ci chodzi, musisz uważać, bo Szunki Luta lubi oszukiwać. On bardzo lubi oszukiwać.

Otaczało ich coraz więcej ludzi. Byli to przeważnie mężczyźni ubrani w skórzane kaftany, podobne niekiedy zupełnie do tych, które nosili Indianie. Twarze mieli ciemne, tylko oczy u niektórych jasne były jak woda i włosy koloru spalonej słońcem trawy.

Podchodzili do myśliwych, oglądając skóry i upolowaną zwierzynę. Niektórzy mówili całkiem zrozumiale mieszaniną narzeczy okolicz-

nych plemion, Cheyennów i Komanczów, Crow i Dakotów. Niektórzy porozumiewali się niezgorzej na migi, pomagając sobie swoją własną mową, która wydała się chłopcu mdła i bezkostna jak bulgotanie wody.

Posuwali się naprzód w gęstniejącej ciżbie. Słońce świeciło coraz mocniej. W tym bezwietrznym cieple duszno robiło się od mdłej woni potu, czosnku i dymu. W głębi za budynkami rżały konie.

– Szunki Luta... Szunki Luta – powtarzał chłopiec, dusząc się tymi wyziewami i tą obcą, nienazwaną wonią, która tu wszędzie panowała – wonią białego człowieka.

– Gdzie go znaleźć... Powiedz, gdzie on jest? – pytał przeciskając się w stronę Cheyenny, z którym przed chwilą rozmawiał.

Ale tamten znikł mu gdzieś w tłumie. Może udał się do jednego z domostw, może nie czekając na towarzyszy ruszył w głąb fortu, gdzie widać było innych białych, ubranych w stroje koloru pogodnego nieba. Byli to zapewne wojownicy, gdyż stąd nawet chłopiec mógł zauważyć kije ogniste, którymi wymachiwali równo, jak w dziwnym tańcu. Na głowach mieli czarne kapelusze, przypominające kształtem trójgraniaste orzechy bukowe.

Rozglądając się, szedł przed siebie. W pewnej chwili omal nie potknął się o lalkę z kolorowych gałganów, którą ktoś rzucił mu ni stąd, ni zowąd pod nogi. Usłyszał krzyk i przez to samo okno, z którego przed chwilą wyleciała zabawka, wyskoczyła na ulicę mała, rozczochrana dziewczynka. Porwała z ziemi lalkę i wrzeszcząc wniebogłosy zaczęła nią okładać zdumionego chłopca. Wszczęło się zamieszanie, bo równocześnie prawie wypadła przez drzwi młoda kobieta, o falującym obfitym ciele, którego kolor przywodził na myśl gotowane mięso ryby, porwała na ręce dziecko, krzycząc jeszcze głośniejsze niż ono. Uciekł czym prędzej. Nie potrzebował rozumieć słów. Rozumiał ton i gesty.

Nie przejął się tym jednak zbyt, gdyż nieraz w swojej rodzinnej wsi spotykał się z gwałtownym zachowaniem młodych matek, którym się wydawało, że ktoś krzywdzi ich maleństwa. Ale w gestach tej kobiety, w jej oczach, w skurczu warg wyczytał coś nowego. Ona patrzyła na niego ze wstrętem, z nieukrywaną odrazą. Omal się nie roześmiał, przypominając sobie jej tłuste, blade ciało.

– Szunki Luta... Szunki Luta... – powtarzał bezwiednie, jakby się

bał zapomnieć, a przecież wiedział dobrze, że zapomnieć potrafiłby o wszystkim, tylko nie o tym.

Nagle domy skończyły się. Przed sobą miał pustą przestrzeń, dzielącą go od wysokiego ogrodzenia, od palisady, w którą wbudowane były szerokie wieże strażnicze. Tam właśnie, pod tymi wieżami, odbywał się ten dziwny taniec białych wojowników. Stał i patrzył. Nie... Szunki Luta nie może być wojownikiem. Tam go na pewno nie znajdzie. Zastanowił się nad jego imieniem. Nie był to chyba biały. Ale cóż robiłby tu Indianin? A przecież z tego wszystkiego wynikało, że Szunki Luta mieszka tu, w forcie.

Sprzedaje wodę ognistą. Ale gdzie może znajdować się ktoś, kto sprzedaje tu cokolwiek? Gdzie podział się znajomy Cheyenna?

Wrócił znów na plac. I oto ujrzał swoich myśliwych. Stali teraz pod ścianą długiego budynku. Niektórzy pozbyli się już towarów i trzymali przed sobą wypchane torby myśliwskie. Zapewne mieli w nich teraz sól, może proch i kule. Może jeszcze jakieś niezwykle przedmioty, czarodziejskie rzeczy białych. Ten z siną gębą stał przy samych drzwiach. Chłopiec poskoczył ku niemu.

– A, to ty, synu – uśmiechnął się Cheyenna. – Jeszcze szukasz tego śmierdziała?

Weszli razem przez szeroko otwarte drzwi, a właściwie Cheyenna popchnął chłopca, gdy ten zawahał się, jak u progu czeluści.

Było tu ciemno. Cztery niewielkie okienka z pęcherzami zamiast szyb ledwie przepuszczały światło dzienne. Ciemne zadymione ściany i sufit przytłoczyły chłopca, poczuł się jak w pułapce. Odruchowo cofnął się ku wyjściu. Ale wciąż wchodzili nowi ludzie, i nim się spostrzegł, został wepchnięty w głąb izby.

Było tu jeszcze ciemniej. W mroku lśniły ciepłymi plamami wypolerowane dna miedzianych mis i rondli, palił się niewielki stoczek łożowy, zatknięty w szyję pękatej butelki. Pod ścianą stał stół-lada, szynkwas, z całą baterią kubków blaszanych i glinianych.

Nagle skrzypnęły drzwi i z jeszcze głębszego mroku wyszła chuda, ciemna postać. Był to niestary jeszcze mężczyzna, o twarzy wąskiej i nieregularnej, o oczach osadzonych blisko mięsistego nosa, który zdawał się zwiśać nad małenkimi, zaciśniętymi w uśmiechu ustami. Miał na sobie brudny, skórzany kaftan i wyświechtane leginy, czarne włosy związane były niedbale z tyłu głowy, a kilka tłustych kosmyków płatało się koło odstających, nisko osadzonych uszu.

– Szunki Luta!

– Hej, Szunki Luta! – odezwały się głosy na sali.

Czetanag patrzył jak urzeczony. A więc to jest ten Szunki Luta, który zna tajemnicę, który mógł mu powiedzieć, gdzie ma szukać zwierzęcia ze snu. Ale czy znał mowę Cheyennów? Wyglądał na Indianina, to znaczy mógł być Indianinem, ale było coś niepokojąco obcego w jego wyglądzie. Chłopiec nie mógł właściwie zrozumieć, o co tu chodzi, czuł jednak tę dziwną obcość. Posunął się parę kroków naprzód, potem obejrzał za siebie. Tam pod ścianami siedzieli na ziemi Cheyennowie. Niektórzy mieli głowy spuszczone i przyglądali się pilnie jakimś drobnym przedmiotom, które trzymali na dłoni, tak jak się trzyma kamyki, inni już podnosili się powoli i szli ku szynkwasowi.

– No, Szunki Luta, dawaj wody ognistej – mówili, kładąc te drobne przedmioty na stole. – Dawaj uczciwie i nie dolewaj wody!

Z beczki, którą teraz dopiero chłopiec zauważył, a która stała na krzyżakach, oddzielona ladą od reszty izby, Szunki Luta nalał wodnistego płynu do naczynia przypominającego przezroczystą jak lód tykwę, a czynił to z uwagą i ostrożnością, po czym postawił je na czarnych deskach lady i przysunął kubki. Indianie stali, spoglądając wyczekująco, cierpliwie.

Jakże to mogło być, że właśnie ten dziwaczny człowiek, który stał tu pochylony nad stołem, wiedział coś o tajemniczym zwierzęciu. Dlaczego dziadek przypuszczał, że może on dać chłopcu jakąś cenną wskazówkę? Może raczej któryś z tych Cheyennów, którzy wyglądali przecież na bardziej doświadczonych myśliwych niż Szunki Luta, wiedziałby coś więcej. Nie wyglądał na kogoś, kto spędza życie z łukiem czy kijem ognistym, uganiając po prerii i puszczy za zwierzyną.

Ale przecież i tam, we wsi dziadka, nie było nikogo, kto mógłby chłopcu coś powiedzieć, dać jakąkolwiek wskazówkę w tej materii. Musiał więc dziadek wiedzieć, co czyni, musiał...

– Heeej... Chłopiec! – usłyszał nagle wołanie.

Cheyenna o sinawej twarzy i wesołym uśmiechu spoglądał na niego, trzymając kubek w rękę.

– Szukałeś Szunki Luty, co? Szukałeś go, a teraz chowasz się.

– No chodź, chodź... – mówili inni.

Podszedł. Czuł na sobie spojrzenia wielu oczu. Czuł na sobie spojrzenie Szunki.

– Kto go tu przysyła? – spytał w narzeczu Cheyennów.

– No, kto ciebie przysyła, mów... – ośmielali go myśliwi.

Nie było to takie łatwe, jak się mogło wydawać.

– Mów, Szunki Luta rozumie, on zna wszystkie narzecza. Mowa Cheyennów to mowa jego matki.

– Ale nie ufaj mu też zbytnio – zaśmiał się któryś. – Połowa jego krwi jest sina, jak krew białych.

– Widziałem ich krew! Też czerwona! – krzyknął inny.

Jakże miał im to powiedzieć? Oczy Metysa spoczęły na nim przez chwilę, obojętne i obce. Wokół słyszał śmiechy. A jeżeli on naprawdę wie? Jeżeli mu powie: jedź tam a tam, żyją tam takie zwierzęta, jak twoje... Jeżeli tak powie?

– Szukam zwierzęcia – powiedział niespodziewanie dla samego siebie. – Zwierzęcia, którego nikt u nas nie zna i którego nie zna nikt w plemienu mego dziadka znad dolnego biegu Niobarary.

– Powiedziałeś „u nas”. Skąd jesteś? Z północy, co? – nie był to jednak głos Metysa, tylko jednego z Cheyennów.

Szunki Luta milczał. Nalewał dalej wodę ognistą i zdawał się chłopca nie słuchać.

– Szukam zwierzęcia – powtórzył chłopak.

– Ma zapewne czternaście lat – usłyszał znów ten sam głos.

– Czy masz czternaście lat? – spytał inny.

Tak. Tak. Ma czternaście lat. Pora już, żeby na jego szyi zawisł amulet. I właśnie dlatego... Bywają dziwne zwierzęta w snach proroczych, to prawda, wie o tym, ale przecież chyba jeszcze nikt nie widział tak dziwnego zwierzęcia, jak to, które jemu się przyśniło. Tak mówili wszyscy, a nawet szaman w jego wsi powiedział, że takiego zwierzęcia w ogóle nie ma. Na szczęście dziadek, który właśnie...

– Ale jakże ono wygląda to twoje zwierzę?

Teraz nagle wszyscy zainteresowali się tym. Nie śmiali się już, a jeżeli, to nie po to, żeby pokpiwać, tylko pewnie dlatego, że rozgrzewała ich i rozweselała woda ognista. Nawet Szunki Luta oparł się na chwilę o stół i odstawił butelkę.

– No, mów – powiedział i w oczach jego zabłysła ciekawość.

Po raz nie wiedzieć który chłopiec opisał dokładnie swoją zjawę.

I ogon, i kły, kudły. I to, że chodziło na dwu łapach, i że w pysku trzymało...

Nagle Metys klasnął w ręce i parsknął śmiechem. Śmieli się także niektórzy Cheyennowie, przekrzykując się wzajemnie.

- Jest! Pokaż je!
- Miał rację dziadek!
- Jest!
- Dawaj je, Szunki Luta!

Szunki Luta znikł nagle w mrocznych drzwiach za szynkwasem. I gdy Czetanag rozglądał się po twarzach Cheyennów chcąc ich zapytać, chcąc zrozumieć, upewnić się, czy dobrze słyszał, rozległo się nagle szczekanie i do izby wbiegł wielki czarny pies. Pies? Pies? To było przecież jego zwierzę! Jego zwierzę snu! Ale niezupełnie! Przecież stało zwyczajnie merdając ogonem, nawykłe widać do widoku ludzi, raczej przyjazne.

Potrząsnął głową.

- Nie chodzi na dwóch łapach... I księżyc... - szepnął.

Szunki Luta musiał to usłyszeć, bo roześmiał się, sięgnął na półkę, gdzie stały miedziane misy. Wziął jedną z nich, niewielką i płaską. Cmoknął na psa.

- Hopsa, Dalila! Hopsa!

Suka chwyciła miskę w zęby i stanęła na tylnich łapach, przebierając szybko przednimi w powietrzu. Czetanag spoglądał oniemiały ze szczęścia, nie wierząc własnym oczom. Teraz było to zupełnie tak, jak w jego śnie. Ale nagle zdał sobie sprawę, że jeszcze dawniej... że kiedyś... Trudno było doszukać się tego w mrokach pamięci. Kiedy... kiedy to mogło być? Ale nie pora myśleć o tym. Nieprzytomny ze szczęścia wyrwał zza pasa nóż i skoczył naprzód.

Metys chwycił go i osadził na miejscu.

- Oszalałeś?! To przecież suka Moberlego! Kupca!
- To suka kupca... - powtarzali Cheyennowie, kiwając głowami.
- Nie można... To pies białego kupca...
- To pies kupca, który sprzedaje wodę ognistą, proch i paciorki.

Ach, więc to tak. Więc nie będzie to ani łatwe, ani proste, jak mu się przez chwilę wydawało. Powinien się był tego spodziewać. Nigdy nic nie było w jego życiu zwykłe i proste. Wetknął nóż z powrotem do pochwy. Zrobiło się teraz cicho, jakby się wszyscy zamyslili. Szunki Luta otworzył drzwi, wypchnął psa z izby i wrócił do nalewania wódki.

Spojrzał spod oka na chłopca. Zacisnął wargi, jakby coś ważył w myślach, pokręcił głową.

– Masz skóry na sprzedaż? – spytał.

Czetanag milczał.

– Czy masz może żółty piasek? Żółte kamyki? Czy masz cokolwiek?...

O tym chłopiec nie pomyślał. Nie posiadał niczego. Niczego takiego, co mogło tu mieć jakąś wartość.

– Myślę... – ścisząc głos powiedział Szunki Luta do stojącego opodal myśliwego – myślę... szczeniaki. Stara ma szczeniaki. Może kupiec zechciałby sprzedać.

– Tak, tak. Szczeniaki. Zapytaj kupca – powiedział żywo Cheyenna. – To bardzo ważne dla chłopca. Pewnie coś ci przyniesie. – I zwracając się do Czetanaga: – Pomyśl, synu, może posiadasz coś takiego, o co Szunki cię pytał. Pomyśl!

Ale Czetanag zrobił przeczący gest ręką. Nie ma nic takiego. Przyjechał tu tak jak stał, razem z Oopą, który też nie ma niczego, co by mogło tu mieć wartość. Nagle przypomniał sobie czaprak. Piękny czaprak, ozdobny i haftowany. Ale czy Metys zechce?

Czaprak? No, nie wiadomo. Musi zapytać kupca. Przecież te psy to nie jego własność. Czaprak? Różne bywają czapraki. Niech chłopiec przyniesie pokazać. Może... Może...

Tymczasem przez nie domknięte drzwi wpadły do izby dwa spore szczeniaki, nie wystrzyżone jeszcze jak matka, kudłate i rozbawione. Jeden z nich dopadł nóg Czetanaga i zaczął się lasić, a potem wspiął się na tylne łapy i chłopiec uczył nagle na ręce chlaśnięcie ciepłego języka.

Metys odgonił szczeniaki precz.

– Idź – powiedział do chłopca. – Idź. Chcę zobaczyć ten czaprak.

Czetanag zdziwił się bardzo, gdy tuż przed bramą fortu, tam gdzie przywiązał konia, zobaczył Oopę.

– Nie mogłem się doczekać – roześmiał się Oopa na usprawiedliwienie, a widząc podnieconą twarz przyjaciela spytał: – No, trafiłeś na ślad? Trafiłeś, co?

Ale Czetanag za całą odpowiedź rzucił mu tylko:

– Prędko! Czaprak!

Odpiął rzemień przytrzymujący czaprak na grzbiecie mustanga, zwinął niedbale, byle prędzej.

– Czekaj, Oopa. Zaraz wracam.

I już znikł znowu za bramą. Strażnik krzyknął za nim, ale chłopiec w nagłym olśnieniu zawołał imię Szunki Luty. Zaiste musiało to być odpowiednie słowo, hasło niemal, gdyż strażnik machnął ręką i splu-
nąwszy z obrzydzeniem pod nogi pozwolił mu iść dalej.

Nim dobiegł do szynku, spostrzegł swoich Cheyennów. Stali czeka-
jąc widocznie na jego powrót, ciekawi zakończenia sprawy. Ale tu ich
wszystkich z Czetanagiem na czele spotkał niemały zawód. Szunki
gdzieś znikł, a po jakimś czasie z tajemniczą miną przyszedł powie-
dzieć chłopcu, że teraz nie ma czasu.

– Czekaj na mnie. Tu – pokazał ręką węgiel domu – za ścianą. I nie
waż się wejść do środka ani myszkować w zagrodzie.

Myśliwi odczekali jeszcze jakiś czas i niechętnie zabrali się do
odejścia.

– Nie daj się oszukać, synu – mówili Czetanagowi.

– Uważaj na Metysa.

– Życzymy ci powodzenia, bracie.

Czas dłużył się. Gdzież ten Szunki mógł się podziewać? Raz, drugi
chłopiec zajrzał do wnętrza domu. Ale nie było tam nikogo. O tej
godzinie dnia tylko Indianie zaglądali do traktierni, więc po ich
odejściu Metys nie musiał sterczeć za ladą. „Może – myślał sobie
chłopiec – poszedł do kupca, żeby go spytać, czy chce sprzedać”.

A jeżeli nie, to Czetanag wiedział, iż uczyni wszystko, by i tak
zdobyć skórę swego zwierzęcia. Uczuł w sobie taką niewyczerpaną
moc i taką siłę postanowienia, że wydało mu się – nie ma przeszkody,
której by nie pokonał.

Słońce stało już wysoko, zbliżało się południe, a Czetanag wciąż
jeszcze czekał. Teraz i biali zaczęli się schodzić do szynku. Nagle
usłyszał głos Metysa. Stał za węglem i wołał go do siebie:

– Czaprak! Daj czaprak!

Ale chłopiec przezornie nie wypuszczał go z rąk. Dobrze pamiętał
rady Cheyennów.

– No, pokaż. Muszę go zanieść do kupca.

– Pójdę z tobą – odparł nieufnie chłopiec.

– Daj, daj. Nie mam czasu. Kupiec będzie się gniewał.

Czetanag uskoczył w tył, przyciskając do siebie czaprak.

– Przynieś psa – powiedział. – Idź po psa. Widziałeś już dosyć. To
piękny czaprak. Haftowała go moja matka. Oddam ci go, jak

przyniesiesz szczeniaka. Twoje ręce dadzą i twoje odbiorą.

– Ty wilczy pomocie – zamierzył się na niego Szunki Luta. Ale pohamował się, spojrzął na chłopca spode łba.

– No, dobrze. Czekał tu sobie.

I znów chłopiec czekał. Usiadł w kucki tuż pod ścianą domu. Był niespokojny i zły. Czy Metys przyjdzie znów? Czy przyniesie ze sobą szczeniaka? Czy nie szykuje jakiego podstępu?

Raz po raz ktoś przechodził koło niego. Widział nogi obute w mokasyny, nogi w ciężkich juchtowych butach, nogi bose, pokryte brudem i pyłem. Nie podnosił głowy. Skulony, czujny jak zwierzę, siedział i czekał. Słyszał, jak z wieży, jakby tuż nad jego głową, rozległ się znowu ten przejmujący, pełny dźwięku, powtarzający się rytmicznie, jak bicie ogromnego serca: Baaam... Baaam... Baaam... Słyszał gwar głosów, słyszał rzenie koni, uderzenia siekiery. Od czasu do czasu gdzieś w pobliżu ujadły psy. I wtedy chłopiec wzdrygał się, prostował i nastawiał pilniej ucha.

Wreszcie, a musiało być już dobrze po południu, usłyszał głos Metysa. Wołał na niego przyciszonym głosem, jakby się kogoś bał.

– Chłopiec... chłopiec...

Czetanag porwał się, skoczył na równe nogi. Za węglem stał Metys z workiem w ręku, w worku miotał się i skowyczał szczeniak.

– Dawaj czaprak! Prędko! – rzucił wokoło niespokojne spojrzenie. – Prędko.

Czetanag chwycił worek, rzucił na ręce Szunki zwiniętą skórę czapraka. Nie wierzył swemu szczęściu. Nie wierzył sam sobie. Przez moment stał nieruchomo. Metys znikł, jakby się pod ziemię zapadł. Więc chłopak zakręcił się w miejscu i począł biec ku bramie. Ale nim zdołał oddalić się na odległość rzutu oszczepem, usłyszał za sobą tumult, wrzask i niezrozumiałe wołanie Szunki Luty.

Nie rozumiał sensu słów. Ale uczył niebezpieczeństwo, pojął w lot sytuację. Obejrzał się nie przestając biec i kątem oka spostrzegł Metysa wymachującego rękami. Wrzeszczał wniebogłosy, pędząc w jego stronę. Wokoło ludzie przystawali, spoglądając z zaciekawieniem. Raz jeszcze obejrzał się. Metys biegł, nie przestając krzyżeć, ale teraz zdało się chłopcu, że trzyma kij w ręku.

Był coraz bliżej bramy, gnał nie zastanawiając się nad tym, że nikt z ludzi, których spotyka po drodze, nie zatrzymuje go. Przystawali, to prawda, gapili się z nieukrywaną ciekawością, oglądali na Metysa

i śmiali się. Czyżby byli przyzwyczajeni do jego zachowania i podstępów?

Dopadł bramy. Strażnika nie było. Ujrzał, jak Oopa wskakuje na swego konia, jak odwiązuje drugiego spiesznymi ruchami. Frunął na grzbiet mustanga. Usłyszał suche kaszlnięcie, uczył ostry ból wzdłuż skóry na grzbiecie, jakby go ktoś zdzielił prętem po nagim ciele.

Ale już gnali w dół ku rzece, już suchy tuman pyłu podniósł się za nimi i zakrył palisady fortu. Słyszeli jeszcze przez czas jakiś krzyki, raz jeszcze rozległ się daleki strzał.

Skręcili przy rzece szukając brodu, przepawili się, wjechali na wzgórze, z którego wczorajszego wieczoru spoglądali na fort.

Teraz dopiero przystanęli, żeby się obejrzeć. Nikt ich nie ścigał. Droga, którą przebyli, była pusta.

IX

Zeskoczyli z koni, Czetanag rozwiązał rzemień worka i wyrzucił psa na trawę. Szczeniak stał oszołomiony, chwiejąc się na kosmatych łapach, potem otrząsnął się i spojrzał żałośnie na chłopców.

– To szczenię tego zwierzęcia – powiedział Czetanag.

– Wah! – wykrzyknął Oopa zdumiony.

Wtedy Czetanag opowiedział mu wszystko dokładnie, od początku, odkąd wszedł do fortu razem z Cheyennami.

– Szczeniak jest chyba tak samo ważny, jak myślisz, Oopa?

– Oczywiście – odparł chłopiec. – Przecież, jeśli przyśni ci się stary niedźwiedź. Ale popatrz, jego ogon jest zupełnie inny niż ogon bizona. Może to dlatego, że jeszcze jest mały...

– Pewnie – przytaknął Czetanag. – Suka miała inny. Właśnie, jak bizon.

Szczeniak tymczasem kręcił się koło nich, skomląc cicho.

– Zabawny – powiedział Oopa. – Szkoda, że musisz go zabić.

Uznali, że bezpieczniej będzie odjechać dalej, w głąb prerii. Byli za blisko fortu, za blisko białych. Czetanag znów wrzucił psa do worka. Jadąc czuł, jak drapie i gryzie, jak szamocze się rozpaczliwie.

Jechali pod bladym, pustym niebem. Radość rozsadzała piersi Czetanaga. Wreszcie miał swoje zwierzę i niebawem amulet zawiśnie na jego szyi, prawdziwy amulet, amulet dorosłego myśliwego. Przyjedzie do wsi i pokaże go wszystkim, a Oopa poświadczy prawdę jego

słów. A jakże się dziadek ucieszy, a potem matka i ojciec. Roześmiał się sam do siebie na myśl o szamanie.

Nie czuł teraz strachu ani nienawiści, które znał tak dobrze. Objęty był nowym, nieznanym dotychczas, uskrzydającym uczuciem – uczuciem powodzenia. Zdawało mu się, że rozsądzi jego piersi, jeżeli nie krzyknie. Wyprężył się więc i w pustkę nieba, w pustkę przewianych wiatrem traw rzucił okrzyk, wojenny zew swego plemienia. Oopa roześmiał się głośno.

Był już wieczór, kiedy zatrzymali się, żeby dać koniom odpocząć i pomyśleć o wieczery.

Uczucie zwycięskiej radości nie opuszczało chłopca. Siedzieli teraz przy małym ognisku, a szczeniak leżał skulony u stóp Oopy. Okazał się niezwykle ufny i wesoły.

Przed chwilą pies zjadł z dłoni Oopy pemikan, wylizując dłoń do czysta różowym językiem. Potem przeciągnął się, ziewnął szeroko i zwinął w kłębek.

– Śmieszny, co?... – powiedział chłopiec. – Prawda, że śmieszny?

Czetanag nie odpowiedział. Przepęniało go doskonałe uczucie zwycięstwa. Wszystko było piękne i miłe. Cały świat, wiatr, chłód nocy, Oopa, mały kudłaty szczeniak.

Bezwiednie wyciągnął rękę. Lecz cofnął ją, jakby się zląkł psa, który zwrócił się ku niemu w nagłym porywie radości.

Tej nocy spali szczelnie owinięci w koce, przytuleni do siebie plecami. Szczeniak wcisnął się pod przykrycie, przywarł do nóg Oopy. Usnął, westchnąwszy ciężko jak człowiek.

Nazajutrz rano Czetanag zbudził się pierwszy. Gdzieś podziela się radość dnia poprzedniego. Niebo wydało mu się ponure, czuł ból w ranie na plecach, która przyschła nocą do kaftana, czuł żalność i niezadowolenie.

Szczeniak wydobył się spod osłony koca i merdając ogonem przyszedł się przywitać. Chłopiec odwrócił głowę. Po co ma patrzeć, po co głaśkać psa, którego musi zabić. Powinien był to uczynić natychmiast, nie czekać, nie zwlekać. Teraz, zdawał sobie z tego sprawę, było to trudniejsze niż wczoraj, a jutro... jutro będzie jeszcze gorzej. Nie! Jeżeli ma się to stać, niech się stanie zaraz, natychmiast.

Zbudził Oopę.

– Wstawaj! Wstawaj! Trzeba przecież jechać dalej, trzeba spełnić to, co ma zostać spełnione!



Oopa gramolił się powoli, niechętnie. Żałośnie patrzył na szczeniaka. Czetanag bezlitośnie wepchnął go do worka, w którym pies skowyczał i szarpał się rozpaczliwie.

– Trzymaj – powiedział Czetanag. – Wyrzucisz go potem na ziemię...

Sprawdził cięciwę swego łuku. Wyciągnął z kołczana ostrą, cienką strzałę. Wskoczył na konia.

– Już! – krzyknął Czetanag.

Szczeniak spadł na trawę i leżał przez chwilę oszołomiony. Potem porwał się, skomląc żałośnie.

Czetanag pognął mustanga. Oopa za nim. Kiedy odjechali na jakieś dwa rzuty oszczepem, Czetanag zatrzymał konia i skręcił w miejscu. Ich śladami, wśród traw, sadził szczeniak. Zbliżał się coraz bardziej, skomląc i naszczekując żałośnie. Czemuż nie uciekał, o ile łatwiej byłoby...

Czetanag chwycił łuk, nałożył strzałę, podniósł go na wysokość twarzy.

Widział teraz wyraźnie otwarty pysk z wywieszonym różowym ozorem, łyskające białkami oczy, grube szczenięce łapy prędko, coraz prędzej odbijające się od ziemi. Żeby dogonić... żeby zdążyć...

W tym jednym momencie chłopiec przypomniał sobie nagle wszystkie swoje upokorzenia, wszystkie poniżenia, jak gdyby chciał je przeciwstawić temu, co nie nazwane, co sprawiało, że odwlekał, że wahał się. Czy może wrócić bez skóry zwierzęcia, czy ma być znowu pośmiewiskiem całego plemienia? Co powie ojciec, matka, co powiedzą jego towarzysze i starzy wojownicy? Znow nazywać go będą tchórzem i dzieciuchem. Cóż znaczy głupi mały szczeniak, który pędzi ku niemu wśród traw. Nie!... Dosyć!... Już!...

Jęknęła cięciwa. Lecz już czuł, że puścił ją o ułamek sekundy za późno. Już wiedział, że chybił. Dojrzał strzałę tkwiącą jak kolec wśród traw, za psem, który biegł ku niemu.

Drżąc z gniewu i podniecenia zsunął się na ziemię. Błyskawicznie wyjął z pochwy nóż. Nie zwlekać, nie zwlekać, skończyć z tym jak najprędzej...

Przypadł do szczeniaka, przewrócił, przycisnął lewą ręką do ziemi, podnosząc prawą do ciosu. Uczuł pod dłonią szybkie uderzenia psiego serca, spojrzały na niego spod gęstej kędzierzawej sierści oczy pełne zaskoczenia i ufności. Ziejący zmęczeniem pysk z wywieszonym ozorem zwrócił się ku przygniatającej go ręce...

Chłopiec wstrzymał oddech. Zadrgało w nim coś jak gniew, jak płacz. Nie umiałby tego nazwać. Okrucieństwo dzieci natury jest proste, wypływa z konieczności, z walki o byt, która tworzy twarde obyczaje. Ale gdzieś jest jego granica, która zwie się litością, a która nie ma nic ze słabości, przeciwnie – odczuwać ją mogą tylko odważni, bardzo odważni, którzy nie boją się szyderstwa, kpiny, czasem nawet niesławy.

Czetanag przeszedł granicę. W momencie okrucieństwa. W chwili gdy podniósł rękę, żeby zabić psa.

Wsunął nóż do pochwy. Wstał chmurny, zmieszany, gniewny. Odwrócił się. Spotkał zdumione spojrzenie Oopy.

– Tak chcę! – krzyknął mu zuchwale w twarz, jak gdyby nie jeden Oopa, ale pół plemienia stało przed nim.

– Tak chcę! Rozumiesz! Taka jest moja wola.

Z pewnością Oopa nie był tym, który miał ochotę mu się sprzeciwić.

Nazwali go Meke, co znaczyło „szop”, potrafił bowiem niezwykle zręcznie posługiwać się łapkami, przytrzymując nimi jedzenie..

Nastaly teraz cudowne ciepłe dni i chłopcy nie spieszyli się wcale z powrotem. Większą część czasu spędzali na wylegiwaniu się w słońcu i łatwych polowaniach na dzikie indyki.

Pies wydawał się być wszystkim zachwycony i okazał się wspaniałym towarzyszem.

Potrafił baraszkować z nimi wśród suchych traw, pławić się w strumieniach napotykanych po drodze, uganiać za konikami polnymi, co szczególnie wprawiało chłopców w wesołość. Był silny i rosty. Właściwie nie był to już szczeniak, ale młody psiak. Tylko tam, w forcie, w porównaniu z wielką starą pudlicą wydawał się Czetanagowi mały. Z dnia na dzień stawał się zwinniejszy i szybszy. Czasem nawet pozwalali mu biec za końmi podczas drogi, częściej jednak podróżował na plecach Czetanaga w skórzanym worku, który pozostawał teraz otwarty. Pies wystawiał na świat mordkę, rozglądając się ciekawie, z czasem nauczył się opierać łapy na ramionach chłopca i często podczas jazdy Czetanag czuł mokry psi nos trącający go w szyję, buszujący we włosach.

Wieczorem, przy ognisku, lubił siedzieć u nóg chłopców i razem z nimi spoglądać w żar, do którego kapały złociste krople tłuszczu z piekącego się na rożnie mięsa. Oblizywał się łakomie i spoglądał kolejno na nich, jakby chciał powiedzieć:

„Może już gotowe, co? No, zobaczcie, czy nie gotowe!”

Przywiązał się do obydwu, ale Czetanaga uważał za swego pana. A Czetanag był przekonany, tak zresztą jak wszyscy jego współplemieńcy, że zwierzęta rozumieją i wiedzą często więcej niż ludzie. Tylko po prostu nie umieją tego zakomunikować. Oto i cała różnica.

– Gdyby on umiał mówić – śmiał się Oopa. – Wyobrażasz sobie, ile ciekawych rzeczy mógłby nam powiedzieć!

– I gadałby bez przerwy cały dzień.

– I nie dałby nam przyjść do słowa.

Wybuchali śmiechem, patrząc na szczeniaka, który spoglądał na nich swoim roztopionym w poczciwości spojrzeniem.

– Dooobry... dooobry... – mówił głaszcząc go Czetanag.

Nagle pies przekrzywił głowę i nadstawił uszu.

– Aha... – szepnął Oopa, podnosząc do góry palec – coś słyszy...

I oni także stali się czujni. Czetanag położył na ziemi dłoń na płask. Psiak się nie mylił. Mógł to być daleki, bardzo jeszcze daleki tęten kopyt. Wstali, żeby się rozejrzeć. Było już późno. Słońce zaszło, ale przejrzyste powietrze późnego lata pozwalało widzieć szeroko... daleko...

Ze wzgórza, na którym stali, horyzont przedwieczorny wydał im się pusty i obcy. Daleko była Niobarara, jeszcze dalej Missouri. Wysoko nad ich głowami zapaliły się nagle obłoki jak różowe tchnienie ognia i ta wzmagająca się poświata niewidocznego już dla nich zachodu zaczęła gorzeć coraz mocniej, coraz wspanialej, milczącym pożarem.

– Będzie wiatr – powiedział Czetanag.

Nagle Oopa dotknął jego ramienia.

– Słyszysz...

W nieprawdopodobnej ciszy gdzieś za horyzontem drgał ledwie uchwytny, urywany rytm.

Spojrzeli na siebie. Z nazbyt daleka podchodził. Czy był to dźwięk bębnow? Ogarnął ich niepokój. Jemu uwierzyli raczej, nie swoim uszom.

X

Bębny? Znowu bębny? Nie, to chyba gwałtowne dudnienie kopyt końskich. Tak dziwacznie niesie dźwięk skalna opoka, na której stoją. Poniżej dolina, jak płytka, jasna misa, za nią błysk Niobarary. Już niedaleko do wsi dziadka. Czetanag czuje, że opuszcza go pewność siebie. Co powie stary na widok psa? Co powiedzą inni? Przez krótką chwilę pomyślał o dziewczynie. To dziwne, prawie jej nie zna, nawet trudno mu wyobrazić sobie dokładnie jej rysy. Pamięta tylko spojrzenie.

Meke w torbie na plecach wierci się i skomli, prosi, żeby go wypuścić na ziemię. Może po prostu jest głodny, ale przecież teraz nie czas na jedzenie.

Bębny? Niech Oopa zejdzie i przyłoży ucho do ziemi.

Ale Oopa mówi, że to uczynił Czetanag. Oopa teraz się zmienił

w stosunku do przyjaciela. Nie śmieje się z niego, jak dawniej. Mówi nawet:

– Lepiej ty to zrób. Twoje uszy są mądrzejsze od moich.

Tak mówi Oopa. I nawet to Czetanaga już nie dziwi. Wiele rzeczy się zmieniło. Wiele rzeczy zmieni się jeszcze.

Ledwie dotyka stopą ziemi, już czuje to niepokojące lekkie wibrowanie. Konie. Mustangi. Chłopiec kładzie się, przywiera policzkiem do ziemi i przyjmuje od niej wiadomość. Tak. Mustangi. Ten równy rytm, jakby biło serce ziemi...

Meke korzysta z sytuacji i ucieka wśród traw, które z rzadka rosną między głazami. Chłopiec woła go. Biegnie za nim. Pies znika wśród rumowiska skalnego. Może poczuł królika? Albo szopa?

Tymczasem Czetanag wspina się na głazy. Stąd, ze szczytu pagórka, będzie miał daleki widok na zachodnią część doliny.

Co to? Tam daleko linia horyzontu nie jest nieruchoma. Chłopiec widzi wyraźnie, że coś się tam porusza, mrowi. Przysłania oczy ręką, odgarnia kosmyki włosów. Widzi: jeźdźcy, jeźdźcy białych. Taką zwartą gromadą ani Cheyennowie, ani Dakotowie nie jeżdżą. Jeźdźcy białych.

Czyżby to mogło być, by skóra jednej padłej krowy?...

Odwraca się i biegnie do Oopy.

– Prędszej! Prędszej!

Wskakują na mustangi. Czetanag wcale nie musi tłumaczyć ani mówić, o co chodzi. Oopa doskonale wie, co znaczyć może taki pośpiech. Jeszcze tylko Czetanag czeka na psa. Pochyla się, chwytą go z ziemi, zsuwając się po brzuchu końskim, i wrzuca do worka.

Gnąją jak wiatr. Gnąją, aż w uszach świszczy. Chcą zdążyć, uprzedzić swoich.

Może nie jest to tak groźne, jak się wydaje. Może po prostu... Ale nie. Czetanag czuje, czuje to tak, jak myśliwy czuje zwierzynę. Czuje niebezpieczeństwo całym sobą, skórą, krwią, szpikiem kości.

Jak daleko może być jeszcze do wsi? Chyba już zupełnie blisko. Oto już widzi brzeg rzeki, pagórki okalające wieś. Jak burza wpadają między drzewa, za którymi powinny być namioty, ludzie, cała wieś.

Zatrzymują konie tak nagle, aż zwierzęta przysiadają na zadach, wzbijają chmurę pyłu.

Co to? Wszędzie pusto. Chłopcy widzą ślady po domostwach,

czarne wygaszone ogniska, z których gdzieś podnosi się cienka smużka dymu.

Spoglądają na siebie. Wiedzą. Opuszczono wieś w pośpiechu. Opuszczono niedawno. Zdaje im się jeszcze, że w powietrzu zastygły głosy ludzi, płacz dzieci, niespokojne rżenie koni.

Na piasku znaczą się smugi po travois, na które musiano w pośpiechu ładować toboły, ziemia zryta jest kopytami mustangów. Dokąd uszli? Przecież nie na polowanie, nie na łowiska, choć czasem i przy takich okazjach zwijało się całe obozowisko w przeciagu bardzo krótkiego czasu – jak się to mówi – czasu potrzebnego do wypalenia jednej fajki.

Ale tu w powietrzu była groza ucieczki. Pokręcili się przez chwilę i wyjechali na przeciwległe pagórki, te, które oddzielały wieś od puszczy. Nim jednak znaleźli się na szczycie, usłyszeli znów grzmot kopyt, zajadły gwałtowny tętent. I już wiedzieli, już ich tym razem nie zaskoczył widok jeźdźców, którzy półkolem, od południa, zjeżdżali w nieckę doliny. Chłopcy widzieli wyraźnie błękitną barwę mundurów, takich samych, jak te, które Czetanag oglądał w forcie.

Teraz dopiero spostrzegli poniżej miejsca, w którym stali, grupę Cheyennów. Byli to przeważnie starzy wojownicy i zdało się Czetanagowi, że widzi wielką czerwoną twarz Ahpakiego. Gdzież byli wojownicy i kobiety? Co się stało?

Idąc wrokiem za śladami koni i travois, za szlakiem, który wydawał się zamieciony nierówną miotłą, spostrzegł smugę zarośli, prowadzącą wzdłuż strumienia do skraju puszczy. Poznał z daleka osepisko kamieni i swój żółtawy kopiec. Czyżby tamtędy uciekały kobiety z dobytkiem i dziećmi, czyżby mężczyźni byli daleko na łowach? Zapewne pojawiły się w okolicy stada bizonów albo wapiti.

Tymczasem jeźdźcy w błękitnych kaftanach rozwijali swój szyk, schodzili coraz bliżej w obłokach kurzu. Chłopcy stali przez chwilę, jak skamieniali patrząc na to, co się działo w dolinie. Potem spojrzeli na siebie. Opa ujrzał twarz Czetanaga z zaciśniętymi ustami, twardą twarz, w której nie było już nic dziecięcego. Pognali konie ku Cheyennom.

W chwili kiedy dopadli swoich, usłyszeli strzały. Nie było czasu na pytania, zrozumieli i tak, że starzy próbują powstrzymać na sobie



Azetanog

impet białych wojowników, żeby pozwolić kobietom schronić się w puszczy. Dokąd zdołały dojść, czy biali zauważyli je?

Czetanag szukał oczami dziadka. Nie dojrzał go, po prostu nie zdążył. Zakotłowało się, usłyszał krzyk, ogłuszający wojenny okrzyk Cheyennów, palbę strzelów, kwik koni. Fala pyłu, fala migających błękitnych postaci otoczyła ich i porwała w nieopisany wir, ogłuszające dudnienie bliskich wystrzałów. Usłyszał gdzieś blisko krzyk Oopy, przez mgnienie zobaczył twarz przyjaciela tuż przy ziemi w tym nieopisanym zgiełku. Koń chłopca wspiął się i na chwilę zasłonił mu widok, potem – a prawie nie ruszył się z miejsca, w tak ciasną zbici byli przez impet wroga gromadę – sam nie wiedząc jak i kiedy, wczepił się w kaftan Oopy, który wychynął gdzieś spod brzucha mustanga, poderwał go ostatecznym wysiłkiem, aż uczył, że chłopiec przywiera do niego, wczepia się w jego plecy. I gdy tak siedzieli obaj na jednym koniu, mieleni przez potężny wir, ujrzał w oddaleniu, które zapewne nie było większe niż na rzut oszczepu, lecz w chmurach pyłu zdawało się ogromne – twarz dziadka krwawą jak zachodzące słońce. Twarz ta przechyliła się i w półkolistym ruchu zapadła w ciemność, znikła.

Utworzyła się nagle przed chłopcem pustka, przestrzeń, w którą wepchnięty został ze środka wiru na jego obwód, w ogień wystrzałów, w błękit nacierających postaci.

Cóż znaczył teraz jego luk, jego lekkie strzały. Nawet oszczep nie na wiele by się przydał. Ale obudziła się w nim zapalczywość, rozpacz, gniew, nie czuł strachu, nie czuł ani odrobiny lęku. Sam nie wiedział, jak to się stało, że w jego ręku znalazł się tomahawk, który jeszcze przed chwilą wisiał w skórzanej pętli. I nie było prócz tej ręki z tomahawkiem i prócz błękitnej plamy w jej zasięgu niczego więcej, cały świat się skurczył i zwał w tym jednym jedynym akcie.

Uderzył i wiedział, że trafia dobrze. Uderzył raz jeszcze i połączył swój dziki, pełen tryumfu okrzyk ze zgiełkiem, który go otaczał, z wrzaskiem przerażenia i bólu, który wydał Oopa. Ujrzał przed sobą pałający błysk, słońce wystrzału. Z podniesionym w górę tomahawkiem runął w dół, choć zdawało mu się, że jakaś potężna siła wysadza go w górę, że uczepiony rękojęści tomahawka leci siłą rozmachu w sam środek nieba.

Cisza... Potem przez tę ciszę – tak jakby się wylał na powierzchnię wody – słyszy... Najpierw krakanie kruków. Potem daleki, wibrujący głos. Czetanag nie może zrozumieć, skąd głos pochodzi. Po chwili poznaje – to Meke.

W odpowiedzi na szczekanie krzyk ptactwa wzmagą się – potem oddala.

Znów cisza. Pies podchodzi. Kładzie się na ciele chłopca, drży. Ze strachu, może z zimna.

Powoli, powoli Czetanag otwiera oczy. Usiłuje się poruszyć. Meke zaczyna skomleć, liże jego twarz. Znów zapada ciemność, omdlenie, sen. Czetanag przewraca się na bok. Potem staje na czworakach, jak zwierzę. Czuje krew, która ciecze z ran na głowie. Czuje otępienie. Powoli przypomina sobie wszystko.

– Oopa... Gdzie Oopa?...

Pies patrzy, jakby rozumiał. Biegnie, przystaje, wraca. Znów biegnie naprzód.

Chłopiec czołga się za nim. Usiłuje wstać, opada na ziemię. Czołga się dalej. Szczeniak przystaje i skomli, skomlenie przechodzi w wycie. Przesuwają się wśród trupów ludzi i koni. Sami Cheyennowie. Widocznie biali zabrali swoich.

Ale oto pies stoi nad ciałem uwalanym we krwi i błocie. To Oopa. Czetanag przypada do niego. Kładzie rękę na szyi chłopca. Przykłada ucho do piersi. Życie porusza się w nim jeszcze. Cicho, ledwie uchwytne.

Czetanag odciąga go na trawę, zdiera derkę z padłego konia i nakrywa go. Oopa otwiera oczy. Jęczy. Usta jego składają się bezdźwięcznie w jakiś wyraz. Zapewne chce pić.

Czetanag czołga się w dół ku strumieniowi. Z torby myśliwskiej, która została przy pasie, wyciąga pęcherz. Usiłuje go napełnić wodą, ale pęcherz wyslizguje się z rąk. Płyńcie, ucieka. Pies, który stoi na brzegu i chłopce chciwie, skacze do strumienia, płyńcie. Chwyta pęcherz. Może myśli, że to zabawa. Któż może wiedzieć, co pies myśli. Czetanag woła go do siebie, wyjmuje z pyska pęcherz, nie ma nawet sił, żeby pogłaskać mokry zziąjany łeb. Ale patrzy na psa i pies patrzy na niego. Meke otrząsa się, merda ogonem, liże twarz swego pana. Czetanag mówi:

– Oopa... Idź pilnuj Oopy!

Słyszy bowiem krakanie powracającego ptactwa. I pies rozumie. Biegnie przodem, szczeka, odpędza kruki.

Kiedy Czetanag wraca z wodą, Oopa leży znów nieprzytomny, a może śpi. Pije więc sam, choć przed chwilą napił się w strumieniu. Pozostawia psa przy Oopie, a sam pełźnie na pobożowisko.

Szuka dziadka. Znajduje go wreszcie. Ahpaki leży z przestrzeloną szyją. Piersi i ramiona jego są też przebite kulami.

Chłopiec siada przy nim. Myśli kłębią się w jego zbolalej głowie. Ahpaki leży wyciągnięty na całą długość. Jakże to wtedy było? Chłopiec stara się przypomnieć sobie. Siedzieli przy ognisku i Czetanag po raz pierwszy zauważył, że dziadek garbi się, pochyla. Powiedział to. A stary zaśmiał się i zapytał:

„Wiesz, dlaczego? Wiesz, dlaczego tak się dzieje? – I patrząc w pytające oczy wnuka ciągnął dalej: – Starzy pochylają się, zwieszają ciężkie głowy, bo ziemia ich ciągnie. Połóż rękę na ziemi, poczujesz siłę. Ciągnie? Prawda, że ciągnie? Teraz masz jeszcze dużo siły, bo jesteś młody. Ale nas ciągnie mocniej, sił nam ubywa. Dlatego garbimy się, dlatego nogi nasze stają się krzywe jak pałaki, dlatego patrzymy w dół zamiast w górę. Ciągną siły Wakondy, które mieszkają tam – wskazał sękatym, ciemnym palcem w dół. – Ziemia ciągnie. Zawsze nas w końcu dostaje. Tak już jest”.

Leży oto stary i Czetanagowi zdaje się, że słyszy jego głos, a zarazem wydaje mu się także, że słyszy głosy tych tajemniczych mieszkańców podziemi, tych duchów skalnych, duchów wodnych, duchów pieczar, piasków, korzeni, źródeł, nie kończących się rozgałęzień tajemniczego bytowania. Ale nie ma strachu w tych myślach, może dlatego, że jest tak ogromnie, tak bezgranicznie wyczerpany, może dlatego, że twarz dziadka – uroczysta i piękna – jest pogodna.

Spogląda na pióropusz Ahpakiego. Pióra pogniecione są i uwalane we krwi. Ile piór, tyle zabitych nieprzyjaciół, tyle czynów chwalebnych, tyle zwycięstw. Gdyby dziadek żył, może wyjąłby jedno pióro i dał Czetanagowi. Za walkę, za bitwę, pierwszą bitwę w życiu, za tomahawk, który dobrze trafia.

Chłopiec pochyla się nad umarłym, szepcze:

– Dziadku... dziadku...

I nagle przypomina sobie. Jest to tak, jakby ktoś nagle podniósł zasłonę tipi i wpuścił do wnętrza światło. Przypomina sobie, widzi zupełnie dokładnie tamtą izbę z małymi okienkami, psa tańczącego

z miską w zębach... On sam jest mały, malutki, pochyla się nad nim twarz dziadka, tak jak on pochyla się teraz nad nim. I przypomina mu się to wszystko, co słyszał o tamtej dawnej podróży matki z nim małym do jej rodzinnych stron. Jakże to możliwe, że zgubił wszystko w mrokach pamięci? Jakże to możliwe, że z mroków pamięci wydobyło się to nagle?

„Jedenaście zim... Jedenaście zim...” Węc to miał na myśli Ahpaki.

I chłopiec pochyla się jeszcze niżej, tak jakby chciał do ucha dziadkowi powiedzieć coś ogromnie ważnego. Szepcze:

– Wiedziałem o tym... dziadku, wiedziałem już przedtem. Teraz pamiętam...

Starzec milczy. Wtedy chłopiec czołga się znów, wraca do leżącego nieruchomo przyjaciela, którego pilnuje pies. Pada wyczerpany. Zasypia kamiennym snem.

XI

Jak okiem sięgnąć, suche, spalone słońcem trawy, które falują z sykiem na wietrze, przesiewając mialki piasek. Czetaanag idzie pochylony do przodu, ciągnąc za sobą dziwaczny zaprząg, coś w rodzaju travois, na którym spoczywa Oopa. Za nimi – z dwoma płozami przytwierdzonymi do wełnistego grzbietu – szczeniak. Obarczony jest pęcherzami z wodą. To wystarczający dla niego ciężar.

Drobny, ostry piasek tnie jak żądła natrętnych pcheł, wiatr wysusza nozdrza i gardło, oczy swędzą od pyłu. Idą od trzech dni, uciekają z okolic, po których kręcą się jeźdźcy białych.

Z początku Czetaanag chciał czekać na powrót myśliwych i kobiet, grzebał w osypiskach skalnych ciała poległych, choć ledwie trzymał się sam na nogach. Rana na głowie goiła się jednak szybko. Gorzej było z Oopą. Okazało się bowiem, że oprócz rany w piersiach, miał złamany goleń prawej nogi. Leżał więc trawiony gorączką, osłabiony od upływu krwi, zdany na opiekę przyjaciela i na wytrzymałość własnego organizmu.

Ale nawet gdy rana podgoiła się, nie było mowy o tym, żeby mógł sam się ruszać. Czetaanag wprawdzie unieruchomił mu nogę między trzema kijami powiązanych plecionką z gałęzi i obłożonymi gliną, ale przecież trzeba było czasu, żeby się kość zrosła.

A koni nie było. Część ich biali wybili podczas bitwy, resztę zabrali pewnie z sobą, a może spłoszone mustangi rozbiegły się i, jak to często bywało, przyłączyły się do dzikich stad buszujących po prerii.

Przez pierwsze dni, ukryci w zaroślach nad strumieniem, czekali na powrót myśliwych i kobiet. Ale wnet zrozumieli, że nie nastąpi to prędko, gdyż cała okolica była patrolowana przez białych wojowników. Coś musiało zajść w czasie, kiedy chłopcy byli w podróży. Utrudniało to też polowanie, zapasy pemikanu kończyły się i chłopcy zaczęli odczuwać głód.

– Tak dalek być nie może – powiedział któregoś wieczoru Czetanag – musimy stąd iść.

– Czy nie chcesz jednak poczekać na powrót Cheyennów?

– A jeżeli kobiety zapędziły się daleko, tak daleko, że spotkały myśliwych, jeżeli oni wiedzą, że tu są wojska białych...

– To wrócą. Właśnie dlatego. Przecież zechcą pomścić swoich ojców.

– Zechcą ich pomścić, ale nie teraz, kiedy biali spodziewają się tego. Zresztą mogli za stadami bizonów zapędzić się tak daleko, że minie jeszcze dużo czasu, nim tu wrócą. A przecież nie możemy tak ciągle siedzieć w tych zaroślach. Zginiemy tu z głodu i zjedzą nas te przekłete komary.

To prawda. Ciała chłopców pokryte były czerwonymi plamami od ukąszeń owadów, ognia zaś nie można było rozpałać, jeszcze ciągle było to niebezpieczne.

Pewnej nocy, po kilkudniowych przygotowaniach, które polegały na sporządzeniu dostatecznie mocnych travois dla Oopy, opuścili kotlinę nad Niobararą i ruszyli na północ.

Była to droga mozolna, trudniejsza, niż się to mogło Czetanagowi wydawać. Początkowo nie robił więcej niż trzy mile dziennie, a raczej przez noc, gdyż w tych okolicach nie odważyłby się posuwać za dnia. Oopa leżał na skórze bizoniej, rozpiętej między płozami travois, w które wprzęgnięty był Czetanag. Resztę bagażu chłopiec podzielił na dwie części. Jedną przywiązał do noszy u stóp Oopy, drugą do dwu źerdeń, które ciągnął pies.

Początkowo Meke buntował się, skomlał, usiłował uwolnić się od ładunku. Czetanag jednak okazał się nieubłagany i po raz pierwszy szczeniak zapoznał się z razami rzemiennego lassa.

Posuwali się powoli, unikając wzniesień. Rano, upadając ze zmę-

czenia, Czetanag musiał jeszcze rozbić prowizoryczny namiot, cząsem rozpaść ognisko. Piesza wędrówka była dla Dakoty czymś niepojętym, czymś przeciw naturze. Od najmłodszych lat, jak tylko nauczył się chodzić, nauczył się też dosiadać konia. Najpierw siedział przed matką, w objęciu jej opiekuńczych ramion, potem za nią, z rękami wczepionymi w pas przy jej kaftanie. Pamiętał pierwsze samodzielne przejażdżki, pierwsze upadki, pierwsze dalsze wyprawy.

Właściwie nie rozstawał się ze swoim mustangiem. Teraz dopiero chłopiec uświadomił sobie, jak mało chodził pieszo.

Powoli jednak stwardniał i nawykł do wędrówki. Meke także przyzwyczał się do roli psa-tragarza. Jego wełnista sierść chroniła go od odparzeń i ran. Nie był to już jednak beztroski szczeniak z pierwszych dni. Kiedy na postojach chłopiec zdejmował jego brzemię, pies dysząc ciężko padał na ziemię albo czekał spokojnie na swoją rację żywności.

A z żywnością było coraz trudniej. Okolice świeciły pustkami, jak gdyby zwierzęta je opuściły, i tak musiało być w istocie. Ruch żołnierzy, wytyczanie nowych szlaków osiedleńczych, szlaki pocztowe, wszystko to sprawiało, że stada jeleni i bizonów uciekały na północ i na zachód, mniejsza zaś zwierzyna tępiona była przez coraz liczniejszych białych myśliwych.

Szedł więc Czetanag pochylony, ciągnąc swoje brzemię, często o głodzie, i myślał z rozpaczą o tym, że droga przed nim jeszcze długa, bardzo długa, a co gorsza, że przebrnąć muszą przez okolice Złej Wody, które, jadąc konno, przebywało się w przeciągu dwóch – trzech dni, a które dla pieszych wędrowców były pasmem udręki i niebezpieczeństw.

Niebawem ładunek zaczął wzrastać. Szli teraz przez ocean puste prairii i jeśli znajdowali po drodze jakikolwiek krzak, kości padłego zwierzęcia lub wysuszony przez wiatr nawóz bawoli, Czetanag zbierał go skrzętnie, jako zapas paliwa. Uczyło go tego życie na pustkowiu. Tak zresztą czynili członkowie jego plemienia, tak czynił on, tak czynić będą jego dzieci. Musiał mieć z sobą również zapas wody. Nie zawsze, a w tych okolicach coraz rzadziej, trafiały się źródła i kałuże między suchymi, porośniętymi trawą wydmiami.

Niekiedy zatrzymywali się trochę dłużej, odpoczywali w cieniu zarośli lub skał, Czetanag usiłował polować, Oopa spał albo, jeśli był głodny, narzekał, a niekiedy nawet płakał. Zrobił się teraz inny.

Czetanag po prostu nie poznawał go. Wyczerpanie, rany, złamana noga, a przede wszystkim bezradność i świadomość zupełnej zależności sprawiły, że stał się nieznośny, często nawet złośliwy. Wszystko, co się działo złego, było teraz winą Czetanaga.

– ...Bo nie chciałeś mnie słuchać, gdybyśmy poczekali jeszcze trochę, na pewno myśliwi wróciliby i moglibyśmy teraz jechać normalnie na koniach.

– Nie utrzymałbyś się na koniu – mówił Czetanag. – Zresztą mogłoby być jeszcze gorzej, mogliby nas biali złapać.

Oopa jednak nie dawał się przekonać:

– Tobie dobrze tak mówić – zrzędził. – Tobie to dobrze, jesteś zdrowy i robisz, co chcesz.

„Tak, mnie jest dobrze – myślał z goryczą Czetanag – mnie jest dobrze i lekko.”

A jednak było trochę racji w słowach Oopy. W gruncie rzeczy Czetanag czuł się lepiej niż kiedykolwiek dotychczas. Po raz pierwszy w życiu czuł się silny.

Na dnie pęcherza została garstka pemikanu. Od kilku dni jedli bardzo niewiele, raczej oszukując głód niż karmiąc ciało. Oopa jęczał:

– Chcę jeść... Czy nie możesz upolować jakiegokolwiek zwierzyny? Czy mamy tu umrzeć z głodu...

Czetanag milczał. Cóż mógł powiedzieć. Step był pusty, gdzie wysoko nad nimi szybowały ptaki, bezlitosne słońce prażyło i wysuszało ciała chłopców. Jak długo trwała ta podróż? Dawno stracili rachubę dni. Przez jakiś czas Czetanag robił codziennie nacięcia na rękojeści tomahawka. Było ich trzy razy po dziesięć. Któregoś dnia zapomniał, potem już wołał nie liczyć.

Dni były upalne i chłopiec wędrował teraz, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy stawało się chłodniej. Potem, po zapadnięciu nocy, jeśli księżyc świecił, udawało mu się czasem przejść jeszcze kawał drogi. Ale dziś chciał odpocząć.

Znaleźli schronienie pod wyspą skalną. Czetanag obszedł ją dookoła w poszukiwaniu wody, zdawało mu się nawet, że słyszy pod kamieniami bulgotanie źródła. Ale już niejednokrotnie miewał takie złudzenia. Niejednokrotnie także zdawało mu się, że widzi na widno-

kręgu poruszające się grzbiety ogromnego stada. Czy było tak naprawdę, czy też rozgrzane powietrze nad piaszczystymi wydmami falowało, stwarzając złudne majaki? Czuł głód. Na pewno bardziej jeszcze potrzebował pożywienia niż Oopa. Ale już znał swoje możliwości, swoją wytrzymałość. Sam się dziwił, skąd bierze mu się jeszcze tyle siły, żeby móc dźwignąć przyjaciela, podnieść go na rękach. Co prawda ostatnio Oopa mógł się już trochę poruszać, rana na piersiach dobrze się zagoiła, tylko noga była jeszcze unieruchomiona. Ale po prostu zaczęli obaj odczuwać to leniwe, senne osłabienie, jakie przynosi głód.

A zwierzyny wciąż nie było. I wody nie było pod skałami.

Usiedli w cieniu, spoglądając na psa, który węszył w suchych trawach, przyczął się, skakał, łowił coś, co następnie chrupał z wielkim smakiem.

– Popatrz na szczeniaka... – powiedział Oopa. – Łapie koniki polne.

– Powinniśmy zrobić to samo – zawyrokował Czetanag.

Nałapał do kociołka owadów, zalał je odrobiną wody i ugotował nad ogniem. Nie było to smaczne jedzenie. Ale dało dawno nie odczuwane uczucie sytości. Następnego dnia jedli je na surowo. Można je było także prażyć na rozpalonych kamieniach. Ale niebawem przyszły dni deszczowe. Świerszcze pochowały się w głąb ziemi. Wilgotny chłód oblepił ciała chłopców, głód na nowo zaczął doskwierać.

– Czy nie powinniśmy iść na wschód, a nie na północ – powiedział Oopa, patrząc na bezmierną przestrzeń falującej prerii pod bladym, nawisłym deszczami niebem.

– Idziemy na wschód – burknął Czetanag.

– Czemuż więc nie dochodzimy do Rzeki¹²? Zdechniemy z głodu, jeżeli nie dojdziemy do Rzeki.

– Idziemy w dobrą stronę – powtórzył Czetanag. Lecz i jego ogarnął nagle niepokój. Sprawdzali co prawda kierunek podczas pogodnych nocy wedle gwiazd, a teraz – obserwując gdzieś tam małe żółte kwiatki, zwane „okiem północy”, których listki niezmiennie odwrócone były bladymi grzbietami na północ. A jednak wciąż jeszcze nie było Rzeki.

¹² Rzeka – tu: Missouri

– Zdechniemy z głodu, zdechniemy z głodu... – powtarzał co jakiś czas Oopa, który stał się teraz zgryźliwy jak starzec i wiecznie narzekający.

Czetanag wlał do kociołka trochę wody, wrzucił pocięty na drobne kawałki rzemień. Słyszał, że tak czyniono w okresach głodu. Wypili tę śmierdzącą starym tłuszczem wodę i ułożyli się do snu drżąc z zimna i wycieńczenia.

Szli teraz coraz wolniej. Jeżeli wychodzili rano, w południe upadali ze zmęczenia. Pęcherz po pemikanie był dawno pusty, owady pochowały się w głąb ziemi, zostały im tylko korzonki i liście stepowych roślin.

Wreszcie pewnego dnia natrafili na strumyk. Czetanag napełnił pęcherze i otucha wstąpiła w jego serce. Wnet jednak miejsce jej zajęło bolesne rozczarowanie.

Zauważyli, że w strumieniu nie było żadnego stworzenia, żadnej ryby. Woda miała cierpki smak i zarówno chłopcy, jak i szczeniak pijąc ją cierpieli na mdłości i ostre bóle żołądka.

Szli dalej. Znów natknęli się na wodę o cierpkim smaku. Teraz zrozumieli, dlaczego zwierząt nie było w tych okolicach. Znaleźli stary, wysuszony szkielet bizona. Z traw i kości rozpalili ognisko. Siedzieli przy nim, milcząc ponuro.

I wówczas Oopa zapytał:

– Co czynią ludzie naszego plemienia, gdy nie ma zwierzyny i dokucza głód?

Czetanag milczał. Oopa zaś odpowiedział sam sobie:

– Zabijają psy i zjadają je. Zabijają mustangi i zjadają je. – Potem roześmiał się i śmiał się długo i tak dziwnie, że szczeniak zaniepokojony nadstawił uszu.

Jakiś czas milczeli. Z daleka, bardzo daleka dobiegło dudnienie, jak przetaczający się grzmot.

– Nie! – powiedział nagle Czetanag. – Nie! Taka jest moja wola.

Oopa ukrył twarz pod kocem. Czetanagowi zdało się, że się znowu śmieje. A może płakał. Trudno było odgadnąć.

Chłopiec okrył się także kocem, pod który wczołgał się szczeniak. Wsadził swój kosmaty pysk pod pachę chłopca i westchnął głęboko, ciężko jak człowiek. Czetanag przytulił go mocno do siebie i tak zasnęli.

Czyżby to był sen? Chłopiec zerwał się, nastawił uszu. Słyszał wyraźnie tętent kopyt.

Było jeszcze ciemno, ale na wschodzie, niziutko, przy samej ziemi, różowiła się jutrzeńka. Stamtąd dochodził ten głuchy, podobny do dalekiego grzmotu odgłos. Spod koca wylazł pies. I on także usłyszał. Jego uszy poruszyły się zabawnie, przekrzywił na bok łeb. Nagle na różowym tle nieba zaczęło się coś poruszać.

– Koń... – szepnął Czetanag.

Stawało się coraz jaśniej i chłopiec ujrzał sylwetkę zwierzęcia. Koń był bez jeźdźca, zapewne spłoszony dziki mustang, oderwany od stada.

W pewnej odległości od chłopców koń zwolnił, zatrzymał się, podniósł łeb. Zapewne poczuł zapach dymu.

„Jeśli to dziki mustang, zawróci” – pomyślał Czetanag.

Oopa patrzył także. Jego blada twarz pełna była napięcia.

Ucieknie...

Czetanag zacisnął palec na pysku szczeniaka. Nie wolno konia spłoszyć. Nie wolno się nawet poruszyć.

Nie widzieli go wyraźnie, tylko smukłą, ciemną sylwetkę na tle coraz jaśniejszej poświaty. Przyczajeni czekali. Lekki powiew, pierwszy wiaterek poranka przyniósł mustangowi woń niewygaszonego ogniska. Usłyszeli niespokojne rzenie. Ujrzeni, jak koń grzebie kopytem, niecierpliwie ogląda się, znów wciąga powietrze w wysoko uniesione nozdrza.

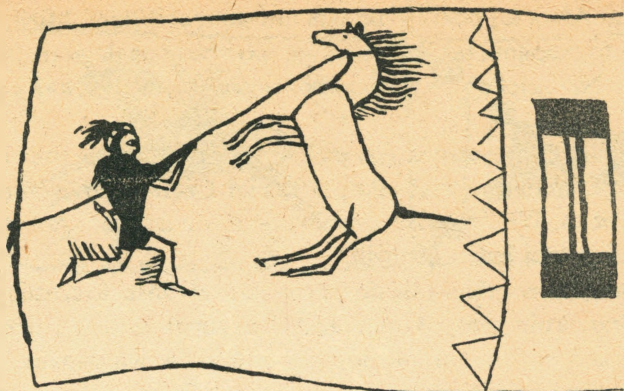
„Dziki koń już by uciekł” – przemknęło przez myśl Czetanaga.

Spojrzał na Oopę. Porozumieli się jednym spojrzeniem. Byle się nie ruszać. Byle go nie spłoszyć. Lekkim, wdzięcznym truchtem zwierzę zbliżyło się jeszcze. Przystanąło na jakie dwa rzuty oszczepem. Wyciągnęło wąski łeb.

Dziki koń nie uczyniłby tego, nie zbliżałby się, zapewne, ale wystarczy, żeby ten się spłoszył, żeby się czegoś przestraszył, żeby mu się coś nie spodobało, a odbiegnie.

Czetanag ostrożnie pakuje szczeniaka do worka. Dawno już tego nie czynił. Ciągłe jeszcze ścisną jego pysk. Ale pies, mimo że się szarpie, nie usiłuje szczekać. Czetanag puszcza go na chwilę. Pies przywarowuje w worku, którego otwór pozwala mu widzieć wszystko, co dzieje się na zewnątrz.

„Co robić?... – myśli Czetanag. – Co robić?”



Boi się ruszyć, żeby nie sponżyć konia, boi się czekać dłużej, żeby nie stracić tej jedynej, niepowtarzalnej okazji. Znowu patrzy na Oopę. Znowu patrzy na konia. I wówczas próbuje. Składa wargi i wydaje cichutki wabiący gwizd. Taki sam, jakim wabił swego mustanga. Cichy, ledwo dosłyszalny, żeby koń się nie złąkł.

Znowu rzenie, przerywane, jakby pytające rzenie. Potem koń odwraca się i serce w chłopcach zamiera. Odwraca się i odchodzi, odchodzi powoli, zatacza niewielkie półkoło. Nasłuchuje jeszcze przez chwilę, widzą jego niespokojny dumny łeb na tle luny poranka.

A potem spuszcza łeb i zaczyna się paść.

Chłopcy znowu patrzą na siebie. Oopa stula wargi i oczami wskazuje mustanga. Ale Czetanag namyśla się jeszcze. Patrzy na lasso. Dobrze, że zabrał je z sobą, że dźwigał, choć było tak ciężkie. Teraz, teraz może się przydać.

Spogląda na przyjaciela i widzi, że on także patrzy na pętlę zwiniętych rzemieni.

Czetanag nie ma wielkiej wprawy w rzucaniu lassem. Ale przecież czynił to niejednokrotnie. Czy tylko uda mu się to teraz? Czy koń nie sponży się przedwcześnie?

Nie spuszczać oczu z konia wyciąga rękę, równocześnie widzi rękę Oopy, która przytrzymuje szczeniaka, kładzie się na jego pysku. Czetanag oddziela ostrożnie pętlę lassa, wstaje powoli. Nie. Jeszcze za wcześnie. Klęka, podkurcza lewą nogę, cały ciężar ciała przenosząc

na prawą. Ale z tej pozycji nie uda mu się rzucić pętli. Musi wstać.

Czyni to etapami, tak żeby koń nie spostrzegł nagłego ruchu. „Nie uciekaj... Nie uciekaj... – szepcze bezgłośnie. – Nie uciekaj... Nie bój się...”

Koń jednak jest czujny, jest płochliwy. Przestaje się paść i patrzy na chłopca, jakby wiedział, jakby rozumiał. Czetanag znów nieruchomieje. Czeką. Wie, że tylko cierpliwość może mu dać szansę. Tylko wybór tej jednej jedynej chwili.

Mustang znów zabiera się do trawy. Ale od czasu do czasu podnosi łeb i podrzuca nim niespokojnie. Jest teraz zupełnie jasno, ukazało się słońce i koń stoi w aureoli nowego światła, w wilgotnym lśnieniu poranka. Czas mija. Czetanag słyszy oddech Oopy i ciche szamotanie się szczeniaka, słyszy bicie swego serca. Lekki wiatr zmienia kierunek, wieje teraz od wschodu i chłopiec czuje w nozdrzach zapach potu końskiego.

Mustang pasie się dalej, ale wciąż jest czujny. Czy jednak można dłużej czekać?

Czetanag zrywa się. Rzemień w wężowych skrętach leci w powietrze, ręce chłopca ledwie dostrzegalnymi obrotami dłoni nadają mu ruch i kierunek. Leci, wydaje się, że zwisa nieruchomo. Koń podrywa głowę, nieruchomieje na moment, czuje niebezpieczeństwo. Chłopcu wydaje się, że to wszystko trwa długo, że czas zatrzymuje się, że lasso przestaje się poruszać, że tylko mustang, tylko mustang jest w ruchu. Jak aureola nad wzniesionym nagle pyskiem, nad zadartą głową końską, trwa pętla. I nagle... Nie, właściwie chłopiec nie widzi tego, to się dzieje poza jego świadomością, już jest, już się stało. Zamknęło się. Łeb konia w pętli lassa.

Teraz, po tym momencie złudnej nieruchomości, zawieszenia w czasie, następuje ten cały dramat, to burzliwe, gwałtowne dzianie się. Syk rzemienia, rzenie konia przechodzące w zdławiony kwik, werbel kopyt, jazgot szczeniaka, którego Oopa wypuszcza, by rzucić się na pomoc Czetanagowi.

Mustang stoi przez chwilę nieruchomo, podrywa się, szarpie. Czetanag wstrzymuje oddech, zagryza wargi do krwi. Teraz szybko, błyskawicznie ściąga lasso. rzuca się w przeciwnym kierunku, żeby je zacisnąć na szyi zwierzęcia.

Odczuwa to jak potężne uderzenie. Pada, lecz nie wypuszcza rzemienia, rzuca koniec zwoju Oopie. Mustang zrywa się do ucieczki,



wlecze ich teraz wśród traw, ciągnie Czetanaga i Oopę. Ich wynędzniałe ciała są marną przeciwwagą, czepiają się jednak ziemi, trawy, każdej najmniejszej nierówności terenu. Wśród traw pojawiają się kamienie. Ciała chłopców tłuką się o nie. Czetanag słyszy jęk Oopy, czuje, że chłopiec puszcza koniec rzemienia. Jest teraz sam, zupełnie sam z oszalałym ze strachu zwierzęciem.

Zamyka oczy i daje się unosić, tłuc sobą o ziemię, o głązy. Potem pęd maleje. Oddech konia staje się rzężący, zamienia się w głęboki, prawie ludzki głos. Mustang nie ma już sił biec dalej. Przysiada na zadzie, klęka. Podrywa się znowu. Czetanag wstaje, nie czuje bólu, nie widzi krwi, która cieknie z pociętych rzemieniem dłoni. Z całej mocy zaciska pętlę. Koń dusi się, kaszle.

Chłopiec końcem lasa pęta mu błyskawicznie przednie nogi. Zwierzę już się nie szarpie, stoi oddychając chrapliwie, przekrwionymi oczami patrzy na chłopca, który chwieje się. Pada na ziemię.

Ale to tylko chwila. Czetanag podciąga nogi. Siada. Odpoczywa. Musi po prostu złapać oddech. Teraz już zwyciężył. Już nie musi się spieszyć.

Potem wstaje. Chwyta łeb konia, przybliża usta do jego chrapów, by tchnąć w niego swój oddech, napęlić nim płuca ujarzmiętego mustanga, tak jak to czynili zawsze członkowie jego plemienia.

Tego samego dnia załadowali na konia cały swój dobytek, był to ciężar niemały. Czetanag dziwił się teraz, że mógł to tak długo ciągnąć sam.

Mknęli przez pustynne okolice trującej wody. Czy zdołaliby je przejść pieszo?

Z daleka ujrzeli trójkąty namiotów, dymy zawieszono nad obozowiskiem. Dolina wypełniona była słońcem. W słodkim cieple jesienno-południa zawzięcie świergotały drozdy.

Opa ześliznął się na ziemię i skacząc na zdrowej nodze dotarł do pnia starego buka, który królował nad krzakami.

– Nic o nas nie wiedzą – powiedział, patrząc w dolinę – nic nie wiedzą. A może dotarły do nich wieści o tym... o białych... Co?

Czetanag zdjął worek z psem. Szczeniaki, otrząsnawszy się jak po kąpieli, przeciągnął się dokładnie i zwrócił ku chłopcom pytające, głodne spojrzenie.

– Jeżeli dotarły, to zapewne odbyły się już na naszą cześć uroczystości żałobne.

Roześmieli się obaj. Opa podjął rozmarzonym głosem:

– Gęsta kasza z kukurydzy... z kawałkami mięsa. Albo małeńka ptaszyna zapieczona w tłuszczu bizonim, co?

– Może być indyk, czemu nie – odparł Czetanag, wycierając spocony grzbiet konia. – Ale ja... – nagle przerwał.

Z dołu, ze słonecznej doliny doleciało dalekie rzenie konia. Odpowiedziało mu inne, a mustang chłopców podniósł łeb i chrapliwie wciągnął powietrze.

Ten głos, to dalekie rzenie uczyniło, że nagle wieść jakby się przybliżyła, jakby przez chwilę była tuż przy nich. Ogarnął Czetanaga lęk, przemożne uczucie upokorzenia.

Obaj teraz patrzyli na psa. Nie mówili nic. Nie potrzebowali. I nagle jakby do wtóru utajonej myśli Czetanag uderzył stopą w ziemię. Zaciśnął wargi i uderzył raz jeszcze. Meke przypadł i zaczął go tarosić za resztki mokasy, ale chłopiec odepchnął go. Odwrócił się.

– Czetanag... – usłyszał pytający głos Oopy. – Czetanag...

– Nic się nie zmieniło – odpowiedział, uśmiechając się drwiąco. – Taka jest moja wola, jak wtedy. – Ciszej dodał: – Zobaczysz.

W głosie jego była gorycz i groźba.

– Czy będzie inaczej niż dawniej? – usłyszał głos przyjaciela. – Hungotinga i inni? I starzy? – Umilkł na chwilę. – Jak będzie, Czetanag? Czy ty się nie boisz?

Wtedy nagle Czetanag przyskoczył do niego, potrząsnął nim, nie

bacząc na chorą nogę, na to, że Oopa był słaby.

– Boję się, boję się... No i co z tego. Boję się. Ale to nic nie zmienia!

Naraz doznał olśnienia. Ostatnie słowo było tym magicznym słowem, które jak pochodnia oświetliło nagle ciemne dotychczas wnętrze.

To niczego nie zmienia. Może się bać, ale to niczego nie zmienia. Wiedział, czuł, że słowa te nie były tylko słowami. Może i wojownicy, może nawet ci najdzielniejsi doznają uczucia lęku. Lęk ten jednakże nie zmienia ich zachowania, są nadal dzielni i odważni, nie dlatego, że się nie boją, ale mimo to!

Przypomniał sobie bitwę, uczucie dzikiego popłochu, które przeżył, nim zaczął działać, w jakiej chwili ten popłoch, ten strach przekształcił się w zaciełość, w nienawiść, w dziką żądzę walki, w jakim momencie upadający lęk przed drwiną, przed biczem słowa i śmiechu, przed podniesioną ręką silniejszego zmieni się... Nie! Już się to dokonało. Teraz, a może w tym momencie, gdy schował nóż do pochwy i darował szczeniakowi życie?

I zapragnął nagle znaleźć się w wirze walki. Zdało mu się, że będzie to walka w jakiś sposób podobna do tej, jaką stoczył nad Niobararą. Nie myślał o możliwości porażki, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak trudno jest walczyć bez łuku czy oszczepu.

– Matko... Matko...

Patrzyła na niego nie rozumiejąc, nie poznając. Oczywiście była to chwila tylko. Ale czyż to możliwe, żeby prócz naglej radości odczytał w jej oczach strach? Powtarzał bez przerwy: „Matko... Matko...” Nawet wtedy, gdy siedział już przy ogniu, gdy pochylona nad nim podawała mu w drewnianej znajomej miseczce jedzenie.

Patrzyli na niego, jak na zjawę z tamtego świata. Miał rację mówiąc, że ich tu opłakiwano i pogrzebano. Ale Czetanag widział także, jak patrzą na psa.

– To szczeniak tego zwierzęcia. Sukę widziałem. Była taka jak we śnie. Taka sama.

Milczeli. Podawali mu jedzenie, dotykali jego włosów, jego ramion. Podsycali ogień, żeby mu było cieplej. Milczeli, jakby się bali pytać. Ale spojrzenia ich mówiły: Dlaczego, dlaczego pies żyje?

I jeszcze: To pies, w końcu zwykły pies. Szczenię psa. Może nie takiego całkiem zwykłego, ale psa, nie żadne dziwne i nieosiągalne zwierzę.

Przez szczelinę w zasłonie tipi zaglądały czyjeś oczy, od czasu do czasu rozlegał się stłumiony śmiech.

Jakże tu opowiadać o biwie i o tym wszystkim. Jakże tu było dać świadectwo prawdzie, gdy tylko Oopa jeden był świadkiem.

Ale przecież zaraz na drugi dzień odbyły się uroczystości powitalne. Przychodzili ludzie z całej wsi. Niektórzy byli u rodziców Oopy i coś niecoś od niego wiedzieli, w każdym razie choćby to, że Czetanag uratował go i przez większą część drogi ciągnął i niósł go sam. Chcieli też zobaczyć psa i dowiedzieć się...

Tak. To chyba ważniejsze było od wszystkiego. A przecież były jeszcze sprawy bitwy. Ale o niej już któryś z powracających z południa myśliwych opowiadał. Opowiadał o zniszczeniu wsi, o wybicciu plemienia dziadka.

Przychodzili więc krewni i przyjaciele, ci, którzy z czystej ciekawości obejrzeć chcieli chłopców i psa. Spoglądano na szczeniaka, potem na rodziców chłopca, potem na niego samego, żeby wreszcie spojrzeć po sobie i milcząc przetrwać to zdziwienie, to niemile pozornie zaskoczenie, które w rzeczywistości było raczej przyjemne, gdyż spełniało wszystkie rodzinne i sąsiedzkie proroctwa o dziwaczności i głupocie Czetanaga.

Na takich więc wizytach i na spaniu przeszedł chłopcu pierwszy dzień powrotu do domu. Drugiego dnia zaczęło się to, na co czekał, co tkwiło już zresztą w tych wszystkich odwiedzinach i szeptach, i śmiechach za zasłoną drzwi.

Czekał na to. Był przygotowany. A jednak zaskoczyło go to, gdyż zdawało mu się w głębi duszy, że może jednak się myli, że przecież za dużo się zmieniło w nim samym, żeby nie spostrzegli tego inni i nie wzięli pod uwagę, że dużo przeszedł, że wiele doznał i że stał się w końcu kimś innym.

Ale to wszystko działo się pod dachem jego domostwa, w kręgu jego rodziny. To wszystko było w jakiś sposób łagodne i zacajone, jak pajak, który jeszcze nie chwyta swojej ofiary, ale powoli omotuje ją nieznacznymi zabiegami.

Czy miał być ofiarą?

Wyszedł wreszcie, tak, wyszedł na światło dzienne. I wiedział, że wychodzi na plac, na którym ma stoczyć walkę.

Ale ta świadomość nie była w nim stale.

W końcu był przecież młodym chłopcem, zupełnie młodym chłopcem, którego myśli były zajęte wieloma innymi sprawami.

Wyszedł więc, a Meke biegł przy nim, podnosząc od czasu do czasu łeb i naszczekując radośnie, jakby zapraszał swego pana do zabawy. I Czetanag pobiegł przed siebie w wesołej gonitwie z psem. Ale gdy znalazł się już na skraju wsi, usłyszał za sobą śmiechy. Odwrócił się i zobaczył dwie kobiety. Jedną z nich była matka Oopy. Śmiały się w sposób, który dobrze znał.

Nie zwrócił na to większej uwagi, tyle tylko, że zatrzymał się na chwilę. Pomyślał jednak, że nie pójdzie teraz odwiedzić Oopy. Po prostu tak sobie pomyślał. Odłożył to na później.

Ale śmiech wisiał tego ranka w powietrzu. I kiedy szedł znajomymi szlakami, ku zaroślom, ku rzece, na pagórek, na którym rósł rozłożysty dąb, śmiech ten towarzyszył mu i dzwonił w uszach, szumiał w głowie i wkładał gorączką, jak zła woda ognista wypełnia wór ciała ludzkiego, nawet gdy do gardła wlewa się po kropelce.

Meke zatrzymał się nad urwiskiem. Było to to samo urwisko, które kiedyś pochłonęło psa Toro z kolebką na grzbiecie. No, może niezupełnie w tym miejscu, choć i tej jesieni, jak przed czternastu laty, plemię koczowało na swoim zwykłym terenie.

Było to trochę poniżej i odległość od szczytu urwiska do małej kamienistej plaży była niewielka, ot taka właśnie, że pochyliwszy się widział dokładnie dziewczęta, które szorowały wiechciami gałęzi brudne koce rozłożone na głazach.

Czemu nie uciekł jak zwykle na ich widok? Może przypomniał sobie spojrzenie dziewczyny znad Niobarary? Może dlatego, że zapomniał o sobie. Meke zaszczekał, podniosły głowy.

– Hee... to Czetanag! – usłyszał przez szum wody.

I było coś w tym głosie takiego, że głębiej wciągnął powietrze. Stał i spoglądał wciąż na dół, nawet wtedy gdy jedna z dziewczyn, a była to Ainse, wnuczka starego Loone-kaszegi, trzymając ciągle ociekający wiecheć w ręce, skacząc po głazach zbliżyła się w jego stronę, tak że dzieliła ich tylko wysokość brzegu.

Patrzyła na niego z dołu, śmiejąc się ciągle. Ale śmiech ten zmienił się nagle. Może było to dlatego, że pośliznęła się i omal nie upadła.

I gdy stał tak wysoko i górował nad nią w sposób naturalny i oczywisty zapytała:

– Czy to chłopiec Czetanag?

Inne dziewczyny przestały się śmiać i zbliżyły się do Ainse. Patrzyły z dołu na chłopca. Patrzyły zupełnie inaczej niż dawniej, Ainse zaś podniosła rękę i szybko przyglądała włosy.

Nie wdał się z nimi w rozmowę, odszedł tak nagle, jak przyszedł. Po prostu zawrócił i pobiegł dalej, a Meke stał jeszcze chwilę na brzegu, szczerząc się na dziewczyny.

Ale zabrał z sobą spojrzenie Ainse i może nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, czym było ono dla niego. Może jednym z tych zwierciadeł, w których człowiek widzi siebie ostrzej i wyraźniej niżby się mógł zobaczyć w wypolerowanej powierzchni mosiądzu.

Były mu takie spojrzenia niezwykle potrzebne, były bardzo ważne. Biegł lekki i odmieniony, wiatr odgarniał mu z twarzy kosmyki długich włosów, przebiegł mimo wigwamu Isztesundy, potem zawrócił i przystanął na chwilę, spoglądając na zasłonę wejścia. Przez chwilę miał wrażenie, że czuje na sobie czyjeś spojrzenie. Ale z wnętrza nie dochodził żaden głos, nie widać było dymu nad otworem w dachu.

Chłopiec roześmiał się. Uczynił to może trochę głośniej niż wypadało. Meke zaszczekał, skacząc wokół niego.

Jakżeby Czetanag chciał, żeby szaman wyjrzał teraz i żeby go zobaczył. Krzyknąłby mu zuchwale, najzuchwalej jak tylko potrafił: Patrz, Isztesundo, oto jest zwierzę ze snu, o którym mówiłeś, że nie istnieje. Oto prawdziwe zwierzę.

Ale równocześnie przysłała mu też na myśl odpowiedź Isztesundy. Mogła przecież brzmieć tak: Jeżeli to zwierzę ze snu, to czemuż nie zawiesiłeś jego skóry w amulecie na szyi? Czemu żyje ono jeszcze? Czemu tak jest?

Nie musiał zresztą specjalnie się głowić nad tym, co powiedziałby szaman. Słyszał te pytania od dnia powrotu.

Tego dnia biegał po wsi, obcy i nieczuły na wołania kobiet, na śmiechy chłopców, na docinki dziewcząt. Jeszcze był daleko, jeszcze nie zaczął być sobą z tamtych lat, jeszcze nie nasiąkł goryczą i upokorzeniami, pływał na powierzchni tego strumienia, w którym dawniej był pogrążony, lekki, obcy, wyczekujący.

Następnego dnia zbudził go o świcie szelest i trzask nowego ognia.

Podniósł głowę i ujrzał matkę oświetloną gwałtownym płomieniem. Płonął wielki wiecheć kukurydzy, cały snop liści i łodyg. Z dziką zawziętością wpychała w płomienie tę szeleszczącą słomę, mściła się na niej, jakby to był żywy wróg.

Z dołu widział jej twarz skurczoną z bólu, z palającą żyłką leż na szarym policzku.

– Czy mam już iść po wodę?... – spytał.

– Idź. Teraz już możesz iść – powiedziała, nie odwracając głowy.

Nie śmiał zapytać, co się stało. Ale czuł, że musi to być coś, co było związane z nim. Z jego powrotem. Z tym wszystkim.

Ten dzień już się tak nieszczęśliwie zaczął. I kiedy koło południa wracał od Oopy, pobiegł w kierunku pagórka, na którym stało tipi Toonumpy. Toonumpy nie było już dawno, od roku chyba, ale zawsze tak chłopcy nazywali namiot, w którym samotnie mieszkał Anda, jego młodszy brat. Może Czetanag pomyślał, że Anda, który trzymał się z daleka od wszystkich, zrozumie jego sprawy. Trafił widocznie jednak na niedobłą chwilę, gdyż Anda siedział nachmurzony i zły. Ssał palec, z którego sączyła się krew, u jego stóp leżały świeżo wystrugane drzewce strzał.

– Wynoś się, ciekawych tu nie trzeba! – powiedział, gdy Czetanag przystanął na chwilę.

I wtedy, gdy się odwrócił, zobaczył chłopców. Było ich kilku, ale widział tylko Hungotingę. Zobaczył, jak stali tuż koło środkowego placu, przez który prowadziła najkrótsza droga do jego domu. Wtedy Anda powiedział nagle.

– Czekaj.

I Czetanag wiedział, że spostrzegł też tych tam na dole. I przypomniał sobie bójkę Andy z Hungotingą, porachunek za konia i za wiele jeszcze innych spraw, których pewnie ani tamci, ani Anda nie potrafili nazwać.

Przez ułamek sekundy oczy Andy i Czetanaga spotkały się. Oczy Andy dzikie, gorzkie, oczy Czetanaga spłoszone i dumne. Ale już chłopiec zdecydował, odwrócił się i szedł prosto w kierunku tamtych, do których dołączyli się jeszcze inni.

Meke biegł przed nim. I to dojście do placu trwało długo, bardzo długo. A przecież zdawało się chłopcu, że idzie szybko, musiał iść

szybko, chociażby dlatego, że bał się o psa. Chciał go złapać albo przepędzić dalej.

Spóźnił się. Zobaczył, jak Meke podbiega do chłopców, a potem usłyszał żalony, rozdzierający skowyt. Zobaczył, jak pies ucieka, usłyszał wrzask i śmiech.

Dlaczego nie było w nim strachu? Czy pomyślał o bitwie, o tamtych wojownikach, o Niobararze i śmierci, śmierci, której tyle widział? Czy po prostu czuł siłę swoich mięśni, swoje nowe ciało i nową twarz?

Gdzieś zza zasłony namiotu spoglądała może Ainse? Spoglądały inne dziewczyny? Wszystkie dziewczyny świata? Zagryzł kosmyk włosów, które wiatr przyklejał mu do ust, szczęki jego zacisnęły się, tworząc pod ciemną skórą wżórki mięśni, brwi grubą kresą połączyły się drapieżnie nad nasadą nosa. Twarz chłopca stała się nagle twarzą mężczyzny.

Potem był kamień, który ugodził go w policzek, tuż koło ust. I drugi kamień – w sam środek czoła. Omal nie roześmiał się mimo bólu, rzucenie kamieniem mogło tu mieć tylko jedno znaczenie. Szedł naprzód. Musiał tak iść, musiał przejść obok nich albo przez nich, niezależnie od tego, co go spotyka. Musiał. I musiał się także śmiać. To było silniejsze od wszystkiego.

Potem nagle pojawił się stary Loone-kaszega. Szedł powoli i zdało się, że nie widzi tego, co się dzieje. Ale przejście jego odbyło się w ten sposób, że przeciął ukośnie przestrzeń między chłopcami a zbliżającym się Czetanagiem.

Kiedy był już zupełnie blisko, położył ciężką rękę na ramieniu chłopca i powiedział: „Chodź ze mną”. I zabrał go ze sobą, sprzątnął go po prostu tamtym sprzed nosa, mimo widocznego oporu Czetanaga, mimo jego nalegań – że teraz nie może iść z nim razem.

Chłopcy widzieli tę szamotaninę, która trwała dość długo. Musieli to widzieć. Ale ręka Loone-kaszegi wyrażała wolę wodza i Czetanag musiał jej ulec. Gdy tak szedł obok starego, który był przecież jeszcze wciąż wysokim, potężnie zbudowanym wojownikiem, spostrzegł, że są równego wzrostu. I znów omal nie roześmiał się.

Było już prawie ciemno. Nad wsią wisiało niskie, uspokojone niebo wieczorne, wiatr usnął. Usłyszał tęskne skomlenie i zagwizdał wabiąc psa, tak jak to czynił zwykle. Po chwili skomlenie przeszło w naszczekiwanie i pojawił się, a raczej niewidoczny przypadł do jego nóg, Meke.

Po drugiej stronie placu płonął ognisko. Czetanag widział kobiety siedzące wieńcem wokół. Usłyszał skrzeczący głos starej Mech. I nagle zapragnął popatrzeć na nie, zobaczyć wszystkie te stare kobiety, które gromadziły się tak wieczorami, żeby szyc i gawędzić. Zapewne była tam między nimi i jego matka, i matka Oopy.

Ale prócz głosu idącego od ogniska usłyszał nagle inne głosy, ściszony tupot nóg, przytłumione śmiechy. Spodziewał się tego. Kiedyś musiało to nastąpić. Był w pogotowiu, zacisnął pięści i rozluźnił mięśnie, pochylił głowę lekko do przodu jak zwierzę, które węszy i nasłuchuje.

Ale z tej ciemności nie wyłonił się nikt, zakotłowało się, śmiechy wzmogły się jeszcze, tupot nóg, jawny teraz i wyraźny, oddalił się zataczając łuk poza kręgiem domostw i tylko Meke, który pobiegł ku przodowi, zaskowyczał znowu, jak skowyczy szczeniak, którego spotyka nieoczekiwany ból. Czetanag widział, jak w dalekiej poświacie ognia toczy się po ziemi, jak podnosi ujadając żałośnie, biegnie, ucieka w kierunku kobiet.

Poszedł za nim. Nie oglądając się. Czekał, że tak jak na psa, z ciemności i na niego posypią się kamienie. Wiedział także, że to nie Hungotinga ani żaden ze starszych chłopców, tylko ci mali, ci, którzy natrętną zgrają kibicują wszystkim rozrywkom tamtych albo spełniają ślepo ich polecenia. Znow usłyszał kroki, przyspieszony tupot nóg.

– Psia mamka... Psia mamka...

– Cheyenna... Cheyenna... Cheyenna...

Zupełnie tak jak dawniej.

Wszedł teraz w krąg światła bijącego od ogniska. Szedł powoli, wyprostowany. Czuł tylko, że krew spływa mu po policzku. Ale to nie miało znaczenia. Nie patrzył na kobiety. Czuł mimo to na sobie ich spojrzenia i spojrzenie matki, i usłyszał jej głos, kiedy coś powiedziała o psie. Szedł wolno, coraz wolniej, żeby nikt na świecie nie pomyślał, że ucieka, że boi się kogokolwiek. Gdzieś w głębi nocy słyszał głos szczeniaka. I wiedział, że musi go przywabić, odnaleźć, już nie tylko dlatego, że jest to Meke, jego najmilszy Meke, ale że pies stał się czymś więcej, czymś najważniejszym w tej rozgrywce samotnego chłopca z innymi chłopcami, z rodzicami, z całą wsią.

I nastał dzień trzeci od powrotu Czetanaga. Czuł na sobie uważne spojrzenie matki, słyszał niecierpliwy oddech ojca i wciąż czekał na

ich pytania, a chociaż nie padały, były w powietrzu, były między nimi, uporczywe i nieznośne, nękające i ciężkie.

Wszyscy czekali. Wszyscy milczeli. Dlaczego tak było? Na co czekali? Może po prostu ktoś z góry ułożył, że tak sprawy mają się odbyć? Nie, to było niemożliwe. Nikt przecież nie wiedział, jak się odbędą. Albo może przeciwnie, wiedzieli wszyscy, z Czetanagiem na czele? Było w tym coś z oczekiwania na deszcz, na burzę, na pierwszy śnieg. Było w tym coś z oczekiwania na urodzenie się dziecka, na śmierć konającego – wszyscy wiedzieli, że to ma nastąpić, ale nikt nie wiedział, jak i kiedy.

Tylko że tamte sprawy były sprawami zwykłego porządku natury, tu zaś wprost przeciwnie – działo się coś sprzecznego, nowego i niepokojącego, coś, z czym się ludzie jeszcze nie zetknęli, czego nie rozumieli, czego chcieli uniknąć, na co nie mogli pozwolić. I właśnie ich działanie miało być tym naturalnym, porządkującym działaniem. Nie zaczęli jednak. Jeszcze nie zaczęli, jak ciężkie czarne chmury pełne deszczu, które nie mogą otworzyć swoich upustów, by wreszcie na ziemię spadła oczekiwana ulewa.

Nagły tumult i wrzaski, krzyki i śmiech, skowyt szczeniaka i trzaskanie drewnianych kołatek, takich samych, jakich używano wiosną do odpędzania ptaków z poletek kukurydzy. Ogłuszający trzask, przypominający pęknięcie suchych gałęzi w płomieniach.

Czetanag szarpnął zasłonę drzwi, wypadł na dwór. Oślepiło go słońce, niskie jeszcze, wtopione w białe niebo. W tym blasku ujrzał cały pochód, ujrzał ludzi wyłaniających się z wnętrz domów, by przyjrzeć się temu, co się dzieje. Więc najpierw szły dwie małe dziewczynki powiewające gałęziami zrudziałej leszczyny, za nimi w tłoku i zgiefku kilku chłopców niosło coś, co wrywało się i rzucało w dzikim popłochu. Czetanag poznał swego szczeniaka przywiązane-go do drewnianej kolebki, takiej, w jakich matki noszą na plecach niemowlęta, dalej dzieci z kołatkami, na końcu wreszcie, jakby w pewnej odległości, znamionującej powagę dystansu, szli oni, starsi chłopcy, udający, że tylko przyglądają się temu, podobnie jak dorośli.

Cała ta zgraja w nieopisanym hałasie przybliżała się coraz bardziej do domostwa Czetanaga.

Chłopiec usłyszał za sobą stłumiony szloch matki. Syczący oddech ojca. I oni patrzyli także zza jego pleców na tę okrutną zabawę. Przeczuwali nowe upokorzenia, nową hańbę.

Nagle, zanim ktokolwiek zdołał pomyśleć, Czetanag skoczył naprzód. Nie, właściwie nie skoczył. Wyszedł. Zwyczajnie wyszedł, jakby gromadzie naprzeciw, jakby to wszystko było właśnie tak ułożone i tak, a nie inaczej, miało się odbyć.

Szedł więc, szedł prosto, odsunął na bok dzieci z gałęziami, kierując się do tych, w których rękach szarpał się nieszczęsny szczeniak. Nim ktokolwiek zdołał ochłonąć ze zdziwienia, Czetanag wyrwał chłopcom kolebkę, błyskawicznym cięciem noża, który wyciągnął z pochwy wiszącej u pasa, uwolnił psa z rzemiennych więzów i puścił na ziemię. Równie szybko schował nóż i ruszył odtrącając ciżbę. Byli tak zaskoczeni, że pozwalali się potrącać, a nawet uderzać, odwracając się z pytającym spojrzeniem w stronę starszych, tam gdzie stał Hungotinga, jakby pytając, czy nie zostali oszukani, czy nie zostało coś zmienione lub z góry ukartowane.

Gdyż całe to teatrum przerwane zostało w swym punkcie kulminacyjnym, a nawet troszkę wcześniej.

Tak więc w ciszy zupełnego zaskoczenia, wśród szeroko otwartych ze zdumienia oczu przeszedł Czetanag przez ciżbę i dalej przez tę pustą przestrzeń, która dzieliła go od Hungotingi i jego towarzyszy.

Gdyby ta przestrzeń była większa, gdyby upłynęło więcej czasu między następującymi po sobie zdarzeniami, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale i tu Czetanag ich uprzedził i zaskoczył.

Niosła go determinacja, gniew i poczucie własnej nowej siły. Może Hungotinga nie dałby się tak łatwo zbić z tropu, ale kiedy ujrzał nagle przed sobą Czetanaga, po prostu został zaskoczony, i nie tylko zaskoczony, ale też zdumiony. Bo oto gdy tak stali jeden naprzeciw drugiego, byli równi wzrostem, Hungotinga nie spoglądał na Czetanaga z góry, jak to było jeszcze parę miesięcy temu, ale oczy ich były na tym samym poziomie, może nawet – o dziwo – oczy Czetanaga znajdowały się nieco wyżej (co mogło zresztą wynikać z nierówności terenu). W każdym razie Hungotinga miał przed sobą równego wzrostem przeciwnika.

Chciał odskoczyć, gdyż zamiary Czetanaga czytał w jego spojrzeniu, ale już było za późno.

Czetanag uderzył tak, że Hungotinga stracił na chwilę równowagę i ten moment był zasadniczym momentem przewagi. Zwarli się z sobą, wpili w siebie. Chłopcy odstąpili w bok, cała zgraja dzieci

utworzyła wokół walczących krąg, do którego dołączyli się jedni za drugimi dorośli z pobliskich namiotów.

A było na co patrzeć. Przede wszystkim już samo to, że napastnikiem był Czetanag, stanowiło fakt niezwykły, a jeszcze bardziej zaskoczyło zebranych, że chłopiec od razu, od pierwszego uderzenia, pierwszego zwarcia wykazał taką sprawność i siłę. Gdy tak zmagali się, dysząc ciężko i wzbijając raz po raz kurz z suchej wydeptanej ziemi, przypomniały się Czetanagowi wszystkie upokorzenia i wszystkie krzywdy, jakich doznał od Hungotingi. Wspomnienia te były jak uderzenia bicia, ale wystarczyłoby i to, co przecierpiał od dnia powrotu.

Strach? Zapomniał, że takie uczucie może istnieć. Gdzież podział się dawny lęk, dawna nieśmiałość, dawny wstyd? Czuł, że nawet gdyby Hungotinga był jeszcze dziesięć razy silniejszy, nie zastanawiałby się przez chwilę i tak samo jak teraz rzuciłby się na niego. Miał w sobie tak potężny ładunek nienawiści, takie łaknienie sprawiedliwości, taką zajadłość, że nie czuł uderzeń, a wszystkie jego zmysły czujne były i wyostrzone jak zmysły dzikiego zwierzęcia. Niechby dziesięciu Hungotingów, niechby jeszcze inni, niechby tylko spróbowali – czuł, że zwyciężyłby ich wszystkich!

To nie rozżalony mały chłopak wodził się za czub ze swoim koleżką. To była prawdziwa walka. I Hungotinga zrozumiał. Zląkł się tak, jak myśliwy, który wychodząc na borsuka staje nagle oko w oko z rozjuszonym wapiti.

Z początku widownia milczała, potem zaczęły się krzyki, wołania, podjudzanie do walki.

– Bij, Hungotinga! Bij!

– Hungotinga, uważaj!

I jeszcze:

– Hun-go-tin-ga! Hun-go-tin-ga! – skandowane jak pieśń zwycięstwa.

Albo:

– Wal szczeniaka! Bij głupiego!

– How! How! Hooow!

Potem był okrzyk: – Aaaaaaaa!

Towarzyszył on naglej zmianie pozycji walczących. Bo oto naraz obaj znaleźli się na ziemi, tarzając się w kurzu jak dwa rozwścieczone psy, wczepione w siebie kłami i pazurami.



Po tym okrzyku nastąpiła chwila ciszy, w której słychać było przyspieszone oddechy walczących i głuche uderzenia ich pleców o ziemię, gdy raz jeden, raz drugi był górą. Ich spocone ciała pokryły się szarą szadzią pyłu, zmierzwiłone włosy zakrywały twarze.

Nagle dał się słyszeć głos jednego ze starszych wojowników. Podszedł gdzieś z tyłu, nie usiłował nawet zajrzeć poprzez głowy ciekawych – a było ich coraz więcej, zbiegali się z całej wsi – i nie wyjmując glinianej fajki z ust zapytał:

– Czy to Hungotinga bije malca Msepasse?

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. A potem odezwał się czyjś młody, zuchwały głos, nabrzmiały powstrzymywanym śmiechem.

– Nie, ojczu. To Hungotinga bierze w skórę.

I było tak w istocie. Teraz już wszyscy wiedzieli, że dzieje się to nieoczekiwane i nieprawdopodobne. Bo oto Hungotinga znalazł się na dole, plecami w kurzu, i wyglądało to tak, jakby za każdym razem gdy plecy jego dotykały ziemi, wstrząsał nim dreszcz, który podrzucał go w górę. Ale to Czetanag tak nim potrząsał. To Czetanag bił nim o ziemię z taką zawziętością, z taką furią, że Hungotinga przez chwilę

wydawał się martwą kukłą, podobną do tej kukurydzianej, jaką kazał poprzedniego dnia młodszym chłopcom zawiesić nad drzwiami Czetanaga.

Nikt nie krzychał już: „Hungotinga! Hungotinga!” Widownia milczała w napięciu i zdumieniu. I wszyscy – od najmłodszego smarkacza, który biegał jak posłuszny psiak z poleceniami Hungotingi i jego kumpli do dorosłych – czuli, że dzieje się coś zupełnie nieoczekiwanego.

Nagle okrzyk przerażenia wydarł się z ust obecnych. I zamarł. Przyczaił się. Bo oto Czetanag, który siadł teraz okrakiem na piersi nieruchomego Hungotingi, wydobył błyskawicznie z pochwy nóż. Dyszał ciężko. Wierzchem tej samej dłoni, w której trzymał nóż, odgarnął włosy ze złanej potem i krwią twarzy. Spojrzał po obecnych. Nie było w tym spojrzeniu radości zwycięstwa.

Kilka razy zaczerpnął powietrza i zbliżywszy ostrze noża do szyi Hungotingi rzekł:

– Chcę mówić.

Nikt się nie odzywał w napięciu oczekiwania. Powtórzył:

– Chcę mówić!

Jakaś kobieta krzyknęła przeraźliwie na widok noża.

– Cicho... cicho – uspokojono ją. – Nie słyszysz? Chce mówić.

Bo przecież żaden z mężczyzn mimo pierwszego zaskoczenia nie sądził, że chłopiec chce czy może zakłócić leżącego bezwładnie wroga. Była to równie niedorzeczna myśl, jak niedorzecznym byłoby pomaganie któremukolwiek z walczących podczas bójki.

Czetanag odetchnął raz jeszcze, nappełnił płuca, a zdało mu się, że całego siebie nappełnia tym nienawistnym wciąż jeszcze powietrzem.

– Chcę mówić. Takie będą moje słowa.

Czy ten niski schrypnięty głos był jego głosem? Sam się zdumiał. Ale nie wolno mu było tracić czasu. Wiedział to dobrze. Tego nauczył się na własnej skórze. Teraz. Teraz.

– Mówi syn Msepasse, Czetanag. – I zwracając się do Hungotingi spytał: – Czy słyszysz mnie, Hungotingo?

Usta leżącego pozostały nieruchome. Może rzeczywiście pogrążony był w omdleniu, a może uważał, że w tej chwili udawanie będzie dla niego korzystniejsze.

– Słyszysz... Słyszysz... – rozległy się głosy z tłumu.

I wówczas Czetanag zrozumiał, że w mroku ludzkich uczuć coś się

przestawiło, obróciło, to co dotychczas było przeciw niemu.

Powiódł dookoła chmurnym spojrzeniem. Zmarszczył brwi, spuścił oczy na twarz pokonanego. Ktoś znowu krzyknął, rozległ się szmer głosów.

– Milczcie – rzekł Czetanag. – Chcę mówić.

Wojownicy, którzy wyjęli fajki z ust w chwili największego napięcia, włożyli je z powrotem. Niejeden uśmiechał się. Czetanag? Milczący, nieśmiały Czetanag chce mówić? Niektórzy śmiali się, jak to zwykli czynić dorośli, gdy młodzież czyni coś, czego nie rozumieją.

– Hungotingo – rozległ się głos Czetanaga – ubliżyłeś mi. Ubliżyłeś mi zawsze, odkąd pamiętam. Serce moje pragnie zemsty. Obetnę ci uszy na oczach wszystkich.

Wśród kobiet rozległy się krzyki. Chłopiec nie zważał na to. Nacisnął nożem tak silnie, aż Hungotinga jęknął.

– Słuchajcie teraz! Zdobyłem szczenię suki, którą widziałem we śnie. Jest moje. Nie zginęło, gdyż taka była moja wola. Mimo iż byłem twardy, nie uciekał z podkurczonym ogonem, jak nasze psy, lecz jadł z ręki i patrzył śmiało w oczy niby obłaskawiony żreback. Potem po bitwie, w której razem z Oopą walczyliśmy, kiedy ścierwojady krążyły nad nami, po bitwie, w której tomahawk mój zaczerwienił się od krwi wroga, odganiał je od nas, by nie szarpały dziobami naszych ciał. Na stepie podczas drogi powrotnej ciągnął brzemię, które nałożyłem na jego grzbiet, nie gorzej od naszych psów. Nie dlatego żyje, że jestem tchórzem. Ale dlatego, że taka jest moja wola. No! Hungotinga, powiedz, że Czetanag jest tchórzem, a uszy twoje zawisną na sznurku na mojej piersi.

Hungotinga syknął z bólu. Nie rzekł jednak nic.

– How – krzyknął chłopiec, rozglądając się po ludziach – czy jest tu ktoś, kto chce mnie nazwać tchórzem? Niech mówi!

Było cicho. W tej ciszy rozległo się szczekanie i nagle przeciskając się pod nogami tłumy, Meke wyskoczył i przypadł do stóp swego pana. Wówczas Czetanag doznał olśnienia. Błyskawicznie chwycił psa za ucho i odciął je jednym uderzeniem noża.

– Oto mój amulet! – krzyknął, zagłuszając skowyt szczeniaka.

Potem zerwał z szyi Hungotingi ścięgno naszyjnika, aż posypały się blaszki i paciorki, przebił odcięte ucho nożem, przewlókł ścięgno przez otwór i zawiesił je sobie na piersiach.

– Kto będzie się z tego śmiał – powiedział groźnie – niech wie, że dość jest miejsca i na jego ucho. Rzekłem!

Nigdy jeszcze Czetanag nie mówił tak długo, zdziwił się sam. Zdziwili się ci, którzy go słuchali.

Słowa wypowiedziane w porę potrafią odwrócić bieg rzeki. Może jest to łatwiejsze od zmiany biegu myśli ludzkich. Ale Czetanag prócz słów użył czynu.

Po latach, gdy został wielkim wodzem, którego imię sławne było na preriach zachodu i północy, mawiał czasem, że więcej odwagi trzeba było, by obronić życie jednego małego szczeniaka, niż by stawać samemu twarzą w twarz ze śmiercią.

Na pewno było w tym coś z prawdy. Broń, która zabija, nie jest tą, której się najbardziej obawiają odważni.

Legenda Dakoty

Koń gnał w dół ku wolnej przestrzeni, na której mógł rozwinąć całą szybkość. Wiedział o grożącym niebezpieczeństwie. Był to mały, mądry mustang stepowy, którego Tepe wychował od źrebięcia, który rozumiał każde słowo skierowane do niego.

Ale teraz młody Dakota nie potrzebował mu nic mówić – bystre oko i wrażliwe nozdrza konia poznały białych wcześniej niż jego pan.

Byli niedaleko ujścia wąwozu, gdy Isztesunda zastrzygł niespokojnie uszami i zachrapał. Może zdążyliby wtedy jeszcze zawrócić i pognać w górę. Tepe jednak popełnił błąd. Nie zaufał instynktowi mustanga. Ścisnął go kolanami. Popędzili naprzód.

Było za późno. Przestrzeń między nimi a amerykańskimi dragonami zmniejszała się coraz bardziej. Jedynym ratunkiem była równina prerii i szybkość konia. Lecz mieli przed sobą jeszcze pasmo lekkich wznieścień.

Zza jednego z nich wyskoczyli nowi jeźdźcy w błękitnych mundurach. Tepe zrozumiał – zostali otoczeni.

Potem usłyszał nad sobą dobrze znany świst. Koń skoczył w bok uprzedzając jego rozkaz i lasso smyrnęło jak wąż wśród kamieni. W tym samym momencie jednak druga pętla spadła na szyję mustanga. Chwilę jeszcze gnał z nią naprzód, póki napastnik nie skręcił i nie zdarł jej w tył. Wówczas dusząc się na postronku Isztesunda stanął dęba, okręcił się na miejscu i runął na ziemię. Tepe ledwie zdążył zeskoczyć.

Pod eskortą powędrowali do fortu Phil Kearny. Tam zawleczono Indianina do ciasnego, niskiego pomieszczenia podobniejszego raczej do chlewa niż do celi więziennej. Konia odprowadzono do stajni.

Isztesunda odwracał niespokojnie głowę, szukając wzrokiem swego pana. Ale młody Dakota nie mógł go widzieć. Siedział za grubym

belkowaniem ścian zgnębiony, zły. Dał się podejść, otoczył i wziął do niewoli. A przecież niósł wieści. Ważne wieści. Poprzedniego dnia widział ze szczytu ostatnich wzgórz, że z fortu Smith wychodzą konne oddziały, powoli wytaczają się wozy taborów...

Wiedział, co to oznacza. Przecież od wielu lat plemiona Dakota były w wojnie z białymi najeźdźcami. Zawierano wprawdzie od czasu do czasu pokojowe traktaty, ale nawet dziecko zdawało sobie sprawę z tego, że nie były one trwalsze od wierzbowej tamy w czas wzbierania wód na Missouri.

Przed dwoma księżycami zaczęto szeptać o listach, które szły od wschodu, od Wielkiego Ojca białych. Dotarły do najdalej na zachód położonych fortów. Mówiono, że były to złe listy. Złe wampumy. Lecz nie wiadano nic na pewno. Wodzowie wysłali zwiadowców o bystrych oczach i milczących ustach. Jednym z nich był Tepe.

Tepe wiedział już na pewno. Ukryty w gęstwinie pod fortem Smith przeliczył jeźdźców. Było ich dwakroć dziesięciu. Biali zwiadowcy. Widział, jak rozsypali się wzdłuż prawego brzegu Big Horn.

Gdy znikli za ciemnymi wzgórzami, pognął do Phil Kearny, na wschód, by przekonać się, jak tam stoją sprawy.

Otóż i przekonał się. Siedział teraz zamknięty w ciasnej, cuchnącej stęchlizną norze, razem z całą swoją wiedzą, która na nic mu się teraz przydać nie mogła. Miał wprawdzie początkowo nadzieję, że inni zwiadowcy, Mwawe albo Datunda, zauważą poruszenie białych wracając z Ellis. Ale rychło zdał sobie sprawę z tego, że byłby to tylko przypadek, że musieliby zboczyć na wschód i jeszcze raz na południowy wschód, a powrotna ich droga nie prowadziła przecież tędy.

Nad wieczorem uczynił się ruch na dziedzińcu fortowym. Tepe stanął przy niskim, nie większym niż dłoń otworze, który zastępował okno. Między barakami kręcili się żołnierze. Ładowano wozy, wytaczano beczki z prochem.

– Pięć... sześć... siedem... – liczył Tepe na palcach. Potem wzruszył obojętnie ramionami. Nie odszedł jednak od okna. Nie odszedł nawet wówczas, gdy przechodzący мимо żołnierz kopnął ku niemu bryłę błota, która rozpadając się opryskała twarz Indianina.

Drugiego dnia zwiadowcy, potem oddział konnych strzelców, a za nimi tabory – opuścili Phil Kearny.

Tepe miał piękne widowisko. Zacisnął szczęki. Zacisnął pięści, jakby chciał zdusić swoją rozpacz i hańbę. Przecież był zwiadowcą. Powiedziano mu: „Przyniesiesz wieści. Niech oczy twe będą otwarte”. Powiedziano mu jeszcze: „Zwiadowca, który niesie wieści, powinien być ostrożny jak łania, która prowadzi swoje młode”.

Tak. Oczy jego są otwarte i widzi wszystko z tak bliska, jak tylko mógł o tym marzyć! Może policzyć każdą strzelbę, każdą beczkę prochu, nieomal każdy guzik na jaskrawym błękitcie mundurów.

Oczy jego są otwarte. Uszy słyszą każde słowo. Wie już, którędy pójda. Mają obejść wzgórze koło Potoku Kobiet, przejść przez bród na Powder River i dalej między Małą Missouri a rzeką Belle Fourche wejść od południa na tereny Dakotów.

Inni zwiadowcy zapewne jeszcze nie powrócili i w wioskach panuje spokój. Nie wiedzą, co ich czeka. Nie wiedzą! Nie wiedzą! Mężczyźni będą na łowach albo na rzece. Kobiety nie zdążą się ukryć. Biali wpadną, by palić i mordować. Jakże wielki jest ciężar nie doniesionych wieści. Zabija gorzej niż głód, zaraza i strzały.

Tepe czuł się przytłoczony ich ciężarem. Ciężarem odpowiedzialności. Ciężarem zagrożonych istnień ludzkich i swojej bezsilności.

Potem pomyślał, że będzie tu gnął w tej dziurze i czekał, aż go powieszają, a w najlepszym razie wymienią kiedyś, później, za jakiegoś białego jeńca wziętego przez jego plemię do niewoli, by mógł wrócić i najeść się hańby do syta. Z pewnością nikt nie zawoła na niego wówczas jego pięknym, wojennym imieniem – Tepe-Głowa. Może nazwą go Ten-Który-Dał-Się-Złapać-Niosąc-Wieści i zostanie z tym imieniem do końca dni swoich nosząc piętno hańby.

Dziedziniec opustoszał. Zamknięto za odjeżdżającymi oddziałami podwójne wrotnie. Ściemniło się.

Przez wiele godzin siedział Tepe nieruchomo na wilgotnej, chłodnej jak martwe ciało ziemi. Może drzemał. Może spał.

Późno w noc usłyszał krzyki i wystrzały. Przez okienko wpadał czerwony blask płomieni. Zerwał się, by wyrzuć. Na dziedzińcu płonęło ognisko, kręcili się żołnierze w rozpiętych mundurach i przekrzywionych czapkach. Tepe słyszał krzyki i śmiechy, widział ręce, które podnosiły do ust naczynia i ręce zbrojne w pistolety, wyrzucające ku gwiazdom krótkie wybuchy wiwatowego ognia.

Tepe patrzył na nich przez długi czas. Myśli jego były gorzkie.

Zdawało mu się, że żołnierze radują się już na poczet przyszłych zwycięstw.

Potem zauważył, że kilku z nich zataczając się i śmiejąc głośno kieruje się w stronę jego celi. Usłyszał we wnętrzu baraku tupot ich kroków. Rozwarły się drzwi. Weszli do środka. Wywlekli go na dziedziniec, ku ognisku. Któryś z nich wykręcił mu rękę do tyłu i skrępował surowym rzemieniem, który ciął jak blacha.

Popchnięto go dalej. Wówczas podniósł oczy i ujrzał drzewo. Był to wielki dąb ledwie pokryty puchem złocącej się w blaskach ognia zieleni. Wśród gwiazd i liści chwiała się pętla ciężkiego powrozu i Dakota zrozumiał, że to śmierć.

Ale twarz jego pozostała spokojna i niewzruszona, gdyż większa niż obawa przed śmiercią musi być pogarda dla wroga. Pamiętał o tym. Wyprostował swą szczupłą postać, zbyt smukłą w porównaniu z krępą budową białych. Z dołu któryś z pijących żołnierzy chlusnął mu winem w twarz. Indianin zakrzuszył się rozpaczliwie, parsknął gniewnie.

Żołnierze wybuchnęły salwą śmiechu. Był przecież po to, żeby ich zabawić. Podochocili sobie pod nieobecność dowódcy i chcieli pohulać.

- Powiesimy to diabelskie łajno, chłopcy! – postanowił sierżant.
- Dawać go tu!

Któryś z żołnierzy, mniej pijany od innych, a może niechętny emocjom egzekucji lub po prostu bardziej ludzki, zaproponował:

- A co będzie, jak chorąży zapyta, gdzie się podział?

Zakrzyczano go natychmiast.

- Powiesz, że zdechl! – zaśmiał się sierżant. – No, dawać go! Jazda!

Indianin stał teraz pod dębem, pod pętlą, której widok przejmował go do głębi przerażeniem i odrazą. Spuszczono przerzucony przez gałąź powróż. Nałożono na szyję stryk.

Stał tak długo. Bardzo długo. Widział przymglone pijaństwem oczy, które szukały w jego twarzy z bezwstydną ciekawością oznak strachu.

Nie znalazły nic prócz bladeści. Twarz Dakoty pozostała obojętna.

Wówczas sierżant zaśmiał się i kazał go zdjąć z pętli. Dano mu pić. Uczuł na chwilę senną omdłość. Żołnierze w dalszym ciągu krzycze-

li i śpiewali. Niektórzy usiłowali tańczyć na uginających się, niepewnych nogach.

Potem pochwycili go znowu i pchnęli pod drzewo. Znow stał z pętlą zaciskającą się wokół szyi. Tracił oddech.

Dziesięć razy umierał i dziesięćkroć wracał do życia. Bawili się nim jak kot z myszą. Wiedział, że końcem takiej zabawy jest tylko śmierć. Lecz na jak długo starczy mu jeszcze godności i siły?

Wreszcie któryś z żołnierzy wpadł na nowy pomysł. Powiesić go na koniu.

– Dawać konia! – wrzasnął sierżant.

Dakota ujrzał przez moment jego okrągłe oczy, obce i wrogie jak lufy skierowanych w twarz pistoletów. Czuł na sobie spojrzenia wszystkich innych oczu łaknących widowiska.

Przyprowadzono konia. Usłyszał znajome rżenie. To jego mustang! Jego wierzchowiec, Isztesunda!

Podprowadzono go blisko. Tak blisko, że mógł go dotknąć nagim, wykręconym w tył ramieniem. Uczynił to.

Nadeszła chwila słabości. Oparł się mocno o ciepłą, drgającą skórę zwierzęcia, na chwilę policzkiem dotknął jego szyi. Mustang poruszył niespokojnie głową i zarżał cicho, obracając ku swemu panu wilgotne, ciemne oko.

– Skacz, diabelskie nasienie! – usłyszał za sobą ochryply głos.

Tepe bez pomocy rąk wskoczył na grzbiet konia.

– Związać mu nogi! – rozkazał sierżant.

Pod brzuchem mustanga przeciągnięto rzemień i przytroczono nim szczuple nogi Dakoty, wykręcając je aż do bólu.

Indianin czuł, jak koń pod nim drży, pręży się i przysiadła na zadzie. Jeden z koniuchów chwycił go za krótki postronek przy pysku, mustang szarpnął łbem i wyszczerzył zęby.

Patrzący klęli i śmiali się głośno.

– Dość tego – krzyknął sierżant – podciągnąć powróż! A ty – zwrócił się do stojącego obok dragona – włącz na beczkę. Będziesz wieształ.

Wytoczono pod szubieniczny konar antałek, w którym chlupotała resztką wina. Postawiono dnem do góry. Żołnierz stanął na nim.

– Podprowadzić konia!

Żołnierze wyciągnęli szyje i patrzyli ciekawie. Na chwilę, krótką chwilę uczyniła się cisza, głucha dziura w czasie, mroczna studnia,

z której czeluści wyplął nagle daleki, wibrujący głos – tęskne rżenie konia stepowego, które wilgoć nocy wiosennej niosła w ciemnościach zza palisady.

Isztesunda poruszył się niespokojnie i odpowiedział donośnym rżeniem.

Dreszcz przeszedł ciało Dakoty. Daleki głos konia wywołał szerokie prerie, nieskończoną rozległość dolin, zbudził przestrzeń, nazwał ją, wywołał po imieniu z mroku nocy w ostatecznym pożegnaniu. I wizja ta silniejsza była niż wszystko. Nie! Nie mogło to być pożegnanie! Była w niej twórcza, życiodajna, buntownicza moc. Wiatr stepów, ogniska pod kopułą ogromnego nieba, krew zwycięstw, oblicza ziemi ojców!

Koniuchowie pociągnęli mustanga ku drzewu. Lecz koń zachrapał i przysiadł na zadzie. Dakota spojrzął przed siebie. Ujrzał w nagłym olśnieniu, w głębi dziedzińca, ponad głowami żołnierzy, ledwie majaczącą w mroku – palisadę.

– Skacz... – szepnęła ściskając lekko nogami konia. – Skacz, Isztesunda...

Koń drgnął i zastrzygł uszami. Znieruchomiał na chwilę. Wówczas Tepe schylił się, uderzył mustanga kolanami i krzyknął dziko. Zdawało się, że koń tylko na to czekał. Szarpnął się, stanął dęba, jego przednie kopyta zawisły nad głowami pijanych koniuchów. Tratując ich skoczył naprzód.

Była to chwila zaledwie. I nim reszta załogi wraz z sierżantem zdołała pojąć, co się stało – koń z przywiązaniem do niego jeźdźcem sadził przez ciemny dziedziniec, przez plac między barakami – ku palisadzie.

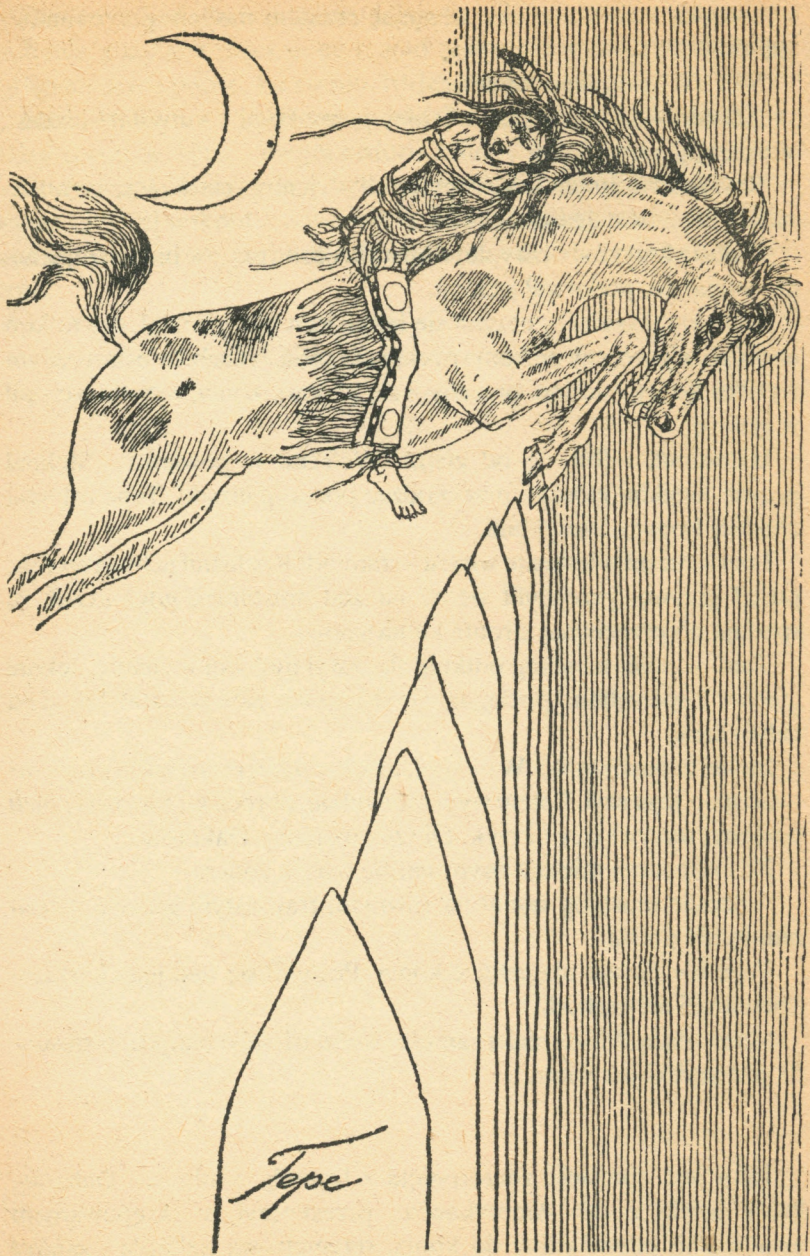
– Isztesunda... Isztesunda... – szeptał żarliwie Dakota.

Usłyszał za sobą strzały. Lecz wino i rum były dziś sprzymierzeńcami Indianina.

– Prędejj... prędejj... – błagał i rozkazywał na przemian Tepe. – Przeskocz, Isztesunda! Prędejj!...

Ogarnęło go uniesienie, które zdało się udzielać zwierzęciu. Wiedział, że mustang go rozumie, że pragnie tego samego co on. Chwilami zdawało mu się, że zrósł się z koniem. Był mustangiem, a mustang był nim, złączyli się w jeden rytm mięśni, jedno pragnienie.

Pędzili w przejrzystym mroku nocy wiosennej ku ścianie, na której kładł się daleki blask ognia. Z tej strony palisada miała trzy metry



wysokości, z zewnątrz zaś, licząc ze stokiem nasypu, przynajmniej sześć.

Nie! To było niepodobieństwo!

„Żaden koń nie weźmie takiej przeszkody” – myślał sierżant, wzruszając ramionami.

Koń ze związanym jeźdźcem lecieli w ciemnościach. Jeszcze kilkanaście kroków... Jeszcze chwila...

Dakota krzyknął ochryple, wbił wykręcone pięty w brzuch mustanga, wspiął go, poderwał z ziemi.

Wstrzymał oddech, uczynił się lekki, sam nie wiedział, czy to koń unosi go w górę, czy on konia pociąga za sobą. Natężył w ostatecznym wysiłku każdy mięsień, przechylił się na kark konia, zębami wczepił w grzywę.

Isztesunda odbił się od ziemi. Wyleciał w powietrze. Stęknął prawie ludzkim głosem, przechodząc ponad palisadą. Tepe usłyszał chrobot kopyt o szczyt bali...

I naraz uczył uderzenie wiatru – stamtąd! Rozluźnił uchwyt szczęk, puścił grzywę, przechylił się aż na zad mustanga, gdyż uczył, że spadają po przeciwnej stronie ku nasypowi...

Tam, w dole, mustang potknął się, zarył pyskiem w ziemię. Jęknął głucho. Tepe zębami pociągnął go za grzywę. Koń powstał. Drżał na całym ciele.

Indianin pochylił się. W niemej, dziękczynnej pieśszczocie przywarł twarzą do jego szyi. Potem wyprostował się, obrócił ku fortowi i rzucił potężny, wyzywający okrzyk. Okrzyk wojenny Dakotów.

Pod kopytami miękko osypywał się piasek zbocza.

Wreszcie mustang stanął na równym, trawiastym gruncie. Przed nim leżała preria.

Tepe nie musiał przynaglać konia. Pochylił się nad jego karkiem i pomknęli na wschód.

Może zdążą. Może zdążą zanieść swoim wieści o białych. Isztesunda jest szybki jak wiatr.

Taka jest opowieść zaczerpnięta z legendy o młodym Dakocie, który uciekł z rąk Amerykanów, przeskoczył ze skrępowanymi ramionami, przywiązany do konia, trzymetrową palisadę i zaniósł plemionom znad Missouri wieści o zbliżającym się wrogu.

Nieważne jest dla nas to, czy legenda pokrywa się z prawdą, czy Indianin z koniem przebrnęli ponad zawrotnie wysoką przeszkodą i pognali przez prerie, ku swoim, by ich ostrzec.

Może koń wraz z jeźdźcem pozostał tam, po drugiej stronie, nie osiągnąwszy szczytu... swojej historii, szczytu palisady.

Lecz pragnieniem tysięcy było – by przeskoczyli. Pragnienie to – wyraz żarliwej tęsknoty za wolnością – dało życie legendzie, prawdzie uczuć nie mniej mocnej i twórczej jak prawda rzeczywistych wydarzeń.

Zwycięzca

Chorąży Keynes szedł w dół śliską ścieżką wśród zasnutych mgłą, ponurych krzaków olszy i szuwarów. Przed nim biegła dziewczyna. Niosła w ręku mokasyny, a jej ciemne stopy grzęzły w błocie.

Im niżej schodzili, tym mniej wyraźny stawał się poranny gwar fortu: śpiew żołnierzy, pianie kogutów, skrzywienie studziennego żurawia i ujadanie psów. Za to z dołu rósł, przetaczając się w wilgotnym oddechu mgły – szum rzeki.

Drobne, mżące kropelki osiadały na bardzo jasnych włosach chorążego (kapelusz trzymał pod pachą z powodu niskiego sklepienia gałęzi), na czerwonej kurtce jego munduru, na czarnej lufie muszkietu. Nagle skończyły się drzewa. Ścieżka skręciła i opadła łagodnie w dół jak strumień błota ku niewidzialnej rzece. Keynes ujrzał dziewczynę o parę kroków od siebie, zanurzoną we mgle.

Dalej nie było nic. Świat urywał się w mlecznej otchłani. Keynes jako dziecko nieraz wyobrażał sobie, stojąc nad Tamizą, zgubioną w żółtym, nieprzeniknionym tumanie, że znajduje się na krańcu świata przed tajemniczą ścianą, za którą jest pociągający z neodpartą siłą świat przygód i nieznanych krain.

Teraz jednak znajdował się po tamtej stronie. Od roku już blisko przeżywał pasjonującą, krwawą niekiedy, przygodę Nowej Ziemi. Brygantyna¹ „Pensacola”, która wczesną wiosną 1762 roku opuściła Anglię, wiozła na swym pokładzie młodzieńckiego Filipa Keynesa. Po długich tygodniach żeglugi przez Atlantyk wpłynął wreszcie w zatokę Hudsonu. Otworzył się przed nim kraj huczących, spienionych rzek, puszczy nieprzebytych, pełnych dzikich zwierząt i nie mniej dzikich ludzi.

¹ brygantyna – lekki, dwumasztowy okręt

Jednakże pod ogromnym niebem, na którym kłębiły się inne niż w jego ojczyźnie chmury, bardziej różnorakie i niespokojne, świeciła gdzieś tam, na wieżach nielicznych fortów, czerwono-błękitno-biała flaga świętego Jerzego.

Była ona wśród przepychu dzikiej natury znakiem porządku, rycerskiego kodeksu honorowego, dłonią dalekiej ojczyzny, powiewającą w nieustannym pozdrowieniu. Jakże wiele rzeczy upraszczała i stawiała na miejsca. Wskazywała przede wszystkim na obowiązującą hierarchię, która pomocna była w porządkowaniu spraw Nowego Świata. Na szczycie była ona: flaga królewska. Pod nią stał niewzruszenie dowódca garnizonu, potem jeden za drugim oficerowie, podoficerowie, żołnierze, handlarze, biali myśliwi, kobiety, dzieci, włóczędzy kanadyjscy, Metysi, konie i psy. Dalej była wykarczowana wokół palisady fortowej przestrzeń – zaczarowane koło cywilizacji, przepaść między światem flagi a światem tych, którzy mieszkali w puszczy i do których nie stosowały się żadne kryteria hierarchii ani paragrafy honorowych kodeksów.

Oczywiście nie wszyscy myśleli właśnie w ten sposób. Wielu było takich, którzy zbliżali się do czerwonoskórych. Przede wszystkim myśliwi. Pociągała ich zręczność Indian, ich znajomość terenu, ich niezwykła wytrzymałość i siła. Byli i tacy, którzy w bliższym zetknięciu odkrywali w nich ze zdumieniem najczystsze cechy rycerskie: wspaniałomyślność, wierność, powściągliwość i mściwość.

Innych wreszcie urzekła uroda dziewcząt, tak różna od bladej, miękkiej urody europejskich kobiet, a tak świetna na tle dzikiej przyrody.

Kwinekcha. Keynes znalazł ją od paru miesięcy. Była piękna. Mówiła trochę po angielsku. Zachowanie jej pełne było rezerwy, ale pozbawione nieśmiałości.

Stojąc na brzegu, spoglądał na nią. Zanurzona po kolana w wodzie podała mu wiosło, drugą ręką przytrzymując kotłującą się kanu.

Wówczas rozległ się we mgle, od strony rzeki, wibrujący, przenikliwy głos. Keynes spostrzegł, jak dziewczyna drgnęła. Głos – wydało mu się: ludzki głos – powtórzył raz jeszcze wołanie tuż przy nich w niesamowitej bliskości, a potem nagle odezwał się już z dala, jak gdyby przeleciał nad ich głowami, we mgle, z wielką szybkością.

– Co to było Kwinekcha? – spytał Keynes.

Dziewczyna milczała.

– Człowiek?

Po chwili dopiero, wchodząc jeszcze głębiej w wodę, rzekła:

– Pottowatomi, oni krzyczą dużo. Oni łowili ryby.

Usadowili się w małym, niesłychanie wąskim kanu. Keynes położył strzelbę wzdłuż nóg i chwycił wiosło. Za nim była dziewczyna. Słyszał jej oddech i delikatny brzęk naszyjników na jej piersiach.

Odbili od niewidzialnego brzegu i znaleźli się w samym sercu mgły. Chorąży ledwie mógł rozróżnić dziób łódki.

– Jeżeli mgła nie opadnie, nic nie będzie z polowania – powiedział.

– Mały wiatr zaraz przyjdzie – odpowiedziała szybko dziewczyna.

Potem dodała:

– Białe wojownik niech otworzy oczy. Mgła jest różowa.

Rzeczywiście, już nie szara biel otaczała ich zewsząd, ale coraz świetlistszy, iskrzący się tuman.

– Słońce wschodzi – powiedziała niespokojnie Kwinekcha, uderzając mocniej wiosłem, aż Keynes uczył na twarzy lodowaty bryzg wody.

Potem powiał wiatr. Mgła przedarła się nad ich głowami ukazując głębokie, jak przepaść w szczelinie górskiej, niebo.

Tymczasem wypłynęli na jezioro. Rozpościerało się przed nimi w łagodnym, nasyconym parą wodną blasku, niezmierzone, dymiące strzępami mgieł rozsianych na jego powierzchni.

Poszukał wzrokiem ptasiej wyspy. Któraż to mogła być? Leżało ich tu dużo – jak wianki miękkiej zieleni na jasnej wodzie.

Dnia poprzedniego Kwinekcha rzekła:

– Wiele ptaki, wiele, bardzo wiele na wyspie, tam. Kwinekcha wie gdzie. Białe wojownik weźmie kij ognisty. Zabije ptaki. Jeden, dwa, trzy, dziesięć... Jutro. Jak słońce wstanie.

Jutro? Nie. Keynes miał ważne zajęcia w forcie. Niech Kwinekcha poczeka jeszcze dzień albo dwa.

Ale dziewczyna uparła się. Nigdy nie widział, żeby się tak zachowywała. Stała się prawie natarczywa – ona, która zawsze była uosobieniem powściągliwej godności.

Odeszła. Wieczorem jednak wróciła znowu. Czekwała pod oknem jego kwatery. Świecił księżyc. Keynes wychylił się ku niej, dotknął ręką jej gładkich ciężkich włosów, na których kładł się błękitny blask. Zdawało mu się, że dziewczyna drży.

Powiedziała twardym, obcym głosem:

– Jutro i jeszcze jutro myśliwi Pottowatomi jadą na polowanie. Słyszałam, mówili. Słyszałam wiele. Zabiją ptaki. Ptaków nie będzie. Zabiją wszystkie. Tak chcą.

Keynes próbował tłumaczyć. Ale było w spojrzeniu dziewczyny więcej niż błaganie, niż obietnica.

– Jutro Kwinekcha czeka. Nad rzeką. Jutro przed słońcem.

Chwyliła dłoń Keynesa leżącą pieszczotliwie na jej włosach i ścisnęła ją z całej mocy, niezręcznie, w geście rozpaczliwej rozterki.

Uciekła.

Słyszał jej lekkie, spieszne kroki, potem podniesione głosy straży, które nie chciały jej wypuścić. Zawahał się przez chwilę. Wychylił przez okno.

– James? – krzyknął w kierunku bramy.

– Tak, sir – odkrzyknął strażnik w ciemnościach.

– Wypuście ją, słyszycie?

– Tak, sir.

Ktoś roześmiał się. Skrzypnęły ciężkie zawiasy, szcęk rygli rozległ się echem wśród palisad.

Keynes stał jeszcze czas jakiś w oknie zapatrzonej w księżyc. Był z tych, którzy lubią pomarzyć. Myślał o dziewczynie, o wyspie, może o polowaniu. Zastanawiał się nad dziwnym postępowaniem Kwinekchi. A może krył się w tym wszystkim jakiś podstęp? Ale chyba nie. Od dłuższego już czasu czerwonoskórzy zachowywali się spokojnie, przyjaźnie nawet. A może po prostu dziewczyna...

Roześmiał się cicho i przeciągnął wdychając głęboko łagodne powietrze wiosennej nocy.

W krzakach pod palisadą zarechotała żaba.

„Będzie jutro deszcz” – pomyślał niezadowolony i zdał sobie sprawę, że postanowił już mimo wszystko jechać o świcie z Kwinekchą.

Była to mała wysepka porośnięta gęstymi krzewami. Nie liczyła zapewne więcej niż sto kroków długości. Wysepka? Raczej kępa zieleni na wodzie.

Podczas gdy dziewczyna wyciągała kanu i kładła je dnem do góry na brzegu, chorąży przebiegł kilkadziesiąt kroków w głąb łądu. Z drzew poderwało się stadko drozdów, zakukała kukułka i z rados-

nym świrem śmignęły znad wody, goniąc jedna drugą, białogłowe jaskółki.

Keynes rozejrzał się. Grunt był tu suchy. Nigdzie śladu zapowiedzianego przez dziewczynę bajora, w którym miało się kryć mnóstwo kaczek, łabędzi i cyranek.

Nie wiedział, czy ma się gniewać, czy śmiać. Przeszedł na przelaj przez zarośla i wrócił ku brzegowi. Między splątanymi gałęziami winobluszczu ujrzał Kwinekchę. Stała zwrócona twarzą w stronę jeziora. Nieruchoma, patrzyła na daleki brzeg, z którego przybyli.

Jakże była smukła, jak harmonijna. Zbiegł ku niej. Już zapomniał o polowaniu.

– Kwinekcha – rzekł kładąc ręce na jej ramionach i pociągając ją lekko do tyłu – oszukałaś mnie, prawda?

Odwróciła się powoli. Ujrzał z bliska jej twarz, wąską, ciemną, obcą i zachwycającą zarazem. Zdało mu się, że oczy jej spoglądają na niego mimo czułości z roztargnieniem.

– Kwinekcha – szepnął prawie nieśmiało – jesteś piękna. Czy wiesz, że jesteś piękna?

– Tak – odrzekła z powagą.

Byli równego wzrostu. Patrzył w jej ciemne oczy, wdychał lekki zapach piżma unoszący się z jej włosów.

– Dlaczego mnie oszukałaś, powiedz? – pytał, zbliżając twarz do jej twarzy.

Milczała. Lecz czyż chodziło mu o odpowiedź? Był pewien, że ją zna. Zakryła dłonią usta. Wówczas ogarnął ją całą i z mocą przyciągnął do siebie.

Dziewczyna siedziała na trawie. Głowa Keynesa spoczywała na jej kolanach. Leżał z przymrużonymi oczami, ilekroć jednak spojrzął w górę, widział jej wzrok skierowany uporczywie w stronę jeziora, na przeciwległy brzeg.

Zniecierpliwiony pociągnął ją lekko za spływające wzdłuż ramienia włosy. Kwinekcha nie zauważyła tego. Natomiast Keynes spostrzegł, że jej zaciśnięte usta rozciągają się w dziwnym, nieprzyjemnym uśmiechu.

Nagle dziewczyna podniosła się, nie spuszczać oczu z dalekiego punktu na horyzoncie.

Teraz i Keynes odwrócił się i popatrzył w kierunku jej spojrzenia. To, co ujrzał, poderwało go natychmiast na nogi.

Na tamtym brzegu płonął jego fort!

W jaskrawym słońcu żółtą, ruchliwą plamą buchał ogień. Widać stąd było, jak pożar obejmuje szczyty strażnic, jak pełźnie wzdłuż palisad, ogarnia wszystko i strzela w górę. Ciężkim burym pułapem zawisł nad fortem dym.

Keynes stał osłupiały. Wyteżył słuch, lecz nie usłyszał strzałów ani wybuchów. Tylko w martwej ciszy, jaka leżała nad wodą, ozwał się nagle zwycięski, groźny krzyk, w którym mimo oddalenia, zdało mu się, było coś ze zniewagi.

Doznał tego samego wrażenia, gdy usłyszał za sobą głos Kwinekchi. Brzmiała w nim duma i źle ukrywana radość.

– Duża ogień... – mówiła – ogromna ogień. Ona pożera złych białych wojowników. Pottowatomi cieszą się. Oni skaczą. Oni krzyczą. Kwinekcha wiedziała: to się stanie. Ona słyszała, co mówili mężczyźni. Dlatego biały wojownik jest na wyspie. Niech serce jego będzie spokojne: nikt nie zdejmie jego skalpu.

Keynes wstrząsnął się mimo woli. Ogarnęła go rozpacz. Tymczasem dziewczyna mówiła coraz głośniejszym, podnieconym widokiem pożaru, własnymi słowami, tym, co uczyniła:

– Wojownicy iść rano do fortu. Dwóch... trzech... dużo... tyle ile palców mają ręce i jeszcze dużo... Nie strzelali. Wiem. Wczoraj ostrzyli tomahawki. Były ostre. Bardzo. Teraz oni tańczą. Tańczą... Tańczą...

Zaśmiała się zwycięsko, wyzywającym śmiechem. Takim go w każdym razie usłyszał Keynes. Odwrócił się i uderzył ją w twarz. Raz i drugi.

Potem poszedł kilka kroków w kierunku wody. Usiadł ciężko na piasku. Ukrył twarz w dłoniach i zakał.

Wyobraził sobie całą krwawą ohydę tego, co się tam działo. Ginęli jego towarzysze, jego przyjaciele, a on tu, na wyspie, z indiańską dziewczyną... Bezpieczny, bezsilny...

Uczuł nienawiść do Indian, do wszystkiego, co go tu otaczało. Litość i wstręt do samego siebie. Potem pomyślał, że jeśli ktokolwiek dowie się o tym, co go spotkało, z trudem uwierzy, że nie był uprzedzony. A w każdym razie zostanie podejrzenie, brak zaufania, cień na jego żołnierskim honorze.

Nie śmiał podnieść głowy i spojrzeć znów na ogień pożaru. Siedział tak, gniotąc czoło w zaciśniętych dłoniach. Usłyszał skrzywienie piasku pod stopami Kwinekchi. Przeszła koło niego. Usłyszał, jak odwróciła i podniosła kanu, jak położyła je na wodzie. Potem plusnęły wiosła. Miarowy ich dźwięk oddalił się.

Keynes pozostał sam.

Zastanawiał się spoglądając na wygasający pożar i ciężki dym, jeszcze ciemniejszy w jaskrawym, południowym słońcu – co teraz będzie. Przypuszczał, że Kwinekcha zechce się zemścić. Uderzył ją przecież. Czerwonoskórzy nie bili nigdy swych kobiet i dzieci. Uważali to za czyn hańbiący i haniebny.

Któż zatem wie, czy nie pojawi się kanu wiozące mścicieli? Musiał być na to przygotowany. Podniósł leżącą na ziemi strzelbę. Wstał i obszedł wyspę. Wydała mu się jeszcze mniejsza. Po prostu miał wrażenie – a potęgował je wiatr i ruch wzmagających się fal – że znajduje się na jakiejś dziwacznej tratwie. Dokąd płynął? Jakie będą jego losy?

Wszystko to, do czego przywykł od roku – cała otaczająca go przyroda, jezioro, drzewa, nawet ptaki tak przecież podobne do tych, które śpiewały w Anglii – zdały mu się obce i wrogie.

Usiadł wśród krzaków, spoglądając na jezioro. Siedział tak długo, bardzo długo. Wreszcie zmorzył go na chwilę sen.

Ocknął się, drżąc z zimna. Ściemniało się już. Sprawdził strzelbę, podsypał prochu na panewkę i dla rozgrzewki zaczął chodzić po brzegu. Pożar zgasł. Nad fortem jednak, ponad brzegiem, wisiała ciężka, długa lawica dymu, którą wiatr znosił powoli na zachód, gdzie niebo było złote jak oglądany pod światło kielich miodu. Keynesowi jednak zdało się, że była to barwa przykra, trująca.

Wreszcie ściemniło się tak, że jezioro przestało być kolorem i blaskiem, a stało się nieustannym pluskiem bijących o brzeg fal.

Keynes nadstawił ucha. Miał wrażenie, że słyszy czyjeś przyciszone głosy i uderzenia wiosel o wodę. Wkrótce stało się to męczącą obsesją. Wlepił wzrok w ciemność, nie widział nic. Czekał. Czekał z palcem na cynglu. Czuł, jak wzdłuż pleców przechodzą mrowia dreszczów, które – starał się tak myśleć – były dreszczami zimna, a nie trwogi.

Zdawało mu się, że mijają wieki. Czas dłużył się niepomiarnie i Keynes ze zdumieniem odkrywał konstelacje gwiazd, w prawie niezmiennym miejscu, zawieszane nad wzgórzami.

Wreszcie wzeszedł księżyc. W jego rudym blasku chorąży spoztrzegł to, czego oczekiwał przez cały dzień i cały wieczór: sylwetkę łodzi na jeziorze. Znieruchomiał podnosząc lekko strzelbę. Kanu zbliżało się szybko. Teraz Keynes mógł już odróżnić postać człowieka i prędkość ruchu wiosła, które zdawało się dotykać tylko z lekka powierzchni wody, nie zanurzając się wcale.

Młody człowiek wyteżył wzrok. Czyżby się mylił? Czyż nie była to znajoma sylwetka Kwinekchi? Opuścił nieco lufę strzelby, nie wychodząc z ukrycia.

Kanu wpłynęło w szuwary, lecz dziewczyna nie wyskoczyła na brzeg. Keynes widział, jak obracała głowę, szukając go wzrokiem w ciemnościach.

– Biały wojownik!... Biały wojownik!... – zawołała zdyszany głosem.

Keynes nie wiedział, co ma uczynić. Zrobiło mu się niesłychanie przykro, niewygodnie niemal. Klął w duchu dziewczynę. Przez chwilę pomyślał, że o wiele prościej byłoby, gdyby zamiast niej znaleźli się tu czerwonoskórzy wojownicy.

– Prędko! Prędko!... – zawołała Kwinekcha. – Biały wojownik musi uciekać! Prędko!

A więc chciała go znów ratować. Wydało mu się to nieznośne. Wyszedł jednak powoli na światło księżyca, trzymając ciągle strzelbę dość wysoko, tak jak gdyby się lada chwila spodziewał napaści.

Przystanął na brzegu. Nie mówił nic. Nie wiedział zresztą, co powiedzieć i co zrobić.

– Prędejj! – powtórzyła znów Kwinekcha. – Oni tu przyjsć. Oni. Pottowatomi.

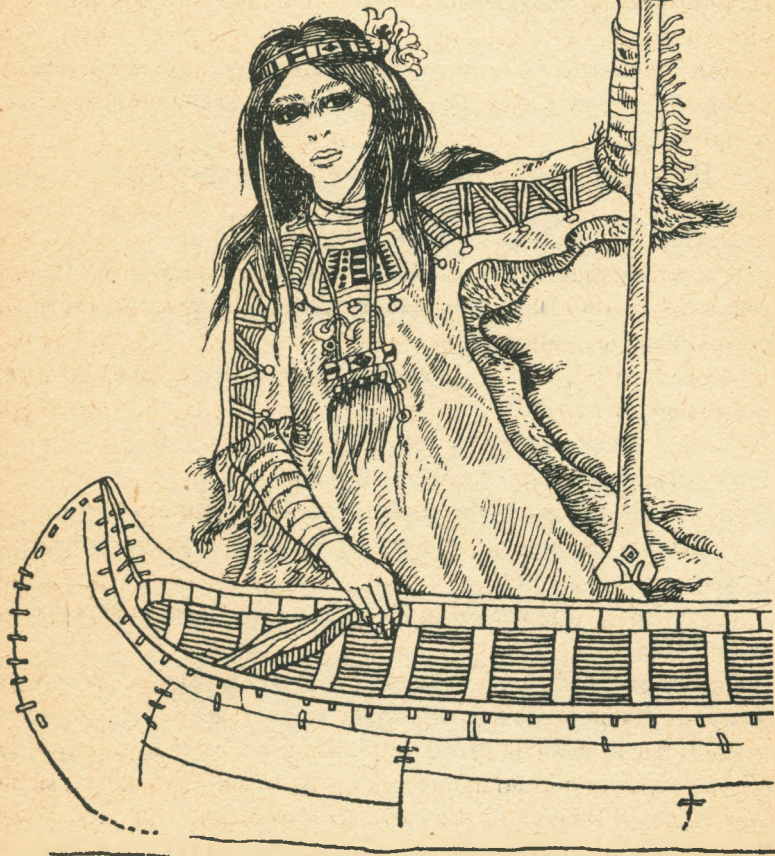
Potem szepnęła coś, wskazując mu ręką miejsce przed sobą w kanu. Keynes zdawał się ciągle wahać. Wówczas dziewczyna przesunęła się sama na przód łodzi, jak gdyby odgadując jego myśli. Keynes zaczerwienił się w mroku z upokorzenia.

– Nie, nie! – krzyknął prawie. – Zostań w tyle!

Ach! Więc się jednak zdecydował. Zaskoczyło go to samego. Lecz wszystko, co się działo, było tak dziwne i nieoczekiwane.

Niemal płacząc ze złości, wszedł do wody. Usiadł na dnie łodzi, nie

Kwine kcha



patrzac na Kwinekche. Uslyszal jej ciagle zdyszany, pokorny glos:

– Jest drugie wioslo... trzeba spieszyc, duzo...

Wtedy dopiero polozyl strzelbe, ktora przyrosla mu prawie w ciagu tych godzin czekania do rak, i chwycil wioslo.

– Do Presque Isle – powiedzial, nie odwracajac sie.

Uslyszal za soba szept Kwinekchi:

– Presque Isle nie. Tam tez... Tam juz nasi wojownicy.

Keynes zaklal.

„Wszystko jedno – myslal – zupełnie wszystko jedno”.

Potem przyszlo mu na mysl, ze moze lepiej byloby zostac na wyspie i czekac na smierc. Ale wyobrazil sobie tomahawki Indian, a szczegolnie ich sierpowate noze do zdejmowania skalpow. Nigdy wzrod swoich towarzyszy, nawet w najwiekszym niebezpieczenstwie, nie czul sie tchorzem. Czyzby sprawily to te godziny samotnosci?

– Do Niagara? – uslyszal glos Kwinekchi.

– Do Niagara – powtorzil za nia z rozpacz.

Wioslowali przez cala noc. Raz tylko odezwal sie Keynes. Przeplywali wtedy wzdluz brzegu Erie, na wschod od Presque Isle. Od brzegu dolecialy do nich glosy zapalczywych, wojennych chorow. Nie mogl sie powstrzymac, by nie powiedziec dziewczynie tego, co myslal o podstepnej napaści na nie przygotowane forty. Powtorzil kilka razy:

– Zdrajcy... zdrajcy...

Kwinekcha milczala. Nie odpowiedziala ani slowem.

Slyszal jeszcze dlugo gardlowe, dzikie spiewy czerwonoskorych. Noc nad brzegiem nabrzmiala nimi, wibrowala glębokimi dzwiekami, ktorzych dzikosc i piekno zlewaly sie z pieknem i dzikoscia puszczy, z bogactwem wezbranych wiosna rzek i jezior.

Moze odczul to Keynes. Wszakze byl w tym wieku, kiedy nawet rozpacz nie przyslania oczu na uroki tego swiata.

Pomyslal, ze musieli tak samo spiewac przed wiekami, zawsze, gdy nie bylo jeszcze nikogo na tej ziemi prócz nich. Zastanawial sie nad tym przez chwile, lecz zbyt swieza i wyraźna byla jego wlasna krzywda, by mogl zrozumiec to, co odczul ocierajac sie wyobraźnia tylko o krzywde cudza.

Noc miala powoli. Niebo stawalo sie glębokie i przejrzyste. Ze

spokojnego rozlewu jeziora wpłynęli w coraz silniejszy, narastający falami prąd. Nie musieli już wiosłować. Sterowali tylko wśród wody pracą naprzód, porywającej ich na wschód ku wielkim kataraktom². Zbliżyli się teraz do okolicy fortów skupionych wokół naczelnego dowództwa królewskiej armii angielskiej w Niagara. Keynes myśląc o tym odetchnął swobodniej, mimo że w głębi serca nie był pewien przyjęcia, jakie dozna. Zapewne lepiej się stało, że była noc i nikt go z Indianką nie zobaczy.

Szum wody wzrastał się i rósł, choć daleko jeszcze było do wodospadu. Poprzez zgiełk fal usłyszał głos Kwinckchi:

– Do brzegu! Do brzegu!

Zaczęli wiosłować z całej mocy, by wyrwać się prądowi. Zziębnięci, półprzytomni ze zmęczenia przemknęli się z rwącego strumienia na spokojniejsze wody. Dalej nie sposób już było posuwać się łodzią.

Przybili do brzegu. Dziewczyna wyciągnęła kanu i pchnęła je między trawy niedbale, jak niepotrzebny już przedmiot. Keynes rozejrzał się, odgarniając włosy ze złanej potem twarzy. Przed nimi, w bladym świetle rysowały się czyste, płaskie sylwetki drzew. Odzywały się pierwsze ptaki, gasły ostatnie, drżące jak krople rosy, gwiazdy. Gdzieś za szczytami pagórków wschodziło już może słońce, gdyż odezwał się rzeźwy głos trąbki grającej pobudkę.

Parę mil stąd stał fort Erie, z drugiej strony wody – fort Niagara. Wrogie, zbuntowane plemiona pozostały na południowym brzegu jeziora. Keynes był uratowany. Spojrzał na dziewczynę. Twarz jej miała wyraz pełnego napięcia oczekiwania. Przypomniał sobie wysepkę, pożar, zwycięski śmiech dziewczyny, uderzenie w twarz...

Trzeba z tym skończyć, jak najprędzej. Odejść. Zapomnieć. Powiedział jednak:

– Uratowałeś mi życie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Powiedział jeszcze:

– Znam drogę. Nie musisz mnie dalej prowadzić.

Stał nieruchomo. Podniosła na niego oczy pełne niewysłowionego żalu, wyrzutu, jak oczy psa, którego opuszcza właściciel.

Czyż nie rozumiał, że ratowała go z myślą, że z nim pozostanie? Może rozumiał. Dlatego też nie zbliżając się do niej odwrócił się i poszedł na wschód, brzegiem rzeki.

² katarakta – skalista przeszkoda w biegu rzeki, wodospad

Nowe prawo

Wszystko stało się dlatego, że wpadł w wielki gniew. Nie! Jeszcze nie! Dlatego że pił wodę ognistą, którą mu dawał Toronto.

Toronto był jednak głupi. Nie przewidział, że ręce Kendawy zaczną drżeć od nadmiernego spożycia wody ognistej. Myślał tylko o tym, że kiedy Kendawa jest pijany, nie potrafi policzyć futer bobrowych, które Toronto od niego kupuje. Oszukiwał. Aż oszukał samego siebie, gdyż Kendawa był najlepszym myśliwym plemienia i mało kto mógł dostarczyć takiej ilości skór, i to w najlepszym gatunku.

Gdy Indianin zauważył po raz pierwszy, że drżą mu palce, przeraził się bardzo. Drżały wprawdzie nieznacznie, ale każdy przecież wie, co to oznacza dla myśliwego.

Potem przyszły dni, kiedy Kendawa nie mógł upolować zwierzyny o nienaruszonym futrze, nadającym się do sprzedaży jako futro pierwszej jakości.

By ustrzelić borsuka z odległości pięćdziesięciu zaledwie kroków, musiał strzelać dwa razy.

– Skóra przedziurawiona jest na karku – powiedziała wówczas Monnato, rozciągając ją na drążkach do suszenia.

– O... – dodała ze zdziwieniem – jeszcze jeden otwór w boku... Czy to ty go ustrzeliłeś, mężu?

Kendawa odwrócił głowę i mruknął, patrząc na swoje ręce:

– Jestem chory... Czy nie widzisz, że jestem chory?...

Monnato milczała. Długo, bardzo uważnie przytwardzała skórę do drążków.

– Nie powinieneś chodzić do Toronto – powiedziała wreszcie cichutko. – Ognista woda jest wielką trucizną.

Kendawa rozgniewał się i wyszedł przed wigwam. Po chwili jednak wrócił. Sięgnął po futerka szczurów piżmowych, których pęk wisiał

pod pułapem. Nie były to wysoko cenione futra. Za sześć skórek Kendawa dostał tego wieczoru kubek wódki.

Co było dalej? Przecież nie jeden Kendawa pił. Wielu było takich. Wśród starych i młodych. Nieletni chłopcy nawet, zdarzało się, przynosili białemu futra wyprawione przez ich siostry. Nie chcieli soli ani noży, często nawet rezygnowali z prochu. Chcieli tylko raz jeszcze spróbować wody, która rozlewała się palącym płomieniem po ich zyłach.

We wsi zaczęły zdarzać się bijatyki i burdy pijackie. Kobiety przychodziły ze skargą i płaczem do wodza. Wówczas stary Mwawe wezwał do siebie białego i kazał mu opuścić wieś.

Toronto zaśmiał się tylko. Dał Mwawie tykwę wody ognistej. Mwawe wypił i zaczął się też śmiać.

Lecz tego samego wieczoru brat Mwawy, Kulswe, pokłócił się po pijanemu z Pilawą – starym i szanowanym powszechnie wojownikiem. Nikt nie wiedział dobrze, o co im poszło. Żyli zawsze w przyjaźni. Razem chodzili na łowy.

Ale ognista woda wlała nienawiść w ich krew i ciemną chmurą pokryła ich umysły. Pilawa pchnął przyjaciela nożem w pierś. Ranny Kulswe chwycił tomahawk i jednym uderzeniem otworzył czaszkę Pilawy. Potem sam wyzionął ducha.

Na wieś padło przerażenie. Słysząc było żałobne zawodzenie żon, które siedząc nad zwłokami rozdzierały sobie paznokciami piersi i policzki do krwi.

Inne kobiety wołały do mężów z wyrzutem:

– Patrzcie! Czy nie mówiłyśmy od dawna, że ognista woda jest trucizną?! Czy nie mówiłyśmy, że przyniesie nieszczęście? Czy nie miałyśmy racji?

I powtarzały to tak długo, aż mężowie opuszczali wigwamy i blakali się beczynnie wśród lasu.

Monnato wprawdzie nie narzekała, ale Kendawa nie mógł patrzeć na lzy, które ciekły bezustannie po jej twarzy, jak gdyby oczy Monnato zmieniły się w niewyczerpane źródła. Musiał wyjść, musiał jeszcze tę ostatnią wiązkę skór oddać białemu i znowu zapomniał o wszystkim na jeden wieczór.

Toronto siedział w swoim wigwamie i w blasku ognia naprawiał uprzęż psiego zaprzęgu. Nieład, jaki panował wokół niego, zdawał się

wskazywać na to, że ma zamiar zwinąć manatki. Tym razem niechętnie dał Kendawie wódkę.

– Jesteście jak dzieci – powiedział – nie potraficie uszanować dobroci ognistej wody. Co uczynili ci dwaj starzy głupcy? Kto im kazał wypuszczać z siebie bebechy?

Kendawa postąpił krok naprzód i wyciągnął rękę z futerkami. Blask ognia migotał łagodnie na lśniącej, jedwabistej sierści.

– Śmieci – burknął Toronto, rzuciwszy na nie okiem.

Potem wziął je do ręki i nie oglądając rzucił w ką t wigwamu, gdzie piętrzył się stos skór.

– Śmieci, śmieci – powtórzył. – Zresztą już nie mam czym płacić. Varma żąda bardzo dużo za swoje psy pociągowe.

– Daj pić!

– Co dzień przychodzisz złopać. Myślisz, że będę cię poił za darmo. Woda ognista kosztuje dużo, bardzo dużo.

– Przyniosłem sześć piźmoszczurów.

– Nie słyszałeś, co mówiłem? Śmieci! Możesz je zabrać z powrotem!

– Przyprawdzą ci psa – rzekł błagalnie Indianin – dobry pies. Silny pies. Nie je za dużo.

Pies? Toronto zaczął się namyślać. Ostatecznie na psa może się zgodzić. Niech go Kendawa jutro rano przyprowadzi. Trzeba go obejrzeć. Tymczasem może mu dać pół tykwy wódki. To przecież duża tykwa. Za taką cenę powinny być dwa psy, nie jeden.

– Dobrze – powiedział Kendawa – dwa psy. A teraz daj już pić.

Toronto dał mu wódki i wypchnął za drzwi. Było już ciemno. Od żalobnych wigwamów dochodziły jęki kobiet. Urywaniem, bolesnym skowytem psy na swój sposób opłakiwały panów. Kendawa zamyslił się na chwilę. Doznał przez mgnienie uczucia, jakby o czymś zapomniał, jak gdyby stał wobec próżni, której nie potrafił nazwać.

Lecz wkrótce, gdy przyłożył do ust tykwę, ogarnęła go gorąca fala niepamięci.

Niedobra, szalona była ta noc. Kendawa wracał do domu: ziemia drżała i wielkie cienie bezlistnych klonów wirowały wokół niego. Co chwila zapadał się w śnieg, jakby w zimną, roziskrzoną topiel. Słyszał zewsząd zawodzące głosy. Czyżby to duchy Kulswego i Pilawy

skarżyły się po śmierci? Kobiety ze spuszczoneymi na oczy włosami stały przed nim. Kendawa widział czarną krew na ich odkrytych piersiach. Widział zakrzywione jak szpony palce i otwarte otchłanie ust.

Przeszedł przez nie, jak się przechodzi przez tuman mgły. Wpłynął w nagły pas ciszy. Ujrzał wygwieżdżone niebo i nieruchome wigwamy. W jednym z nich, przez szpary w zasłonie drzwi, migotało światło. Czy tam była Monnato? Jego piękna, łagodna Monnato?

Lecz między nim a światłem spiętrzyła się olbrzymia ruchoma góra śniegu, przez którą musiał przejść, przepłynąć, przeczłogać się, upadając ze zmęczenia. Znow podniósł się wokół tętniący tumult i zgłęb niewiadomych istot. Jęczała ziemia i gwiazdy... Wigwamy podpływały jak czołna niosące chóry gróźb i lamentów. Spod stóp Kendawy, z białych czeluści wyskakiwały bezkształtne fantomy śniegowe, dusząc go i chwytając za nogi.

– Prędzej... Prędzej...

Tam jest cisza. Jest jego wigwam. Jest Monnato, która ułoży go na skórach niedźwiedzich i będzie strzegła drzwi...

Stanął zataczając się u progu. Przez mgnienie ujrzał żonę siedzącą w milczeniu u ogniska. Lecz trwało to chwilę tylko. Czyżby się omylił? Musiały omamić go znow złe duchy, które Toronto zamykał w tykwach z ognistą wodą.

Cichy wigwam napełnił się krzykiem i jazgotem. Nie jedna Monnato, lecz dwie, trzy, cztery, porwały się z ziemi i miotać poczęły krzycząc i złorzecząc. Miały dziesiątki rąk i trzepotały nimi jak czerwonymi szmatami. Unosiły się w powietrzu, pod sklepieniem pułapem, tańczyły przemykając pod ścianami, napełniały wigwam wirując wśród nieustannego krzyku.

Kendawa jęknął. Gdzież jest upragniona cisza jego domostwa, gdzie jego Monnato? To są upiory, zwidy, wiedźmy!

Tuż przed sobą, na ziemi, ujrzał polano. Pochylił się, chwycił je, podniósł i cisnął z całej mocy w krzyczący tłum.

Wszystko ucichło. Wiedźmy umilkły i uleciały. Tam, za ogniskiem, leżała skulona Monnato.

Kendawa przyczołgał się i położył koło niej. Była cicha. Nie słyszał nawet jej oddechu. Nie słyszał nic prócz samotnego bicia swego serca i osuwania się popiołu w żarze dogasającego ogniska.

Mwawe i rada plemienna orzekli, że winien jest śmierci Monnato. To była prawda. Kendawa wiedział, że i on musi teraz umrzeć. Myśl ta przyniosła mu ulgę. Czuł się mniej winny.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie wiedział jak. Łężało to w głębi serca jak coś, o czym się zapomniało, co jednak jest ważne i o czym trzeba koniecznie innym dać znać.

Ale nie mógł tego w żaden sposób ubrać w słowa. Wiedział tylko: musi coś ważnego, coś bardzo ważnego uczynić.

Było już za późno. Wyprowadzono Kendawę ze wsi. Dalej miał iść sam. Tamci stali z pochylonymi głowami. Było to pożegnanie. Na zawsze...

Kendawa szedł przecież na śmierć. W głąszę i pustkę śniegową bez bronii, bez ognia, bez jedzenia. Tak ginęli ci, którzy przekroczyli prawo. Las pełen był zwierza. Wałęsały się głodne stada wilków, czaiły się rysie, a nade wszystko panował tu wszechwładny mróz wysysający ciepłą krew i szpik kości.

Kendawa szedł głuchy na wszystko, co się wokół niego działo. Szedł i szedł, jak idzie ktoś, kto szuka usilnie zgubionej rzeczy. Spojrzenie jego i słuch skierowane były do wewnątrz, tylko stopy niosły go przez śniegowe zasy.

Mówił do siebie:

– Zabiłem Monnato... Zabiłem Monnato...

Potem pomyślał.

„Pilawa i Kulswe zabili także”.

Lecz czyż była w tym pociecha? Nie. Przeciwnie, im dłużej o tym myślał, tym większy powstawał w jego głowie niepokój i zamieszanie.

„Kto złamał prawo – musi ponieść karę...”

Tamci dwaj sami sobie, nie wiedząc o tym, wymierzili sprawiedliwość. A teraz kolej na niego. Na Kendawę. Idzie oto ostatnią ścieżką. Już więcej stopy jego nie staną na szlaku łowów ani na ścieżce wojennej – idzie ostatnią drogą, z której nie ma powrotu. Muszą nią iść ci, którzy złamali prawo. To jest sprawiedliwe. Ktokolwiek uczyni podobnie jak Kendawa, pójdzie nią także. Może jeszcze nie jeden.

Nagle zdało mu się, jak gdyby szukając zwierzyny wszedł na trop. Znał dobrze to uczucie. Drgnął i przystanął. Odruchowo rozejrzał się wokół. Ale leżała przed nim niepokalana biel śniegowa, pusta, daleka, zamknięta ciemną linią puszczy.

I musiał się Kendawa gorzko roześmiać, litując się nad sobą. Nie było tu żadnego tropu, chyba... trop śmierci.

A przecież... O czymże myślał?... Nad czym się zastanawiał?...

„...Niejeden może jeszcze uczynić to samo...”

Niejeden. Kulswe, Pilawa i Kendawa zostali ukarani. Lecz cóż to znaczy, skoro pozostał Toronto. Tu czy tam, w tej czy innej wsi sprzedawać będzie wodę ognistą i czerwonoskórzy będą dawali się oszukiwać, poniewierać, będą wpadać w gniew, będą zabijać. Cóż z tego, że Kendawa, że tamci dwaj, że inni poniosą karę, skoro Toronto, ta zaraza – jest i pozostanie!

Tak! Tak! Teraz już wiedział, na jaki trop natrafił. Teraz już wiedział. Już wiedział.

Doznał olśnienia. Przystanął... I oto uczynił coś zgoła nieoczekiwanego: zawrócił i szybko pobiegł do wsi.

Nie! Tego jeszcze nie widziano. Nie widziano, by skazany na wygnanie i śmierć zawracał z drogi.

Zmierzchało, gdy wszedł między wigwamy. Ujrzano go już z daleka i cała wieś wyległa przed domostwa, by zobaczyć, co się stanie. Patrzone na niego uważnie. Nie wyglądał na kogoś, kto przyszedł błagać o litość. Minął Mławę, który stał przed wigwamem Rady, i jakby go nie spostrzegł, szedł dalej, w górę ku wigwamom położonym na krańcu wsi.

Gdy przeszedł, wszystkie twarze obróciły się za nim jak liście drzew z prądem wiatru. Każdy czuł, że z Kendawą przechodzi przez wieś wielkie wydarzenie.

– Dokąd idzie?

– Czy idzie do białego? – pytano w tłumie.

Tak. Tak. Idzie do białego!

– Idzie do Toronta!

Mężczyźni, kobiety i dzieci posuwali się za Kendawą. Niektórzy chwycili z domów zapalone szczapy i jak pochodnie trzymali je nad głowami.

Szedł prosto do wigwamu kupca. Szedł drogą, którą tak często chodził. Stał w drzwiach i szarpnął futrzaną zasłonę, aż zerwała się i zwisała, odsłaniając oświetlone żarem ogniska wnętrze.

– Aaaa...

Zdziwienie, niedowierzenie, przestrasz – wszystko było w mimowolnym okrzyku Toronta, który podniósł głowę znad pełnych skrzyń i ujrzał w drzwiach postać Kendawy.

Nim zdołał się wyprostować, spadł nań ogłuszający cios pięści.

Kupiec osunął się na ziemię. Kendawa odebrał mu pistolet. Następnie dwa inne pistolety, długi nóż myśliwski i strzelby, całą broń, jaką znalazł w wigwamie i przy białym, rzucił precz przez drzwi, na śnieg, prawie pod nogi tych, którzy podeszli najbliżej.

Broń leżała tworząc znak dziwaczny, ale wymowny dla tych, którzy potrafili go odczytać. Sens jego nie był jednak zamknięty. Wypowiedziano dopiero pierwsze słowa.

Kendawa rozejrzał się wokół siebie. W kącie stały baryłki whisky. przykucnął i odkorkował jedną z nich. Nie sprawiło mu to zbytniego trudu. Często widywał Toronta przy tej czynności.

Obok baryłek leżały tytkwy. Napelnił kilka z nich.

Przez chwilę wciągał ostry, znajomy zapach w nozdrza. Odruchowo otarł usta grzbietem dłoni.

Potem odwrócił się i pochylał nad białym, potrząsnął nim jak workiem.

– Toronto! Hej! Toronto!

Kupiec powoli przychodził do siebie. Otworzył oczy. Indianin przyłożył mu tykwę do ust.

– Pij... – rozkazał.

Łyknął raz i drugi. Nie rozumiał, co się z nim dzieje.

– Pij! Pij! – przynaglał nieubłaganym szeptem Kendawa.

Więc białą pił. Ale gdy chciał odjąć od ust tykwę i podniósł oczy, spotkał nieruchome, zimne, bezlitosne spojrzenie.

– Prędszej! – warknął Indianin.

Krztusząc się, kaszląc i zachłystując wypróżnił wreszcie tykwę. Lecz Kendawa podsunął mu drugą.

Toronto usiłował się szarpnąć... zaprotestować... W jego zamroczonym uderzeniem i alkoholem umyśle zrodził się dziki strach. Odepchnął tykwę od siebie, wydając nieludzki wrzask. Kendawa przygniótł go do ziemi, zaciskając palce na jego gardle.

Kupiec znieruchomiał. Ujrzał znów rękę podsuwającą mu do ust tykwę z wódką. Musiał pić i pić bez przerwy. Trwało to bardzo długo.



Wyprowadził trzecią i czwartą tykwę... Nie protestował już. Siedział oparty o ścianę jak martwa kukła ze zwieszoną na ramię głową. Po obrzmiałej twarzy, która przybrała siny, lśniący kolor, strugami ściekał pot.

Czas upływał. Ognisko wygasło, ale cisnący się coraz bliżej drzwi wojownicy oświetlali wnętrze czerwonym, drgającym światłem pochodni.

Kendawa wstał i patrzył przez chwilę na Toronta. Potem wyjął zza pasa pistolet i odwrócił się w stronę, gdzie były baryłki. Ogarnął go gniew, jak gdyby stanął w obliczu żywego wroga. Ogarnął go gniew i żal. Oto mści się za Monnato i za siebie, za Pilawę i za Kulswego! Ale to nie było wszystko. Nie! Kendawa czuł, że spełnia to, czego nie potrafi nazwać, że spełnia nie tylko swój czyn – że jest w tym coś więcej niż zemsta i nienawiść!

Strzelił w brzuch pełnej baryłki. Nabił pistolet i znowu strzelił. I jeszcze, i jeszcze, aż tryskać zaczęła strumieniami wódka, tworząc w gwałtownym wybuchu ostrego aromatu złotą w blaskach pochodni kałużę.

Wówczas Kendawa krzyknął dziko. Skoczył ku beczkom i zaczął je kopać i deptać, aż rozleciały się z trzaskiem pod wściekłymi uderzeniami nóg, aż szczątki ich wbiły się w mokrą od wódki ziemię.

Krzyczał i tańczył, a z nim razem tańczyły po ścianach i suficie jego rozliczne cienie, coraz wyraźniejsze, coraz większe, w miarę jak ci z pochodniami podchodzili coraz bliżej i bliżej.

Spostrzegł ich Kendawa. Skoczył. Wyrwał pierwszemu z brzegu pochodnię z ręki.

Długi, ruchliwy płomień dotknął ściany, dotknął skrzyń, dotknął sufitu. Tu i tam wystrzeliły młode, nieśmiałe pędy ognia. Rozkwitły prędko w szkarłat dzikich płomieni. Sucha kora ścian zwijała się z trzaskiem wśród iskier i dymu.

Niebawem cały wigwam zapłonął jak gorejący krzak, pełen uciekających w czarne niebo ognistych ptaków i poszarpanych piór.

Wojownicy cofnęli się. Kendawa wyszedł spośród płomieni. Rzucił precz pochodnię. Dyszał ciężko, ubranie tliło się na nim i w mroźnym powietrzu otoczył go obłok zaróżowionej pary.

Wojownicy milczeli. Stali nieruchomo. Czekali. Nie było w ich oczach litości, nie było zdziwienia. Nie sprzeciwiali się temu, co

zaszło. Ani jedna ręka nie podniosła się w obronie kupca. Byli po stronie Kendawy. Lecz nie mieli dla niego litości.

Ale czyż Kendawa miał litość dla siebie? Spojrzał raz jeszcze. Tym razem oczy jego powędrowały wyżej. Ponad głowami zebranych wśród kopulastych dachów poznał swój wigwam.

Odwrócił się i oddalił w mrok. Nikt nie usiłował go zatrzymać.

Złoto Ponki

Od początku wydał im się podejrzany. Wtedy jednak nie zdawali sobie jasno sprawy, o co chodzi.

Gdy wyłonił się ze śnieżnego mroku od strony Black Hills i stanął w świetle ogniska, zawahał się przez ułamek sekundy. Nie uszło to ich czujnego spojrzenia. Od lat handlowali i polowali w tych okolicach. Zнали czerwonoskórych na wylot. Takiego przynajmniej byli mniemania.

Indianin zdjął z ramienia strzelbę. Nie wypuszczając jej z rąk, zładował na śnieg ciężki, skórzany worek i umieścił go za sobą. Nie powiedział ani słowa. Usiadł w pewnej od nich odległości i wyjął z sakwy, zawieszanej na piersiach, pęcherz z suszonym mięsem.

Spoglądali na potężne mięśnie jego szczęk i małe, bardzo wąskie oczy, osadzone głęboko za wystającymi kośćmi policzkowymi. Poznali w nim od razu mieszkańca Północy.

– Ponka? – spytał starszy, wskazując ręką poza siebie, w kierunku, skąd wiatr przez gałęzie drzew niósł ostre, tnące smugi śniegu. Indianin odpowiedział prawie niedostrzegalnym ruchem głowy, powieki jego opadły jeszcze niżej.

– Ponków już nie ma na Północy – rzekł drugi myśliwy, patrząc uważnie na przybysza – dwa lata temu zagnano ich wszystkich do Oklahomy.

Indianin milczał, żując powoli mięso.

– Byłem tam – podjął znów biały, nie spuszczając z niego oczu. – Czerwony pył włązi w usta i żżera płuca. Wszystko przysypane jest gorącym piaskiem.

Oczy Ponki spoglądały nieruchomo na iskry śniegowe, tworzące nad ogniskiem migotliwą, drgającą kopułę. Któż mógł wiedzieć,

o czym myślał. Twarz jego, jak twarze wszystkich prawie czerwono-skórych Północy, była obca i obojętna.

Nie przestając jeść, odpiął rakiety śniegowe i wysunął ku ognisku stopy obute w zniszczone mokasyny, na których szklil się mróz. Widać było po nich, że przeszły długą drogę.

W godzinę później, nie powiedziawszy ani słowa, opuścił obozowisko. Pochłonął go mrok i spadzistość ścieżki prowadzącej w dół, ku rzece Belle Fourche.

Biali patrzyli za nim przez chwilę.

– Co, u licha, może dźwigać w tej sakwie? – mruknął starszy. – Nie musi to być lekkie.

Młodszy wzruszył ramionami. Dorzucił do ognia gałęzi i przysunął się bliżej, gdyż zerwał się wiatr i zaczął mieść śniegiem.

Siedemdziesiąt mil na północny zachód, w faktorii koło Phil Kearny, ujrzeli go znowu. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, skoro szli teraz tym samym szlakiem, prowadzącym do fortu Mac Kinney i dalej do Miles City.

– Patrz – rzekł młodszy, otrzepując z kożucha śnieg przed drzwiami oberży – to Ponka znad Belle Fourche.

Indianin przykucnąwszy na dziedzińcu, o kilkanaście kroków od nich, rozpałał ognisko.

– Halo! Ponka! – krzyknął starszy, tupiąc nogami na progu. – Czemuż, u diabła, nie wejdiesz do ciepłej izby?

Indianin na znak powitania podniósł powoli rękę, lecz nie rzekł nic.

– Zupełnie dziki – mruknął handlarz i wzruszając ramionami kopnął drzwi, które rozwarły się na gwar i ciepło dusznej izby. Weszli do środka.

„Złoto! Złoto!”

To były słowa, które przywitały wchodzących. Nie mówiono o niczym innym.

– Jak to, chłopcy – zdziwił się stary Creek, stawiając przed nimi miskę gorącej fasoli – nie słyszeliście o tym po drodze? Od miesiąca o niczym innym nikt tu nie mówi. W Black Hills odkryto żyłę złota!

– W Black Hills? – powtórzyli obaj handlarze, spoglądając na niego.

Mężczyźni w izbie wybuchnęli śmiechem.

Ponka



– A to nowina, Rice! Z księżycą spadacie!

Rice i jego towarzysz potrząsali głowami. Nie! To nie do wiary! Przegapili pierwsze wieści o złocie, zbaczając z powodu kilku głupich srebrnych lisów!

– Nawet czerwonoskórzy zwąchali złoto – szepnął gospodarz, wskazując oczami na kilku Indian siedzących na kocach pod ścianami.

– Przybyli tu przed godziną. Z Big Horn.

Wówczas Rice pomyślał nagle o Ponce, który pozostał na dworze.

– Wszyscy tam idą – ciągnął dalej Creek – zabraknie mi dziś whisky i rumu. Pchnąłem gońca do fortu, jeżeli tak dalej pójdzie, nie starczy zapasów w Phil Kearny dla mojej budy.

„Ale Ponka szedł od Black Hills!” – młodszy spojrział na Rice’a znad miski z fasolą. Czyżby myślał o tym samym?

Przypomniał sobie teraz, jak Indianin zawahał się, nim usiadł przy ich ognisku. Umieścił worek poza plecami, nie wypuszczając z rąk strzelby. Obaj rozważali to samo, jedząc fasolę trochę prędzej, niżby się należało.

Tak, szedł przecież z gór. Pamiętali o tym dobrze. Przyszędł wschodnim szlakiem, a nie z południa jak oni. Potem dopiero wszedł na ich szlak prowadzący przez łożysko zamarznętej Belle Fourche, wyprzedził ich i znalazł się tu przed nimi.

Wstali jednocześnie i wyszli bocznym wyjściem na korytarz dzielący dom na dwie części. Drzwi w głębi prowadziły na dziedziniec. Rice uchylił je lekko i wetknął twarz w strugę lodowatego powietrza. Na śniegu, osłonięte od wiatru resztą starej palisady, płonęło niewielkie ognisko. Widzieli wyraźnie Indianina. Siedział odwrócony tyłem do ognia i grzebał w śniegu. Cóż on tam robił, do licha?!

Rice cofnął się od drzwi i zamknął je cicho. Zdało mu się, że ktoś wyszedł z izby. Stali przez chwilę milcząc w ciemnościach korytarza.

– Gdzie jego worek? – szepnął wreszcie młodszy.

Rice nie odrzekł nic. I on zauważył brak worka. Nagle usłyszeli przez ścianę skrzypienie czyichś kroków na śniegu. Odsunęli się od drzwi. Wszedł Ponka. Minął ich obojętnie, wszedł do traktierni. Myśliwi nie ruszyli się z miejsca.

Po chwili wrócił, niosąc miskę z dymiącą fasolą. Creek wychylił się za nim i krzyknął:

– A uważaj tam z ogniem, diabelskie nasienie!

– Mała ogień – odburknął Ponka nie odwracając głowy.

– Jednak umie mówić, szelma – szepnął Rice przysuwając się do szpary w drzwiach, gdy tylko kroki Indianina umilkły na dziedzińcu. Spojrzeli znów ciekawie ku ognisku.

Czerwonoskóry postawił miskę i podszedł do miejsca, gdzie przedtem grzebał w śniegu i wyraźnie garbił się usypany kopiec. Przesunął po nim ręką, jakby chciał się upewnić, że nic się nie zmieniło. Potem odwrócił się ku ognisku, zawinął w koc i zabrał do jedzenia.

– Boi się nocować we wspólnej izbie. Boi się o swój worek. Widziałeś tę kupę śniegu?

– Tak – rzekł Rice w zamyśleniu.

Potem wrócili do traktierni i zażądali rumu. Lecz rumu już nie było. Nie było nawet whisky. Creek przyniósł im po kubku kwaśnego, grzanego wina.

Rozmawiali przez dłuższy czas ze starym na temat Black Hills, oczywiście. Nikt tu o niczym innym dziś nie mógł mówić.

Gdy odszedł, Rice powiedział:

– Nie pójdziemy teraz do Black Hills.

– Nie – odparł jego towarzysz, popijając wino małymi łykami. – Myślę, że mamy złoto bliżej.

– Zamknij gębę – mruknął Rice, nie patrząc na niego.

Po jakimś czasie sprawdzili strzelby, zapięli kożuchy i zabrali się do wyjścia. Na podłodze, na ławach spali ludzie. Creek drzemał za szynkwasem oświetlony zakopconą lampą naftową.

W korytarzu Rice wyjął długi nóż myśliwski i przesunął paznokciem po ostrzu.

Uchylili drzwi. Spojrzeli na dziedziniec. Było ciemno. Przeszli przez wydeptany śnieg i zbliżyli się do miejsca, gdzie biwakował Indianin. Lecz ujrzeli tu wygaszone ognisko i ślady stóp prowadzące ku dolinie. Rice zaklął. Stali przez chwilę namyślając się, co robić dalej. Ale przecież Ponka nie mógł zająć daleko. Mogli go w parę godzin dogonić.

Noc była pogodna. Śnieg przestał sypać i ślady widniały jak litery wrytego w kamieniu zaklęcia. Znali je. Nie potrzebowali wymawiać magicznych słów. O niczym innym nie potrafili myśleć. Byli na tropie złota.

Szli przez resztę nocy. Nad ranem ujrzeli go z daleka. Posuwał się niezbyt prędko zбочem ośnieżonego pagórka. Ale myśliwi wiedzieli,

że nim dotrą na jego szczyt, Indianin zdąży zejść ku rzece Tongue, która płynęła za tym ostatnim wzniesieniem. Tam, na wymiecionym północnym wiatrem lodzie mogą stracić ślad.

Przypuszczali zresztą, że Ponka może iść tylko w dół rzeki, na północ. Ostatecznie i tak muszą trafić na miejsce, w którym zejdzie, jeżeli w ogóle zejdzie z lodowego łożyska. Najprawdopodobniej jednak będzie szedł rzeką prosto ku Miles City. Musi przecież wymienić swoje złoto.

Rzeka wiła się wśród śnieżnych pagórków. Sylwetka Ponki znikła, przysłonięta wydhami. Myśliwi zeszli teraz na chropowaty, ciemny lód. Około południa, gdy przystanęli, by się posilić, zauważyli zwal burych chmur ciągnących z północy.

– Śnieg! – rzekł Rice pakując do ust kawałek wędzonki. Towarzysz jego wzruszył ze złością ramionami.

– Szkoda czasu – mruknął, wrzucając do worka resztę prowiantu.

– Lepiej było ruszyć z innymi, tam...

– Idź – powiedział Rice. – Nikt cię nie trzyma!

Wiedział dobrze, że towarzysz nie zostawi go samego na tropie Ponki. Zbyt łakomy to był kąsek.

– Wracaj! – powtórzył. – Pójdę, sam.

Lecz za chwilę szli znów obaj naprzód. Wiatr wzmógł się, w powietrzu zaczęły polatywać pierwsze rzadkie płatki śniegu. Przyśpieszyli kroku. Ściemniało się. Patrzyli wciąż uparcie na śniegowe wydmy brzegu, czasami mylił ich ślad jakiegoś zwierzęcia, który zdawał się być śladem stóp ludzkich. To wypatrywanie i daremne szukanie męczyło więcej od szybkiego marszu po lodzie.

Raz zamajaczyła przed nimi z daleka ciemna sylwetka.

– To on! – krzyknął młody. – Prędeż!

Teraz biegli prawie. Śnieg i wiatr smagał ich w oczy i tamował oddech. Zaczęli potykać się na odłamkach lodowych. Ujrzeni tuż pod nogami otwartą przeręblę. Wyminęli ją w ostatniej chwili i biegli dalej. Potem Rice potknął się i upadł twarzą na lód. Krwawił z rozciętej wargi i kłął. Biegli dalej.

– Od brzegu prowadziły ślady, widziałeś? – dyszał młody.

– Do przerębli – odpowiedział Rice. – Zwyczajna ścieżka.

Wiatr ucichł nieco i zaczęło się przejaśniać. Nagle Rice zatrzymał się.

– Patrz! Prędeż! – wskazał pod nogi na lód.

Ujrzeni nikły, niewyraźny odcisk mokasy na smudze rozwiewającego się śniegu.

– On...

Kilka razy jeszcze zauważyli na lodzie podobne, nieuchwytnie prawie ślady. Teraz wiedzieli na pewno, że Ponka nie zboczył z rzeki. Szli tak aż do zmierzchu. Raz jeszcze zdało im się, że przemknął daleko na zakręcie, wśród śniegowego тумanu.

W jakiś czas potem obaj jednocześnie rozeznali w uderzeniach wiatru słaby zapach dymu. Spojrzeli na siebie nic nie mówiąc i gnali naprzód. Nareszcie w gęstniejącym zmroku ujrzeli na brzegu ślad stóp.

Tutaj! Tutaj zboczył! Zapach dymu był coraz wyraźniejszy. Szli teraz ostrożnie, pochyleni za garbem wydmy. Wychylili się i spojrzeli ku kłębiącym się jak chmura śniegowa zaroślom. Palilo się ognisko, lecz nie było przy nim nikogo.

Poskoczyli naprzód. Od ogniska prowadziły ślady w las. Ponka mógł wrócić lada chwila. Poszedł widocznie po drzewo albo zapuścił się parę kroków dalej po gałęzie jodłowe na posłanie. Tu, z brzegu, rosły tylko krzaki tarniny i bezlistne, karłowate dęby.

Szybkim spojrzeniem ogarnęli przestrzeń koło ogniska. Była pusta. Tak. Swoim zwyczajem musiał worek zakopać. Widzą! Jest! Oto kopulaste wzniesienie, mogiła ukrywająca złoto!

– Pilnuj lasu – warknął Rice do towarzysza, rzucając się na śnieg. Zaczął go odgarniać rękami. Wyciągnął worek. Był ciężki, związany u góry rzemieniem. Rice jednym uderzeniem noża przeciął go i wydobyl z wnętrza spory pakunek zawinięty w malowaną skórę bizona i obwiązany skrzyżowanym kilkakroć pasem.

– Prędszej! – niecierpliwil się tamten, stojący na straży. Rice ciął raz jeszcze i rozwinął skórę.

Z ust jego wydarł się okrzyk zdumienia i wściekłości. Towarzysz przyskoczył ku niemu. Spojrzał.

Na skórze bawolej leżały przed nimi zamrożnięte zwłoki kilkuletniego dziecka. Odziane było w kolorowe ubranie, futrzane mokasyny i naszyjniki ze srebrnych blaszek. Mógł to być pięcio- lub sześćioletni chłopiec, niewypowiedzianie wymizerowany i chudy. Patrzyli przerażeni, nie mówiąc do siebie nic.

Usłyszeli przyspieszony chrapliwy oddech jakby wściekłego zwierzęcia. Nie zauważyli, kiedy przybiegł. Klęczeli pochyleni nad trupem. Ponka krzyknął i sprężył się do skoku. Przez chwilę zdawało się, że rzuci się na nich, ale rzucił się na zwłoki i nakrył je sobą. Ujrzeni, jak przesunął po nich dłonią w niemej pieszczocie, jak zagarnął je w skórę bawołą i zawinął kawałkami pociętych pasów. Usta miał otwarte. Blask ognia szklili się na jego białych, dzikich zębach. Błyszczą na policzkach, po których ciekły łzy.

Teraz dopiero spojrzął na białych. Ujrzał w ich oczach strach i zdziwienie. Czegoś podobnego nie widzieli jeszcze w swym długim życiu pełnym przygód.

Ujrzał też, jak ręka Rice'a kładzie się na rękojeści noża. Potrzęsana głową. Pokazał im swe puste dłonie i położył je na skórze bawolej. Był w tym gest łaski, nie obrony.

Wówczas Rice powiedział:

– Złoto!

Nie wiadomo, może chciał się w ten sposób usprawiedliwić. A może tylko upewnić.

Ponka spojrzął na niego. Patrzył chwilę uważnie, aż oczy jego stały się niewidzące i dalekie. Potem rzekł w swoim narzeczu, niezbyt rozumiałym dla obu białych:

– Niosę go na północ. Do ziemi ojców.

Rice podniósł się ze śniegu, na którym klęczał. Spojrzął na towarzysza i oczami wskazał na rzekę; potem lekko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Nic tu po nas, pójdziemy chyba”.

Stali niezdecydowani, jak nieproszeni goście na uroczystości żałobnej. Ponka nie zwracając na nich uwagi mówił dalej:

– Wdychaliśmy wszyscy czerwony pył Oklahomy, który jest trucizną. Wielu z nas odeszło przedwcześnie do krainy wielkich łowów. Urodził się na Północy, w kraju Panków. Powietrze jest u nas czyste i chłodne jak woda, co wypływa nieskalana spod ziemi. Pił dobre powietrze i rósł pięknie. Potem przyszli biali i zagnali nas na południe. Do kraju, w którym powietrze jest trucizną. Uduślił go gorący pył. To jest mój syn. Mój jedyny syn...

Rice i jego towarzysz cofnęli się o krok. Ponka nie zauważył tego. Nie widział ich.

Wówczas odwrócili się i zaczęli schodzić ku rzece. Usłyszeli jeszcze, jak mówił:

– Niosę go do ziemi ojców, by tam spoczęły jego kości...

Lecz dla nich były to tylko słowa, których znaczenia nie mogli pojąć, mimo iż rozumieli ich sens.

Salomon

Wabaskwi zawiesiła na plecach drewnianą kolebkę z niemowlęciem, z obu jej stron zaś napchane wyprawionymi skórami wory, których rzemienie założyła sobie – tak jak to było w zwyczaju u kobiet jej plemienia – na czoło. Głowę pochyliła mocno do przodu, by zrównoważyć położeniem ciała wszystko to, co dźwigała na plecach. Żywność i najpotrzebniejsze drobiazgi uwiązane rzemykami na szyi chwiały się w takt jej kroków. Był to pęcherz z suszonym mięsem, kociołek, w którym znajdowała się jeszcze resztkę jedzenia, szkatułka z solą, szkatułka z mąką, drewniane łyżki i torba z zapasowymi mokasynami.

Przed Wabaskwi szedł nie mniej objuczony od niej mały krótkonogi konik. Apanaki pobiegł naprzód. On niósł tylko strzelbę. Nie dźwigał ciężarów. Lecz przecież był mężczyzną, karmicielem rodziny, myśliwym, którego ręka i oko musiały być niechybne.

Wabaskwi przez myśl nawet nie przeszło skarżyć się na swój los. Inne kobiety plemienia dźwigały tyleż co ona albo i więcej, jeśli nie posiadały konia. Gdyby Apanaki był zamożniejszy i mógł sobie pozwolić na kilka żon, wówczas zapewne podzieliłyby się ciężarem i byłoby łatwiej. Ale i tak nie było źle.

O zmiernych zaczął prosić śnieg. Idący na czele pochodu zatrzymali się, żeby sprawdzić, czy lód na rzece, przez którą mieli przejść, jest dość mocny.

Wabaskwi skorzystała z tego, by nakarmić i przewinąć niemowlę. Był to tęgi, piękny chłopak i duma matki nie miała granic, gdy spoglądała na jego lśniące od niedźwiedziego tłuszczu, okrągłe policzki. Przytuliła twarz do małego ciała, ujmując je lekko, pieszczotliwie zębami i wchłaniając woń dziecinnej skóry.

Apanaki przebiegł koło niej i powiedział z niezadowolaniem:

– Myśliwi Pottowatomich przeszli tędy.

„Aha – pomyślała – to znaczy, że i oni dowiedzieli się o stadach. Będziemy musieli się śpieszyć, żeby nie dogoniły nas ich kobiety”.

Przed nią, wśród zadymki odezwały się nawoływania. Ruszono naprzód. Znowu przewiesiła przez plecy kolebkę z dzieckiem, okrywając ją ciężkim kapturem z wilczej skóry. Wsunęła na siebie uprząż nosideł. Koń, który wygrzebywał właśnie spod śniegu resztki zwiędłej trawy, nie chciał ruszyć. Musiała go pchnąć z całej mocy, aż worki przesunęły się na jej plecach, i Wabaskwiomal nie upadła.

Poprawiła nosidła i naciągnęła rzemień kolebki, który rozluźnił się nagle, był już mocno przetarty, ale w pośpiechu przeprowadzki nie zdążyła go zmienić. Obiecywała sobie uczynić to na następnym postoju.

Tymczasem wyprzedziły ją inne kobiety i konie. Znalazła się na samym końcu pochodu. Apanaki wraz z kilkoma innymi myśliwymi pobiegł odegnać wałęsające się wilki. Starali się przepędzić je jak najdalej na południe, żeby nie zwietrzyły wielkich stad karibu, za którymi wędrowali ludzie.

Wabaskwi idąc myślała o rozmaitych rzeczach. Najpierw starała się przypomnieć sobie wzór haftu, którym chciała ozdobić pierwsze trzewiczki syna. Widziała taki haft u matki Apanakiego. Przedstawiał ryby i strzały. Związane razem tworzyły niewielkie kolorowe słońce. Będzie pięknie, kiedy malec zacznie w nich biegać. Lecz nie nastąpi to chyba prędzej niż pod koniec lata. Ciekawa też była, czy uda jej się zdobyć nową, stalową igłę zamiast kościanej. Stara Mech, żona wodza, miała aż trzy, ale nikomu nie pożyczała. Twierdziła, jakoby śniło jej się, że jeśli obca kobieta ich dotknie, skóra, którą będzie szyła, popęka. Może była to prawda.

Zaczęła teraz odczuwać w grzbiecie i w nogach bóle pierwszego zmęczenia. Znała je dobrze i wiedziała, że przejdą niebawem. Silna była przecież jak koń, mimo wątej i drobnej budowy. Starła się odwrócić myśli ku czemuś innemu. Wyobraziła sobie kociolek parujący gęstą wonią duszonej jeleniny. Lubiła zaprawiać sos mąką kukurydzianą rozgniecioną z niedźwiedzim sadłem. Dawało to nieporównaną mieszaninę aromatów mięsnych i było naprawdę bardzo smaczne, szczególnie jeśli mogła sobie pozwolić jeszcze na odrobinę soli. Lecz sól była bardzo, bardzo droga i cenna. Ileż pięknych futer

trzeba dać handlarzowi za worek nie większy od głowy dziecka.

Myśląc o jedzeniu, uczuła Wabaskwi skurcz w szczękach. Kiedyż właściwie była zupełnie syta? Nigdy nie zjadła tyle, żeby zaspokoić głód. Trzeba przecież myśleć o zapasach, suszyć mięso na pemikan i dzielić się – tym co upolował Apanaki – z jego matką oraz z owdowiałą siostrą męża, która miała dwóch nieletnich synów. Toteż ciało Wabaskwi szczupłe było i drobne jak ciało dziesięcioletniego dziecka. Z pewnością ważyła o wiele mniej od tego wszystkiego, co dźwigała na plecach i ramionach.

Nastała noc. Wciąż jeszcze szli. Wiedziała dobrze, że nieprędko zatrzymają się, by wytchnąć. Trzeba było się przecież spieszyć z odnalezieniem stada. Wprawdzie większość myśliwych pomknęła już naprzód, wyprzedzając swoje rodziny, ale kobiety nie mogły pozostać zbyt daleko w tyle, żeby mężczyźni nie tracili później czasu na transportowanie mięsa, które upolują.

Śnieg padał coraz gęstszy. Usłyszała, jak Apanaki wrócił, lecz ledwie widziała go poprzez śniegiem oblepione rzęsy. Przez chwilę siedł obok niej, opowiadając coś o wilkach. Potem ruszył naprzód razem z innymi.

Zaczął ją morzyć sen. Od czasu do czasu wyciągała rękę, żeby dotknąć grzbietu konia. Potem przybliżyła się i idąc obok zwierzęcia oparła czoło na kołyszących się jukach. Zasnęła. Nogi niosły ją jednak tym samym rytmem. Gdy potykała się – trzeźwiała na chwilę.

Nagle na czele pochodu wszczął się nowy ruch. W puszystym od wirującego śniegu powietrzu odezwały się piskliwe głosy kobiet i dzieci, przytłumione niskim pułapem chmur. Rżały konie, naszczekiwały niecierpliwie głodne psy. Wprzęgano tobogany, zwalano juki na płozy.

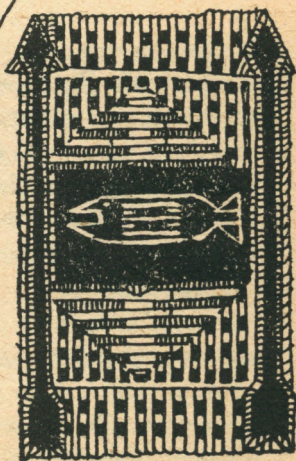
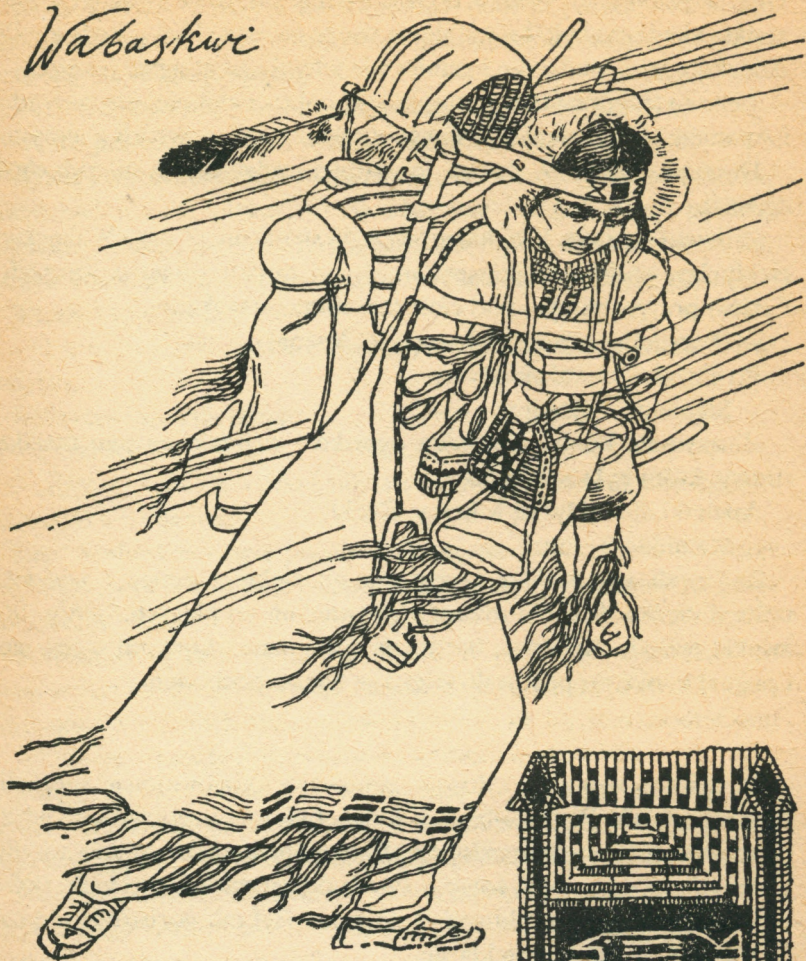
Wabaskwi obudziła się z przygnębiającym uczuciem niepokoju. Śniło jej się, że wsiadła do kanu i płynąc już z rwącym prądem zauważyła, że zapomniała zabrać wiosło.

Zsunęła z czoła rzemienie nosideł, zdjęła przez głowę wieniec łyżek, szkatulek, pęcherzy i woreczków.

Wyprostowała się, zdjęta nagłym przerażeniem. Sięgnęła ręką do ramion, choć już bez tego wiedziała: kolebki z dzieckiem nie było.

Obejrzała się, pobiegła kilkanaście kroków po śladach pochodu. Śnieg walił coraz gęstszy i jak daleko mogła okiem sięgnąć w ciemność, nie widziała nic prócz mżącey bieli.

Wabaskwi



Krzyczała. Zbiegli się mężczyźni i kobiety. Zjawił się Apanaki. Nie rzekł ani słowa, przywiązał do nóg rakiety śniegowe i pognął w kierunku, skąd przybyli. Łudził się nadzieją, że może Wabaskwi zgubiła dziecko gdzieś niedaleko i zamieć nie zdołała go zasypać jeszcze.

Lecz za wzgórzami, po otwartej od północy dolinie szła zadymka i Apanaki, choć szukał do samego wschodu słońca, wrócił z niczym.

Dogonił swoich. Z daleka już kobieta odgadła, że nie odnalazł dziecka.

Zrównał się z nią. Szli, nie mówiąc do siebie nic. Z oczu Wabaskwi ciekły łzy, spływając po spękanych od mrozu i wiatru wargach. Ciałem przygarbionym pod ciężarem wstrząsało lkanie.

– Przestań! – powiedział szorstko Apanaki.

Po chwili odezwał się znów:

– Staniemy. Chcę jeść.

Zatrzymała konia. Rozpaliła ognisko i zagrzała na nim resztkę strawy, która była w kociołku.

Apanaki dłużył łyżką w kaszy. Rzekł:

– Ma niedobry smak.

Zadeptali ogień. Nim wciągnęła na siebie rzemienie nosideł, położył ciężką dłoń w futrzanej rękawicy na jej plecach, tam gdzie zwykle wisiała kolebka. Spojrzała ku niemu. Lecz odwrócił się i pognął konia, bo pozostali daleko w tyle za pochodem.

Na wiosnę wracając z łowisk zimowych Odżibwejowie spotkali Pottowatomich. W obu obozach ludzie byli syści i zadowoleni, gdyż wracali do domu z obfitym łupem. Rozpalono ogniska. Wszyscy jedli wspólnie, opowiadając sobie o swych przygodach łowieckich. Późnym wieczorem Apanaki wrócił do żony. Był tak poruszony, że na jego widok Wabaskwi złąkała się.

– Idź, żono – powiedział – idź do kobiet Pottowatomi. Mów z nimi. Idź, idź szybko!

Wabaskwi stała przez chwilę nieruchoma, czytając w jego twarzy. Potem wybiegła. Zbliżyła się do kobiet przy wielkim ognisku. Widośnie mówiono o niej, gdyż wiele twarzy błyszczących od ognia i tłuszczu zwróciło się ciekawie w jej stronę.

– To ta... – szeptały do obcych kobiet Odżibwejki.

– To ta, która straciła dziecko...

Wabaskwi usiadła milcząc w ich gronie.

Obce kobiety patrzyły na nią przez chwilę, potem twarze ich odwróciły się ku młodej rosłej kobiecie z ich plemienia, spoglądającej spod oka na nowo przybyłą.

Stara Odzibwejka, Mech, wskazała na Wabaskwi i rzekła:

– Oto jest matka, która w czasie śnieżycy zgubiła dziecko.

Młoda Pottowatomi nie odezwała się. Wstała od ogniska i odeszła. Wabaskwi zaczęła płakać. O co właściwie chodzi? Niech prędeż powiedzą. Starła się nie dopuścić do siebie myśli pełnych nadziei, tak bardzo obawiała się, że dozna zawodu. Płakała więc coraz głośniej.

Wtedy Mech rzekła:

– Tamta znalazła dziecko. Tej zimy na naszym szlaku. Może to być twój syn.

Wabaskwi spytała łkając:

– Umarło?...

– Żyje... Żyje... – odpowiedziały kobiety Pottowatomi, śmiejąc się szerokimi zębami.

Lecz Wabaskwi ciągle jeszcze bała się swego szczęścia. Wówczas kobiety wzięły ją krzycząc za ramiona i zaciągnęły do miejsca, gdzie koczowała tamta.

Wabaskwi ujrzała niemowlę, które w przeciągu tych czterech miesięcy zmieniło się i wyrosło. Lecz serce jej poznało je natychmiast. Siedziało na kolanach obcej kobiety i bawiło się jej długimi włosami.

– Onope – rzekły Pottowatomki – pokaż jej kolebkę.

Onope sięgnęła poza siebie wolną ręką i wyciągnęła kolebkę. Była teraz rozszerzona dodatkowymi deszczułkami, lecz nie mogło być wątpliwości, że to ta sama, którą niosła prawdziwa matka.

Płacząc i śmiejąc się Wabaskwi wyciągnęła ręce po swego syna. Lecz Onope zasłoniła go sobą, spoglądając na nią przez ramię wzrokiem pełnym nienawiści.

– To moje dziecko! – krzyczała Wabaskwi.

– To jej dziecko! – zaczęły wołać kobiety. – Oddaj, Onope! Oddaj je!

Ale młoda kobieta skuliła się i zakryła jeszcze szczelniej ramionami malca, który tulił się do niej z płaczem.

Na ten widok Wabaskwi zawrzała gniewem.

– Oddaj, ty czarownico! Oddaj mojego syna! Oddaj, złodziejko bezrozumu! Ono jest moje! Moje! Moje! Ja mu dałam życie, a nie ty!

Wtedy Onope rzekła z ponurą groźbą w głosie:

– Ja także dałam mu życie.

Na chwilę uczyniła się cisza. Wabaskwi stała z otwartymi ustami.

– Tak... mówi prawdę – szeptały kobiety. – Ona go urodziła po raz drugi...

Lecz Wabaskwi i Onope już zaczęły krzyczeć na siebie, miotając groźby i przekleństwa. Przystąpiły do sporu inne kobiety. Z początku darły się i wygrażały sobie nawzajem. Niebawem jednak przeszły do silniejszych argumentów: chwyciły się za włosy, nie szczędząc zębów i paznokci.

Mężczyźni, którzy przyglądali się z daleka, udając, że ich spór kobiet nie interesuje, uznali teraz, że muszą się doń w mieszać. I mimo że byli silni i zręczni, niełatwo im to poszło.

Z wielkim trudem rozpedzili wreszcie żony i córki. Przecież - zdawali sobie z tego sprawę - spór nie został przez to załatwiony.

Wówczas Mech i kilka starszych kobiet udało się do starego wodza Pottowatomich - Anaresekwy. Niechże osądzi on, najmądrzejszy z nich wszystkich, któremu ufali zarówno swoi, jak i Odżibwejowie. Niech powie, czyje ma być dziecko.

Starzec kazał sobie po kilka razy opowiedzieć całą historię. Palił przy tym fajkę i grzebał patykiem w popiele, jakby tego wcale nie słuchał. Potem odesłał wszystkich precz i udał się na spoczynek.

Następnego ranka, w jaskrawym wiosennym słońcu, które nie zliżało jeszcze szronu skrzącego się w cieniu pagórków, oba plemiona wezwane zostały na brzeg rzeki.

Anaresekwa nakazał swoim wojownikom przynieść niemowlę wychowywane przez bezdzietną Onope. Skrępowano ostrożnie chłopczyka, zawinięto w skóry, tak by nie mógł się ruszać, a następnie ułożono na dnie pustego kanu.

Na rozkaz wodza zbliżyły się Onope i Wabaskwi, obie zaniepokojone w najwyższym stopniu, lecz nie śmiejące ani głośno krzyczeć, ani płakać.

Rzekł Anaresekwa:

– Oto dziecko dwóch matek. Obie dały mu życie. Jedna urodziła, druga uratowała niemowlę od głodu i mrozu. Lecz nie o matki chodzi. Myślmy o małym mężczyźnie, który kiedyś będzie wojownikiem. Dziecko naszych plemion potrzebuje matki silnej. Życie jest twarde i pełne niebezpieczeństw. Która z was jest lepsza, same osądzicie.

Położymy kanu z dzieckiem na rzece. Niech je niesie. Matką będzie ta, która pierwsza dogoni je i uratuje. Rzekłem.

Zdawało się z początku, że obie kobiety nie rozumieją albo nie wierzą słowom Anaresekwy.

Nawet gdy dwóch wojowników ujęło ostrożnie kanu z dzieckiem i zepchnęło je na wodę, która zakręciła łodzią, porwała ją i poniosła – kobiety nie ruszyły się, spoglądając na siebie, a potem na wszystkich wokół, jak gdyby czekały jeszcze na coś, co je przekona, że to wszystko jest nieprawdą.

Pierwsza ocknęła się Wabaskwi. Krzyknęła, zdarła z siebie ubranie i rzuciła się w wodę. Za nią biegła już Onope, mocując się w milczeniu ze skórzanym kaftanem. Była większa co najmniej o głowę od chudej, drobnej Odżibwejki i Apanaki, stojąc na brzegu, gniewnie zacisnął usta. Czyżby swym wyrokiem Anaresekwa chciał zakpić po prostu z niego i z jego plemienia?

Przez moment zatrzymał wzrok na starcu. Stał, chudy jak sęp, z nieprzeniknionym uśmiechem na mądrej twarzy.

I nie pojmując czemu, Apanaki doznał uczucia ulgi. Westchnął i odwrócił się ku rzece.

Onope płynęła, wyrzucając jednocześnie oba ramiona i górną część ciała ponad wodę. Posuwała się w ten sposób szybko i już po kilku ruchach znalazła się obok Wabaskwi. Obie wbiły spojrzenia w rufę uciekającego kanu. Było od nich oddalone co najmniej o rzut oszczepem, a szeroki bystry nurt niósł je coraz szybciej.

Na brzegu wszyscy milczeli. Nie były to przecież wyścigi, na których, dla dodania animuszu zawodnikom, widzowie zachęcają ich krzykiem i klaskaniem po udach. Matek nie trzeba było zagrzewać do walki. Głos płaczącego w łódce dziecka, świadomość grożącego mu niebezpieczeństwa, wyrok Anaresekwy – były dla nich aż nadto silnym bodźcem.

Płynęły z zaciekłością i rozpaczliwą energią, która przybliżyła je nieustannie do upragnionego celu.

Zmęczona wyrzucaniem ramion Onope przeszła na sposób, w jaki popłynęła jej rywalka – czołgająca się po powierzchni. Silniejsza i większa wnet zaczęła wysuwać się naprzód.

Wtedy Wabaskwi, z twarzą wykrzywioną gniewem i wysiłkiem, podpłynęła ku niej i uderzając w głowę zanurzyła ją na chwilę pod wodę. Onope wynurzyła twarz, parsknęła wściekle. Teraz ona pozos-

tała w tyle, lecz miałażby darować Odżibwejce?

Śmignęła ku niej, chwyciła ją za kark, ścisnęła za szyję...

Obie pograżyły się, gdy tymczasem kanu uciekało ręczo z prądem.

Co chwila teraz dopadały jedna drugiej, odtrącając się i zatapiając wzajemnie.

Lecz gdy spostrzegły, że odległość między nimi a dzieckiem wzrasta niepokojąco – zlekły się. Odplynęły od siebie, dysząc ciężko, zmęczone już, lecz niewyczerpane w zaciekłości.

Ludzie na brzegu biegli naprzód, by nie tracić z oczu tego, co się dzieje. Kanu mknęło o jakieś dwa rzuty oszczepem przed kobietami. Plynęły teraz równo, w pewnym od siebie oddaleniu. Zwolniły tempo. Onope jednak powoli, lecz wyraźnie zaczęła wysuwać się naprzód.

Pottowatomi i większość Odżibwejów uważała, że ona zwycięży. Brano pod uwagę jej mocną budowę, siłę i wielką zręczność w pływaniu. Któż by się spodziewał po zabiedzanej Wabaskwi, że będzie sobie tak dzielnie poczynala.

Świeciło ostre marcowe słońce, woda rzeki była lodowata. Widziało się to zresztą po sinoczerwonym kolorze rąk i twarzy obu kobiet.

Lecz one zdawały się nie odczuwać chłodu. Odczuwały natomiast jak ból odległość między uciekającym kanu i wzajemną, nienawistną obecność.

Czas mijał. Sunęły za łodzią, jak gdyby związane z nią niewidzialnym sznurem, który holując je wydłużał się coraz bardziej.

Wówczas to Wabaskwi poczuła po raz pierwszy obezwładniający chłód. Tłuściejsza Onope była bardziej odporna na niską temperaturę wody i Wabaskwi zrozumiała, że przegrywa. Przegrywa swego syna.

Palce u jej rąk i nóg traciły czucie. Stawały się ciężkie, jak gdyby były nie z ciała, lecz z kamienia. Szczęki zwieraly się bolesnym, dygotliwym skurczem. Była już do tego stopnia wyczerpana, że z trudem łapała oddech, zachłystując się raz po raz wodą.

Więc jednak Onope... Onope zachowa dziecko. Mały będzie do niej się tulić i ją uważać za matkę. Zawsze... do końca...

Odległość między kobietami zwiększała się coraz bardziej z każdą chwilą i Wabaskwi widziała już przed sobą zamiast rufy kanu tył głowy i zwycięskie, mocne ramiona rywalki.

Wtedy zwidziało się jej, że posuwa się wśród wichury i śniegu,

objuczona ogromnym brzemieniem. Wydało jej się, że czuje na plecach ucisk kolebki, która zsuwa się coraz niżej, która spada... Tylko wielki zryw, potworny wysiłek może uratować dziecko, może sprawić, że Wabaskwi zdąży dobiec do celu, zanim kolebka ześliznie się ostatecznie.

Przemogła się. Skoczyła naprzód z nową, dziką energią. Z rozpaczliwą furią zebrała siły, dygocąc z wysiłku i podniecenia, odpychając wodę coraz prędzej i prędzej zeszywniałymi, martwymi kończynami.

Przedzierała się przez lodowate fale, zachłystywała się nimi wypływając z siebie oddech, darła je i szarpała, aż wściekłość targająca krwią w jej żyłach przeistoczyła się w iskrzący ból, życiodajny ból, który kłuł tysiącem igiełek powracającego czucia...

Z iskiek tych zrodził się nieuchwytny prawie płomyk ciepła. Trzeba go było zatrzymać, rozpaćić!

Im szybciej – tym ciepiej... Im ciepiej – tym szybciej! Zdało się jej, że odkryła, że zrozumiała ogromną mądrość, prawdę ostateczną i jedyną. Krew huczała w jej uszach głośniejsz od szumu wody. Oczy zaszyły mgłą wysiłku, tak że nie widziała nic prócz rufy uciekającego kanu w małym kręgu jaskrawego światła. Krąg ten zwiężał się, jak gdyby posuwała się ku łodzi z dna ciemnej, głębokiej jamy. Przestała widzieć kątem oka Onope, brzeg, nawet własne ramiona znikły z jej pola widzenia.

Onope? A może pozostała w tyle? Może przestała istnieć? Jest tylko dziecko i Wabaskwi... Jest noc. Zgasł już nawet jaskrawy krążek światła, który chyba nie był niczym innym jak tylko księżycem. Jest noc. Wnet dziecko obudzi się i zapłacze i Wabaskwi weźmie je do siebie, pod ciepłą skórę niedźwiedzią. Płacze... Słyszy w mroku jego głos. Płacz zbliża się. Prędzej. Prędzej...

Płacz jest coraz wyraźniejszy. Ręka matki wyciąga się, by dotknąć kolebki... Porusza się ostrożnie... I jeszcze raz. Niech dziecko zaśnie. Tu, przy niej... niech śpi.

Nagle uderzenie w głowę... Jasność... Noc ustępuje... Kanu! Kanu! Trzyma je! Popycha! Słyszy nad sobą płacz. Wczepia się paznokciami w rufę, szeroko odgarnia wodę i ciągnie zdobycz do brzegu.

Za nią Onope. Płacze i krtusi się wodą. Za nią. Daleko. Potem Wabaskwi czuje pod stopami dno. Staje, przyciąga łódkę do siebie.

Potyka się, pada, lecz ciągnie kanu ku szuwarom. Kiedy już jest przy brzegu, porywa owiniętego w skóry malca i wdrapuje się z nim po stromej pochyłości, czołga wśród trawy.

Chłopczyk płacze i Wabaskwi płacze. Ale czuje w sobie wielką moc, mimo zmęczenia, odradzającą się i niespożytą. I zdaje się jej, że gdyby musiała płynąć po swe dziecko jeszcze raz i dwa, i trzy, i dziesięć razy, zrobiłaby to zaraz, natychmiast, teraz i jutro, i zawsze.

Inaczej nie byłaby matką. Tą prawdziwą.

Anaresekwa

Anaresekwa zszedł nad rzekę, by obejrzyć sidła zastawione na szczury pizmowe. Po drodze ujrzał dwie dziewczyny kąpiące się w przerębli. Chciał się ukryć za oszronionym krzakiem, lecz one ujrzały go. Nie zakryły jednak, krzycząc, swych piersi, jak to zwykły czynić w takich wypadkach. Wzruszyły ramionami i kąpały się dalej.

Jedną z nich była Nestazeke. Anaresekwa zwracał już nieraz uwagę na jej okrągłą twarz i silne ramiona. Teraz widział jej pociemniałe od mrozu ciało, gładkie i lśniące jak kamień oszlifowany przez wodę. Była młodsza od córek jego wnuków.

Tak, smutne było serce Anaresekwy, gdy spostrzegł, że się dziewczęta przestały wstydzić.

Spojrzał na swe ręce. Były jak wyschłe szpony drapieżnego ptaka. A jednak mieszkała w nich siła.

Gdy wrócił do wigwamu, wyjął małe, metalowe zwierciadło. Lecz w jego mętnym odbiciu niewiele zobaczył.

Zaczął się więc przeglądać w oczach otaczających go ludzi i wszędzie widział swoją starość, chociaż dotychczas jej nie spostrzegał.

Uczuł się chory. Powiedział sobie: „Starość jest chorobą, można ją wyleczyć”. Pomyślał przy tym: „Można umrzeć”. Ale on chciał żyć.

Tego dnia poszli wojownicy na polowanie. Anaresekwa, stary wódz plemienia, poszedł także. Gdy zamierzył się oszczepem na borsuka, zaczepił mokasynem o korzeń ukryty pod śniegiem i upadł. Napadnięty borsuk rzucił się na leżącego i ugryzł go w szyję. Nadbiegli myśliwi i zabili borsuka, do Anaresekwy nie rzekli nic.

Niejednemu z młodych czy dojrzałych mężczyzn zdarzało się, że chybiał strzelając do zwierząt lub przewracał się w śniegu. Wyśmiewano się z ich niezręczności, lecz nie milczano patrząc na nich

złowróźnie. Stary wódz to zrozumiał. Choć nikt nic nie rzekł, czuł, że myśleli: „Nasz wódz jest za stary. Nie potrafi już polować”.

Gdy wracali do wsi, Anaresekwa zrównał się z Czarnym Wężem, ojcem Nestazeki. Czarny Wąż był zadowolony, gdyż upolował jelenia wapiti i młodego łosia. Synowie pomagali mu wlec poćwiartowane mięso, nad którym w mroźnym powietrzu unosiły się smużki pary.

Anaresekwa przypomniał sobie młode, gorące ciała nad przerebłą. Z nich też buchała para, gdy stały lśniąc w słońcu ociekającą wodą.

Zapomniał natomiast o historii z borsukiem, gdy podszedł do Czarnego Węża i powiedział:

– Nestazekę ucieszysz się, kiedy zobaczy jelenia upolowanego przez ciebie. Jest największy ze wszystkich.

Czarny Wąż spojrział na niego podejrzliwie. Odwrócił twarz. Może chciał ukryć uśmiech.

– Masz ładną córkę – dodał nieopatrznie stary wódz.

Lecz Czarny Wąż nie odparł nic. Przerzucił ładunek mięsa na drugie ramię i pognął naprzód.

Wciąż jeszcze Anaresekwa nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, co się wokół niego działo.

Trzeba było, żeby posłyszał o tym na własne uszy, żeby pochylony nad ścianą cudzego wigwamu usłyszał chichot dziewczyny i rozbawiony głos jej matki, mówiącej:

– ...pradziadek... łaska plemienia pozwala mu jeszcze...

Anaresekwa przymrużył oczy i skurczył się jak pod ciosem. Usłyszał poważny, choć, zdało mu się, tłumiący wesołość głos Czarnego Węża:

– Dosyć. Mówisz za wiele...

A potem:

– Nestazekę, przestań się śmiać. To stary człowiek, któremu należy się szacunek.

Lecz Nestazekę śmiała się dalej. Anaresekwa odszedł. Wrócił do swego wigwamu i ciężko usiadł przy ognisku.

Wetena – jego najstarsza żona, która miała już siedemdziesiąt lat – siedziała żując długie pasmo skóry przeznaczone na rzemień. Dawno, dawno temu Anaresekwa przywiózł ją z Północy. Była niewiele młodsza od niego. Popatrzył na jej zapadnięte policzki i pomarszczone wargi.

– Długo już jestem wodzem – rzekł do siebie. – Jestem stary.

I powtarzał to sobie wiele razy tej nocy, ponieważ nie mógł spać. Następnego ranka zszedł ku rzece, by się wykąpać jak co dzień. W szerokiej przerębli woda gęstniała mroźnym kożuchem. W powietrzu zapalały się iskry pyłu śnieżnego. Anaresekwa zanurzył się dwa razy, po czym zwinął się w koc i pobiegł do wigwamu.

Gdy zapinał futrzany kaftan, uczuł ostry ból w plecach. Napił się gorącej polewki z kukurydzy, lecz klucie nie przeszło. Czuł je teraz przy każdym oddechu.

Zawołał Wetenę. Powiedział, by natarła go rozgrzewającą maścią. Nakazał jej także milczeć. Lecz już po chwili cała rodzina i sąsiedzi wiedzieli o jego niedomaganiu.

„Teraz, jeśli zachoruję – myślał Anaresekwa – na pewno wybiorą innego wodza”.

W południe przyszedł do niego Czarny Wąż i dwu innych wojowników.

– Anaresekwo – rzekli mu – jesteś chory i zmęczony, powinieneś pomyśleć o odpoczynku.

Anaresekwa milczał złowrogo, nie patrząc na nich. Odeszli nie usłyszawszy ani słowa z jego ust.

Stary wódz męczył się przez cały dzień. Pił wywar z ziół i pozwalał się nacierać przeróżnymi maściami.

Pod wieczór przybył do wsi młody Delawar. Przywiózł wampum od wodzów swego szczepu i pismo białych. Zebrano się w wigwamie Rady, by go usłyszeć.

Wydobył z zanadru gruby, szary papier pokryty niezrozumiałymi czarnymi znakami. Na czterech rogach arkusz ten był podarty. Wyglądało to, jak gdyby zerwano go z gwoździ, którymi był do czegoś przybity. Delawar umiał po angielsku. Tłumaczył prędko i płynnie.

Było to ogłoszenie podpisane parę miesięcy temu przez gubernatora Pensylwanii, zaopatrzone datą 1763 roku.

Brzmiało, jak następuje:

„Niniejszym deklaruję i przyrzekam, że zostaną wypłacone z pieniędzy przeznaczonych na ten cel przez króla, każdej osobie, również osobom nie pozostającym na służbie naszej prowincji, następujące nagrody za jeńców lub skalpy wrogich Indian wziętych do niewoli lub zabitych w granicach prowincji, wyznaczonych królewskimi mapami, lub w pościgu poza tymi granicami. Znaczy to: za każdego Indianina płci męskiej liczącego powyżej dziesięciu lat, który zostanie wzięty do

niewoli i doprowadzony do fortu zajętego przez wojska naszej prowincji albo do dowolnego miasta do rąk naczelnika tamtejszego więzienia – sto pięćdziesiąt dolarów hiszpańskich. Za każdą Indiankę liczącą ponad dziesięć lat, wziętą do niewoli i doprowadzoną jak wyżej – sto trzydzieści dolarów. Za każdy skalp wrogiego Indianina liczącego ponad dziesięć lat, przedstawiony jako dowód jego zabicia – sto trzydzieści cztery dolary. Za skalp każdej Indianki liczącej ponad dziesięć lat przedstawiony jako dowód jej zabicia – 50 dolarów...”

Zebrani wysłuchali tego w milczeniu. Lecz gdy wedle zwyczaju zabrał głos stary wódz i namawiać zaczął do wyprawy wojennej, wojownicy, choć sami mieli na to ochotę, nie poparli go.

Podniosły się głosy przypominające, że zbliża się czas łowisk zimowych, że wyprawę wojenną można odłożyć do wiosny.

– Któż by nas zresztą poprowadził – rzekł Czarny Wąż. – Ty jesteś chory i w bardzo podeszłym wieku. Musielibyśmy wybrać innego wodza, a teraz, jak rzekliśmy, nadchodzi czas łowisk zimowych. Nie możemy pozwolić, by rodziny nasze głodowały. Po zeszłorocznej suszy dzieci, a nawet dorośli marli z głodu.

„Żałują, że nie zginąłem wtenczas” – pomyślał gorzko Anaresekwa.

Mimo wszystko próbował raz jeszcze przemówić i zebrać choć kilku wojowników, którzy by poszli z nim na wschód.

– Czy nie rozumiecie, że trzeba działać prędko? Trzeba odpowiedzieć gubernatorowi teraz, natychmiast, żeby namyślił się i podał pismo, które obiecuje pieniądze za wolność i życie naszych braci... Za każdy skalp indiański zedrzymy pięć białych. Zlękną się nas, bracia, i zechcą z nami mówić...

Niektórzy gotowi byli iść. Inni wołali:

– Wiemy, wiemy. Krew wymaga krwi, ale czas zemsty jest długi.

Narady przeciągały się. Anaresekwa widział, że nie ma już posłuchu wśród swoich. Gdy na próżno przekonywał ich o konieczności zbrojnej wyprawy, powiedzieli mu:

– Słowa twe są nierozsądne. Chcesz wstąpić na ścieżkę wojenną, a jesteś już stary. Wnet staniesz się niedołężny i zamiast walczyć, będziemy musieli ciebie nieść. Miejsce starców jest przy ognisku.

– Idźcie sami – rzekł im.

Odparli mu:

– Chcemy iść na łowiska zimowe. Wiosną przyjdzie czas zemsty. Nie mieli racji ci, którzy mówili o nim, że jest już za stary. Anaresekwa czuł w sobie zasób rozpaczliwej siły. Nie chciał pozostać w ciepłym wigwamie. Ta miękka nieruchomość – wiedział – oznacza dla niego śmierć. A on chciał żyć.

Usłyszał nagle ostry, kpiący śmiech Nestezeke, usłyszał go w sobie równocześnie z przejmującym bólem w piersiach.

Słuchał pogrążony w milczeniu nawoływania Delawara i wymijających odpowiedzi swoich wodzów i wojowników. Do końca narady nie otworzył już ust.

Gdy wszyscy się rozeszli, wrócił do wigwamu. Wetena już spała. Wrzucił do skórzanej torby, którą nosił na polowania, zapasowe ciepłe mokasyny o podwójnej podeszwie, mały kociołek, pęcherz napełniony pemikanem, fajkę i krzesiwo. Pomalował twarz na czarno-biały kolor – malował się tak zawsze, wstępując na ścieżkę wojenną. Nałożył ciepłą odzież, wziął strzelbę skałkową¹ i zapas prochu. Przez plecy przerzucił długie rakiety śniegowe i wyszedł w noc.

Ból w piersiach nie ustawał, a jednak Anaresekwa czuł ulgę. Czuł ulgę, gdyż znalazł się zupełnie sam i nie musiał myśleć nieustannie o tym, by się nie potknąć i by ruchy jego wydawały się żywsze i zręczniejsze, niż były w rzeczywistości. Nie czuł ciekawych oczu, które by śledziły w nim postępy choroby, ani współczującego spojrzenia Weteny, ani kpiącego śmiechu i obojętności Nestazeki.

Był wolny. Myślał o śmierci bez lęku. Im bardziej oddalał się od wsi, tym mniej żalu było w jego sercu.

Szedł całą noc przez zamarzniętą, ledwie śniegiem pokrytą ziemię. Ilekroć miał ochotę, siadał, by wypocząć. Nie rozpałał ogniska. Było mu gorąco. Słyszał pulsowanie tętna w skroniach, spieszne i niespokojne, jak kroki biegnących wojowników. Gdy czuł pragnienie, schylał się po śnieg i trzymał go w ustach, póki nie roztopił się i nie spłynął łagodną strugą do gardła.

Kłucie w piersiach stawało się coraz bardziej dojmujące. Nad ranem z trudem łapał oddech. Ogarnęła go senność i znużenie.

Znalazł nieośnieżone miejsce pod gałęziami gęstych jodeł. Wczoł-

¹ strzelba skałkowa – prymitywna strzelba nabijana przez łufę; w strzelbie skałkowej iskra krzesana na kamieniu padała na proch, wyrzucając kulę

gał się i ułożył na suchym igliwiu. Potem usłyszał lekki szmer nad gałęziami i wokół siebie. Nie miał siły otworzyć oczu. Lecz posłuszne uszy były czujne.

„Śnieg pada” – powiedziały mu.

Śnieg padał i padał, aż na gałęziach utworzyły się wielkie czapy. Z północy, od jeziora Erie nadciągał wichur. Usypały wały i zaspy z sypkiej bieli. Wokół jodeł, pod którymi spał Anaresekwa, utworzyła się ściana śniegowa. Leżał za nią jak w białym grobowcu, nakryty żywymi gałęziami.

Obudził się w ciemnościach wypełnionych niepokojem. Oddychał z trudnością. W uszach tętniły już nie kroki, ale kopyta rozpędzonych tabunów.

Wyczołgał się ze swej kryjówki i upadł w głęboki śnieg. Wiedział, że nie wolno mu już dłużej spać. Oznaczałoby to śmierć. Podniósł się z wysiłkiem, drżącymi rękami nazbierał gałęzi. Ułożył spory stos. Wiele czasu minęło, zanim zdołał skrzesać ognia i rozpaść ognisko. Wrzucił do kociołka śniegu, niedźwiedziego sadła i sproszkowanego mięsa. Gdy wypił bardzo tłustą, gorącą zupę, poczuł się lepiej. Postanowił iść dalej. Spakował worek, zdeptał resztki żaru i ruszył wzdłuż lasu, na wschód.

Szedł powoli i w gorączce majaczył, że idzie po rzece, która zamarza stromym wodospadem. A jednak było lato. Anaresekwa czuł, jak pot ścieka po spieczonej gorączką skórze.

Daleki krzyk rozerwał ściany łąg. W błyskawicznym olśnieniu ujrzał przed sobą ślady stóp. Potem znowu podniósł się wodospad i zakrył wszystko.

Ale choć oczy Indianina nie widziały drogi; czujne, wrażliwe stopy odnajdywały ślad i szły nim powoli i pracowicie. Wreszcie jednak i one ustały. Anaresekwa upadł twarzą w śnieg.

Ocuł go chłód. Podniósł się na rękach i rozejrzał. Ślad, który go tu doprowadził, szedł dalej.

Lecz nie był to już ślad stóp. Człowiek, który przeszedł tędy, włókł się na klęczkach i podpierał lewą ręką. W prawej musiał nieść jakiś ciężar, z tej strony bowiem odcisk kolana zapadał w śnieg o wiele głębiej.

„Ślad jest świeży – myślał Anaresekwa przytomnie – człowiek, który szedł w ten sposób, nie mógł zajść daleko”.

Jakoż niedługo potem ujrzał z daleka ciemny kształt nieruchomo leżący na śniegu. Równocześnie usłyszał monotony krzyk.

Starzec posuwał się powoli, przystając co chwila. Wreszcie mógł już rozróżnić postać mężczyzny, trzymającego na kolanach dziecko w czerwonej czapeczce.

„Musi to być wojownik z plemienia Delawarów” – pomyślał Anaresekwa, widząc jego kolorowy kaftan.

Gdy przybliżył się, spostrzegł, że to, co brał z daleka za czerwoną myckę na głowie dziecka, było krwawiącą odartą ze skóry czaszką. Dziecko było oskalpowane. Krzyczało bez przerwy. W głosie jego nie było ani wołania o pomoc, ani skargi. Krzyk był cierpieniem. Niczym więcej.

– Umiera – rzekł Delawar, nie podnosząc głowy.

Anaresekwa usiadł przy nim na śniegu. Odzież wojownika była poszarpana i okrwawiona.

Po chwili dziecko umilkło. Dyszało jeszcze przez jakiś czas, potem uspokoiło się.

– Umarło – powiedział ojciec.

Siedzieli milcząc. Anaresekwa patrzył na małą twarz zniekształconą ranami i cierpieniem. Była koloru żelaza.

– Na wzgórzu są kamienie – rzekł ojciec – pogrzebiemy tam dziecko.

Zanieśli je, padając co chwila w śnieg. Delawar był ciężko ranny. Krew zaczęła wypływać z jego ust.

Dowlekli się wreszcie, odgrzebali śnieg, ułożyli trupa i przykryli głazami. Trwało to bardzo długo, gdyż obaj byli bez sił.

– Zostanę tu także – powiedział Delawar – to nie potrwa długo. Jeśli masz dość siły, przykryjesz mnie kamieniami.

Położył się na śniegu i zamknął oczy. Krew płynęła z ust i nozdry coraz obficie.

– Spalili wszystko, mordowali... – szepnął po jakimś czasie.

– Kto? – zapytał Anaresekwa.

– Osadnicy... spod fortu Pitt... Były też czerwone kubraki²...

Milczeli znowu przez dłuższy czas. Twarz wojownika stawała się zielonkawosina. Zaczął coś bełkotać niewyraźnie. Stary Indianin pochylił się ku niemu.

² czerwone kubraki – mundury strzelców królewskiej armii amerykańskiej (1763 r.)

Delawar spojrział gasnącymi oczami. Patrzył uważnie, jakby czegoś szukał w zwiędłych, drapieżnych rysach Anaresekwy.

– Ziemia ojców... ma wiele twarzy... – wyszeptał wreszcie.

Anaresekwa pogrzebała go pod głazami, obok dziecka. Kamienie były tu już poruszone, co znacznie upraszczało zadanie.

Następnie obejrzał luk i strzały zmarłego. Groty błyszczały w zachodzącym słońcu, jakby były pokryte rzadkim syropem. Anaresekwa dotknął jednego z nich językiem, potem wypłuł gorzką, palącą ślinę. Strzały były zatrute.

Postanowił zabrać je z sobą. Oddalił się od wzgórza tak prędko, jak tylko mógł. Potykał się w śniegu. Lecz i tak nikt go nie widział. Mógł się potykać i drzeć, i szczekać zębami. Był sam.

Zresztą nie myślał już o tym. Przed oczami miał twarz umierającego Delawara i twarz jego dziecka. I wiele, wiele innych twarzy, których nigdy nie widział i nigdy nie zobaczy. Widział główki oskalpowanych dzieci, małych dzieci nie mających nawet dziesięciu lat, głowy mężczyzn i kobiet swego plemienia i innych plemion. Wydało mu się, że widzi krwawiące czoło Nestazeki, a chór głosów wołał rytmicznie wokół niego i w nim, i wszędzie:

– ...Wiele twarzy... Wiele twarzy... Wiele twarzy...

Idąc znalazł się znów pod lasem na łysym, wymiecionym przez wiatr pagórku. Zachodziło słońce. Mimo chłodu Anaresekwa czuł, że pali go gorączka. Zjadł garść śniegu. Potem wczołgał się w gęstwinę, jak poprzedniego dnia. Ale zaledwie się zdrzemnął, obudził go zapach dymu. Anaresekwa wstał.

– Dokąd idziesz? – spytał sam siebie. – Odpocznij...

Nie. Nie. Wiedział przecież. Po to opuścił nocą swój ciepły wigwam.

Zebrał wszystkie siły. Zacisnął szczęki.

– Idę – powiedział półgłosem. – Idę. Wstąpiłem przecież na ścieżkę wojenną.

Zapach dymu stawał się coraz wyraźniejszy, prowadził jak nić. A oto po jakimś czasie Anaresekwa ujrzał także kłębek. Mały, jasny kłębek płomieni. Tam, w dole.

Nie mógł już iść. Posuwał się na czworakach. Potem usiadł. Czuł, że go siły opuszczają. Wyjął z sakwy pęcherz z suszonym mięsem. Żuł

mięso powoli, rozcierając jednocześnie zmarznięte ręce. Nóg nie czuł. Ciężkie były jak kłody wilgotnego drzewa.

Ognisko płonęło jasno. Widział ludzi kręcących się wokół. Było ich z dziesięciu. Kilku miało czerwone mundury.

Teraz, gdy ręce były już rozgrzane, zaczął rozcierać nogi. Zdjął mokasyny i tarł zmartwiałe ciało śniegiem. Czuł we wnętrzu pustkę i słabość. Ruchy jego były niezdarne. Mięśnie przestawały być posłuszne.

– Jestem chory – powtarzał sobie – jestem bardzo chory.

Siedział przez chwilę skurczony.

„Jestem już stary. Trzeba umrzeć” – pomyślał.

Przed oczami zaczęły mu wirować gęste płaty, trzepotały wśród iskier i nie istniejących słońc. Jedna z plam stawała się coraz większa i wyraźniejsza. Miała swój własny ruch. Posuwała się rytmicznie w orbicie widzenia, poprzez cienie i iskry, jak przez las dziwołagów.

Anaresekwa drżącymi rękami przetarł oczy. Odetchnął głębiej aż do bólu. Ciemne płaty ustąpiły na chwilę i ujrzał w dole kroczącego po bieli śnieżnej człowieka. Szedł ku ognisku, oddzielało go od niego niewielkie wzniesienie. Na ramieniu niósł zastrzelonego lisa.

Indianin sięgnął po strzelbę. Nie spuszczać białego z oczu. namacał róg z prochem. Zmarszczył brwi. Odłożył strzelbę i wyciągnął rękę po łuk Delawara. Z kołczanu wyjął strzałę. Położył na cięciwie.

Ogarnął go spokój. Nie czuł drżenia rąk. Nie czuł, że obnażone stopy pograżają się w śniegu. Oczy jego łowiły wśród ciemnych plam majaku coraz wyraźniejszą sylwetkę. Człowiek przybliżał się. Anaresekwa widział futrzany kaptur, jasną plamę twarzy.

Patrzył na jego szczękę i biel odsłoniętej szyi. Patrzył teraz tylko w to miejsce, które jak magnes przyciągało cienki, bardzo ostry grot strzały. Wokoło była ciemność pełna ruchliwych plam. Zacieśniała się coraz bardziej i Anaresekwa zląkł się, że przysłoni mu wszystko.

Zadrzał, lecz drżenie pozostało wewnątrz, nie udzieliło się dłoniom zacisniętym na łuku. Ostrze strzały nie drgnęło. Zrosło się z celem i nie opuszczało go.

Znowu usłyszał szum i tętent tabunów. Zrozumiał, że jest u kresu sił i przytomności.

Wówczas palce napinające cięciwę rozwarły się...

Siedział nieruchomo. Raz jeszcze spojrzął w dół. Biały leżał z twarzą pograżoną w śniegu.

Stary Indianin odetchnął głęboko. Wciągnął na zeszywniałe nogi mokasyny i zsunął się po pochyłości. Przyczolgał się do zabitego, przyklęknął nad nim i wydobyl z za pasa wygięty nóż.

– Za małego Delaware! – powiedział przytracając do pasa krwawy skalp.

Nadchodziła noc. W dole ognisko przygasło. Anaresekwa siedział teraz pod gałęziami, żując pemikan pomieszany ze śniegiem. Było mu ciepło. Nie paliła go już gorączka. Mógł oddychać. Zaczynał znowu padać śnieg. Indianin wcisnął się głębiej pod gęste gałęzie jodeł. Przesunął ręką po szorstkim pniu.

– Jestem stary – mamrotał – bardzo stary. Ale zdobyłem skalp. Nie uczynił tego ani Czarny Wąż, ani Siedzący Łoś, ani Wielka Stopa, ani żaden z młodych wojowników naszego plemienia. Uczyniłem to ja, Anaresekwa, stary wódz, którego chcieli wyrzucić jak śmieć.

Potem zamyślił się. Siedział wpatrzony w śnieg bielejący między gałęziami.

– Już idę... – rzekł do siebie.

Wstał powoli. Strzelbę i łuk zarzucił na ramię. Poprawił pas na biodrach i wszedł między drzewa. Szedł ostrożnie, nogi miał sztywne.

„Nie powinienem się potykać – myślał. – Ciało moje powinno być czujne, jakby patrzyła na mnie cała wieś. Stary człowiek powinien się pilnować na każdym kroku. Mądrze zrobiłem, że nie użyłem długiego ognistego kija, nie tylko dlatego, że piorun jego słychać daleko. Młodzi wojownicy lubią go używać, lubią także walczyć wręcz. Anaresekwa mógłby tak uczynić, gdyby musiał. Ale długi kij czasem chybia, a rana, jaką zadaje, nie zawsze przynosi śmierć. Walcząc tomahawkami można się potknąć. To jest dla młodych. Starym nie wolno potykać się i chybiać. Wszystko, co czynią, powinno być uczynione bez błędu. Będę dalej używał zatrutych strzał”.

Uczuł w sobie spokój mądrości i spełnionego czynu. Nie zwracał uwagi na gałęzie, które były go po twarzy, ani na grząski, zapadający się pod nogami śnieg. Wreszcie wyszedł na twardą ziemię. Szedł powoli. Okrążył skrajem lasu dolinę, na której dnie płonęło ognisko. Było teraz ledwo widoczne. Żar dogasał.

Z tej strony drzewa schodziły ciemną odnogą daleko w dół. Anaresekwa usiadł tu, by odpocząć.

„Gdy włosy zbieleją, a ciało staje się jak wór napelniony kośćmi, który ciężko jest dźwignąć – poznaje się prawdę”.

Zaśmiał się bezgłośnie, a potem westchnął. Wspomniął wydarzenia ostatnich dni.

„Starość musi być nieomylna, gdyż cokolwiek stary człowiek źle uczyni, powiedzą, że źle uczynił, ponieważ jest stary. Jeśli natomiast dojrzałemu wojownikowi coś się nie uda, nikt nie powie, że sprawił to jego wiek”.

Utkwił wzrok w różowym świetle, majaczącym w dole, w głębi mroku, i snuł dalej rozważania. Przypomniwał mu się chłopiec, którego pogrzebał dziś rano.

„Byłby kiedyś wojownikiem – pomyślał Anaresekwa. – Miałby synów, którzy też byłiby wojownikami i miałiby synów. Odcięto ramię stu wojowników”.

Tymczasem śnieg zaczął padać coraz obficie. Od otwartej doliny wtargnął wiatr.

– Będą musieli ukryć się w lesie – mruknął Indianin. Równocześnie prawie, z dołu, usłyszał głosy idących

Wiatr wzmagał się. Zawrzało białą, gęstą zadymką. Anaresekwa cofnął się głębiej między drzewa. Lecz i tu nie było spokoju. Ostry prąd wiatru wciskał się niczym rwący strumień między rozkotysane pnie. Osłepiał tuman śniegu. Stawało się coraz ciemniej.

Poprzez świst wiatru i potężny szum drzew usłyszał głosy ludzi. Zbliżali się niewidzialni jak duchy gnane wiatrem i zadymką. Ciemność była zupełna.

Anaresekwa stanął tyłem do wiatru. Zdjął z ramienia łuk i chwycił w usta kilka strzał. Nie widział przed sobą nic prócz ruchliwych, śnieżnych ciemności. Ludzie minęli go. Wówczas oparty plecami o pień drzewa, które dygotało jakby w przestachu, zaczął strzelać z bliska wprost za głosami idących. Szli niezbyt prędko, byli chyba o parę kroków przed nim. Wiatr porywał niewidzialne strzały. Anaresekwa nie wiedział, czy trafiały, póki nie usłyszał krzyku.

Strzelał dalej.

Z dołu szli nowi. Może dotarł do nich krzyk zagubiony w lamencie wichury. Szli milcząc. Nie słyszał nawet ich kroków, wyczuwał je stopami w nieuchwytnym prawie drganiu ziemi, fala wiatru uderzyła

go w nozdrza mdłą, niejasną wonią dymu i potu. Otarli się niemal o niego.

Strzelił. Usłyszał jęk bólu. Jednocześnie wystrzał białego chlasnął go ogniem po twarzy.

Padł na ziemię, nie wypuszczając łuku. Błyskawicznie nałożył strzałę, napiął cięciwę i wycelował w miejsce, z którego buchnął ogień. Usłyszał jeszcze wrzask i w tym samym momencie poczuł uderzenie, a raczej szarpnięcie ognistym pazurem przez pierś.

Stoczył się po pochyłości. Zatrzymał w gęstwinie gałęzi i usłyszał nad sobą jeszcze kilka wystrzałów.

Potem ucichło wszystko prócz wycia zawiei i szumu drzew.

Anaresekwa wspinał się na wierzchołek wysokiego buka, by spojrzeć ponad lasem, ku rzece. Ze wszystkich wigwamów jego wsi, które wyglądały stąd jak kretowiska pod śniegiem, unosiły się cienkie pasemka dymu.

„Jeszcze nie wyruszyli” – pomyślał.

Był teraz znów niedaleko swoich. Po wielu dniach wędrówki, zmagania z chorobą i ranami przychodził powoli do siebie.

Czuł na piersi miłe swędzenie gojącego się postrzału. Czuł moc zdrowia, podobną mocy młodości.

Przebywał już na skraju wzgórz od dwóch dni. Lecz do wsi nie schodził jeszcze. Cekał.

Upolował młodego -wapiti. Wyciągnął z jego wnętrza gorącą wątrobę, serce i mózg. Nasycił się świeżą krwią, która daje mięśniom siłę, a oczom orli wzrok. Rozłupywał tomahawkiem kości, jak dzieci rozłupują orzechy, i wysysał długie, smakowite sople szpiku. Rozpalał ognisko. Spał. Jadł pieczone mięso i spał znowu.

Rano i przed zachodem słońca wspinał się na szczyt buka. Lecz nad wigwamami wciąż unosiły się dymy. Serce jego było spokojne...

Czwarte go dnia wreszcie postanowił zejść ku wsi. Czuł się krzepki i wypoczęty. Nasmarował twarz tłuszczem niedźwiedzim, aż załśniła jak miedziana tarcza. Z sakiewki, którą nosił na szyi, wyjął pudełeczka z rogu, zawierające barwniki. Umalował czoło i policzki w długie czarne i czerwone kreski, jak przystało wojownikowi, który wraca z wyprawy wojennej.

Wyrzucił zniszczone mokasyny i włożył zapasowe, ozdobione pięknym haftem wyobrażającym ryby i słońca.

Obciągnął pas na podartym kaftanie. U pasa wisało osiem skalpów. Przesunął po nich ręką.

Wspomniał, jak szedł szlakiem białych. Wiele dni.

Od pustych dolin dochodziło wycie wilków. Biali nie zatrzymywali się. Gnali naprzód. Anaresekwa pełzał cierpliwie ich śladem. Musiał odebrać swoje skalpy. Choćby miał zginąć. Wlókł się z otwartą raną w mróz i śnieg. We dnie i w nocy. Nie pamiętał już, czy spał. Może spał idąc, gdyż chwilami tracił świadomość i zapadał w szumiący mrok. Ale nogi, a czasem nogi i ręce razem, niosły go naprzód.

Od zatrutych strzał w wieczór zadymki zginęło czterech. Znalazli ich na szlaku. Towarzysze nie pogrzebali ich nawet. Zostało ich jeszcze trzech. Widział to po śladach.

Któregoś dnia dogonił ich. Musieli być wyczerpani, skoro mu się to udało.

Na małej, wolnej przestrzeni pokrytej nieskazitelną bielą śniegu stało dwóch białych. Trzeci leżał na ziemi. Pochyleni nad nim wyszarpywali długie, czarne strzępy i pakowali je do swoich sakw. Anaresekwa podpełzł bliżej.

Widział teraz skórzane worki pełne czarnego futra, które dwaj biali rozdzielali między siebie. Spojrzał uważniej.

Nie. Nie były to skóry zwierząt. To były skalpy Indian. Takich ilości stary wódz nie widział jeszcze. Musiały to być skalpy ludzi ze wsi zmarłego Delawary i innych zapewne. Dwaj biali zabrali łupy towarzyszy, których zabił Anaresekwa. Byli częścią jakiejś większej ekspedycji. W to Indianin nie wątpił. Worki ich zawierały złoto: czarne włosy za sto trzydzieści cztery dolary, długie warkocze za pięćdziesiąt dolarów, łatwe skalpy dzieci, których nikt nie odróżni od skalpów dorosłych wojowników.

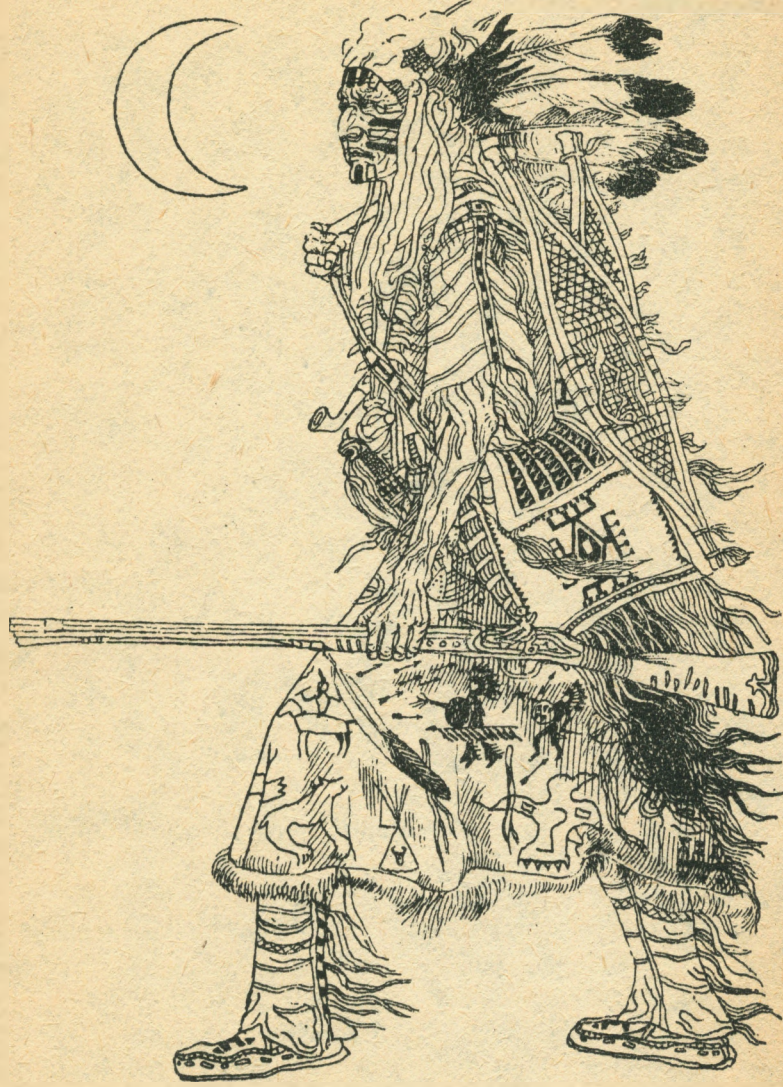
Wpychali je do worków jak futra wiewiórek lub lisów. Prędej... Prędej...

Anaresekwa nie spiesząc się sięgnął po łuk.

Teraz szedł ku wsi. Był silny. Był znowu młody. Niósł na plecach mięso jelenia, wypchaną sakwę podrózną, a u pasa osiem nieprzyjacielskich skalpów.

Wkroczył między wigwamy. Ujrzał zdumione i przerażone twarze. Przecież sądzono, że poszedł, by umrzeć na pustkowiu. Ludzie wychodzili z wigwamów milcząc. Szli za nim.

Anareskwa



S
—
C
pow
głos
C
—
zwy
P
—
Zb
szc
i w
du
da
m
by
po

ce
n
s
i
k
n
g
n

Stanął na ośnieżonym placu i powiedział głośno:

– Wróciłem!

Czarny Wąż, Długa Stopa i kilku innych wojowników zbliżyło się powoli, jakby z wahaniem.

– Wróciłem! – powtórzył, by i oni usłyszeli jego silny, spokojny głos.

Otoczyli go kolem i spoglądali tak, jak się patrzy na zjawę.

– Rozpalcie ognisko w wigwamie Rady, chcę odśpiewać pieśń zwycięstwa – rzekł do wojowników i położył na śniegu mięso wapiti.

Przez tłum przedarła się stara Weteņa i płacząc zaczęła go witać.

– Weź mięso i ugotuj je – powiedział spokojnie.

Teraz dopiero mężczyźni, kobiety i dzieci ochłonęli ze zdumienia. Zbliżano się do niego, dotykano jego rąk, ubrania i skalpów zawieszonych u pasa. Udawał, że nie spostrzega tego. Stał obojętny i wyniosły.

Był piękny: pod kolorowymi smugami farby znikły zmarszczki, duma ust i drapieżność nozdrzy dorównywała niemal wdziękowi dawnej młodości. Nie widziano nikogo, kto by wydał się godniejszym miana wodza.

Rozejrzał się po zebranych. Ujrzał w ich oczach swoją siłę. Lecz nie było mu to teraz potrzebne jako lek przeciw starości. Usłyszał głosy podziwu:

– Patrzcie, ile skalpów...

– Liczcie skalpy... cztery, pięć... osiem!

– Osiem skalpów!

– Sam jeden! Zdobył sam jeden!

Nagle Anaresekwa zaśmiał się. Zaśmiał się tak głośno, że ludzie cofnęli się o krok. W śmiechu tym było coś złowrogiego. Coś, czego nie rozumiał. Jednym ruchem ramienia zrzucił skórzaną sakwę, szarpnął zaciskające ją rzemyki. Potem zanurzył w niej obie ręce i zaczął wyrzucać na śnieg czarne, zmierzwione włosy, długie zlepione krwią warkocze, małe czuprynki dzieci, siwe kosmyki starców...

Rósł żaloszny stos, a wojownicy, kobiety i dzieci patrzyli ze zgrozą, nie śmiejąc się ruszyć.

Wówczas Anaresekwa wyprostował się i zaczął przemawiać. Ponad głowami zebranych ujrzał okrągłą twarz dziewczyny, która patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Gdy spostrzegła jego

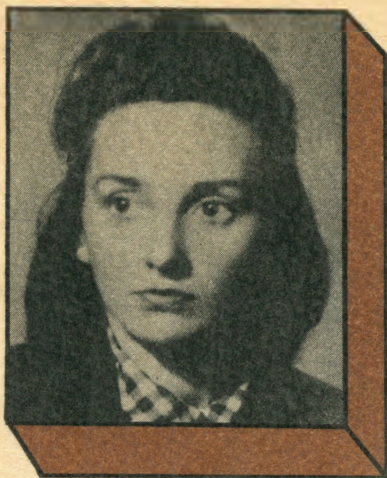
wzrok, spuściła szybko powieki, a twarz jej pociemniała od czoła aż po szyję, jak pod palącym spojrzeniem mężczyzny.

Lecz Anaresekwa nie poznał jej wcale. Była dla niego teraz jedną z twarzy, jednym z obliczy ziemi ojców tylko.

Spis rzeczy

Odwaga	5
Legenda Dakoty	105
Zwycięzca	114
Nowe prawo	125
Złoto ponki	135
Salomon	144
Anaresekwa	155

Wydawnictwo Poznańskie
Poznań 1977. Wydanie II
Nakład 100290 egz. Ark. wyd. 9,7; ark. druk. 10,75
Papier druk.-mat. kl. V, 70 g, szer. roli 55 cm
Oddano do składania 24 III 1976 r.
Podpisano do druku 13 XII 1976 r.
Druk ukończono w lutym 1977 r.
Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie
Zam. 446/76 Cena zł —
Skład wykonały
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego“ w Warszawie



Nora Szczepańska

Nora Szczepańska
jest popularną
wśród młodzieży pisarką,
autorką wielu powieści przygodowych
o tematyce indiańskiej,
wydawanych w serii
Klub 7 Przygód.

Młodszym czytelnikom szczególnie znane
są jej książki:

„Karibu i inne opowiadania”,

„Zemsta Karibu”, „Dziki Anda”,

„Ucho wodza”,

„Sprzysiężenie Czarnej Wydry”.

„Odwaga” to tom opowiadań
ukazujących życie plemion indiańskich
i ich tragiczną walkę

o prawo do ziemi i wolności.

Pięknym przykładem uporu,
samozaparcia, ambicji

jest kilkunastoletni bohater
tytułowego opowiadania.